Nr 9370
Państwowe
Liceum Pedagogiczne
w Radomiu.

LENARTOWICZ.

I.

WYDAWNICTWA

księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA we Lwowie.

BIBLIOTEKA POLSKA.

Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw. 230

T. 1–2. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy.

3–6. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.

7–10. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora.

11. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez dra. Węclewskiego.

12. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna. Powieść histor.

13–16 **Słowacki Juliusz** Dzieła. Wyd. przej przez prof. dra. A. Małeckiego.

17–19. **E...ly,** (Asnyk Adam.) Poezye 3 tomy.

20–22. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy.

23 **J. Wybicki.** Pamiętniki.

24–25 **Mickiewicz A.** Dzieła 5–6.

26–28. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 tomy.

29–31. **Kitowicz. X.** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy.

32–33. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy.

34–37. **Romanowski M.** Pisma. 4 t

38–39. **Słowacki J. Listy,** 2 t. wydanie 2. znacznie pomnożone.

40–42 **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie 2. znacznie pomnożone.

43–44. **Krasiński.** Pisma 3–4.

45. **Kraszewski J. I.** Poezye.

Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVII. w 2 tomach. 4 20

Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie . . . . 3 —

— Opowiadania historyczne, 1 tom . . . . . 3 —

Estreicher. W. Pol jego młodość i otoczenie 2 80

Gubrynowicz B. Dr. Kazimierz Brodziński 1830 do 1835 . . . 60

— Artykuł Brodzińskiego o Mickiewiczu 20

— Piast Dantyszek, kartka z tworczości Słowackiego . . . 40

— **Wincenty Reklewski.** Szkic literacki 40

Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej 2 40

Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808–1831, wydał T. Orzechowski, 2 tomy 4 20

Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły 1 20

— Dwaj Krzemieńczanie Wizerunki literackie, 2 tomy . . 3 60

Krasiński listy: I do Gaszyńskiego, II do Sołtana, III do Słowackiego, Załuskiego i t. d. tom po 3 20

Kubala L. Jerzy Ossoliński, 2 tomy 6 80

Lemcke K. Estetyka, 2 tomy 6 40

Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego . . 2 80

Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiery w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683 . . . . . 2 80

Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu 2 20

Sas Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy 3 80

Wilkońska P. Na teraz, powieść 2 40

Wspomnienia Konstantego Wolickiego z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberyi 2 60

Zachariasiewicz Z. Teorya pana Filipa 2 40

— Jedna krew, powieść 1 80

Zieliński. August II i Aurora Königsmark, powieść hist., 2 t. . 2 60

TEOFIL LENARTOWICZ

POEZYE.

Wydanie pośmiertne.

I.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.
przy placu Katedralnym
1895.

Nr. Inw. 6930
Biblioteka Państwowego w Radomiu. Liceum Pedagogicznego
Dz. 8. Nr. 3171

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ WE LWOWIE.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach
884-821
I 64264 L
64264
L-P

Przedmowa.

Ś. p. Teofil Lenartowicz rok przed śmiercią postanowił wydać nowy zbiór swych poezyi. Zbiór ten miał obejmować już to rozprószone po czasopismach drobne wiersze, już to znane dawniej mniejsze lub większe utwory, do których autor szczególniejszą czuł predylekcyę, jużto wreszcie nieogłoszone zupełnie lub znane tylko z drobnych wyjątków płody jego ducha; zabrał się więc do ułożenia takiego zbioru, lecz Opatrzność nie dozwoliła mu zamiaru urzeczywistnić.

Znaleźli się jednak dbali o dobro i rozwój literatury ojczystej ludzie, którzy tę spuściznę poety otoczyli opieką i oddali ją wydawcom do wykonania. Uporządkowaniem i przygotowaniem do druku zajął się Dr. W. Bruchnalski. Oto geneza krótka wydania poezyi Mazowieckiego Lirnika.

Wydawcy stosując się wszędzie do ostatniej jego woli, nie poczynili nigdzie żadnych zmian i nie dopuścili się dowolności, któreby się nie zgadzały z intencyą poety, nie mogącego już czuwać nad urzeczywistnieniem swego zamiaru; jeżeli jednak jest cokolwiek w niniejszem wydaniu,

coby zasługiwało na miano zmiany, to chyba to, że z czterech tomików uczyniono dwa tomy, każdy o dwu częściach, opatrzonych tytułami, jakie im dał poeta.

Jakiego rodzaju utwory zebrał poeta dla tego ostatniego wydania, powiedziano wyżej; w tem miejscu dodać jeszcze należy, że z niektórych utworów znajdą tu po raz pierwszy lubownicy literatury, mazowiecką powieść „O królu Popielu i o myszach“, „O królu kowalu“, poemat dramatyczny „Sędziowie Ateńscy“ (z którego dotąd drukowano tylko dwa małe wyjątki), i kilka drobnych wierszy; między rzeczami zaś znanemi bardzo wiele znachodzi się takich, które poeta bądź w większej, bądź w mniejszej części przerobił lub poprawił, tak, że dzisiejsza ich forma przedstawia ostatnią i według woli autora najpoprawniejszą redakcyę.

Wydawcy oddając niniejszą edycyę Poezyj Lenartowicza publiczności polskiej, czynią to w tej myśli, że zostanie tak przyjętą, jak na to zasługuje spuścizna pieśniarza, który najgłębiej może sięgnął w duszę ludu naszego, najlepiej odczuł struny jego serca i najdokładniej zbadał jego cierpienia, troski, smutki i nieznane nikomu, nieokreślone jego tęsknoty.

Wszystko bowiem, co pod strzechą wre lub płacze, boleje lub się weseli, wyśpiewał Lenartowicz, otworzył dla serc ogółu chatę chłopską i pokazał tam bratnie dusze, takie jak nasze,

równie żywe, równie szlachetne, równie bolejące, i zbliżył niejako nas wszystkich do owej „młodszej“ naszej braci.

On po Mickiewiczu najwięcej może całą przyrodę naszą, wieś i chatę chłopską nie w wyobraźni miał, ale w sercu nosił.

W końcu spełniając miły obowiązek, składają wydawcy szczere podziękowanie osobom, które udzieliły im rękopisów poety, i tym, którzy podczas druku pomagali im swą pracą; oddajemy niniejszą edycję Poezyi Lenartowicza publiczności polskiej w tej myśli, że zostanie tak przyjętą, jak na to zasługuje sympatyą ogółu otaczany śpiewak Racławic.

Wydawcy.

Część pierwsza.

ECHA NADWIŚLAŃSKIE.

Questo è 'l terren, ch' i' toccai pria,
Questo è 'l mio nido,
Ove nudrito fui sì dolcemente.
Questa è la patria, in chio mi fido,
Madre benigna e pia.

. . . . . .

I' vo gridando pace! pace! pace!
Ma i fratelli, ohime!...

Petrarca.

Przygrywka.

Pieśni nasze mazowieckie, wy serdeczne pieśni,
Zapóźnośmy się wybrali, trzeba było wcześniéj;
Ani dworu, ani boru, świat na wskróś przeglądnie,
Oj, zmieniło się, narodzie, zmieniło porządnie!
Niechże się więc odmieniają miesiąc po miesiącu,
Przecie wszystko ma swój koniec, to coś przyjdzie [w końcu:
I znów chata się wystawi, opatrzy, podeprze,
Będęż ja wam na złe wróżył, powróżę na lepsze.
Co staremu w oczach ginie, to młody odszuka,
Krzepić nogi, nie zejść z drogi, na tem cała sztuka.
Więc baczenie mając swoje a w sercu nadzieję,
Ani wam się nie pochmurzę, ni brodą pochwieję,
Ani powiem: niema rady, bo zawszeć jest rada,
A już pewno ta najlepsza, co się nie powiada.
Alboż ci to ziarno krzyczy, co człowieka żywi?
Więc jeżeli wam nie krzyczę, nie bądźcież mi krzywi.
Już ja taki z urodzenia, od samej kolebki...
Witajże nam, polski ludu, wesoły a krzepki!

Znam ja ciebie dokumentnie, ty, wieśniacza chato,
Chcecie słuchać mojej liry, to ja jestem na to.
Nie obwijam mego słówka, jak drudzy bawełną,
Czego niema, tego niema, a ojczyzny pełno.
Bieda, nędza, miły Boże, a wesołość taka,
Że dziadowi patrzącemu serce w piersiach skaka.
Hej! tak jakoś mi szeroko, jak Polska szeroka,
Słówka moje mazowieckie słodkie jak patoka.
Czegoż wy mnie czarujecie, powiedzcież raz przecie?
Czemu wy się, lasy moje, do mnie zieleniecie?
Zmarnowałeś lata, dziadu, po drodześ potracił,
Maszci brodę posrebrzaną, tożeś się zbogacił!
A toż prawda Mazurowie, moje Kurpie, Gocie,
Kosy gnieżdżą na jaworach, a żółwie na błocie.
Powiadankę wam przynoszę nie krótką, nie długą,
Jestci u mnie onej przędzy: będzie i na drugą.
Stoją lasy pod chmurami, pod rosami łąka,
Przyjrzyjcież się szarej przędzy marnego pająka.

O KRÓLU POPIELU i o MYSZACH.

I.

Kiedyś ja się zagoniwszy po tym lesie suchym,
Lecę, lecę, aż tu cościk jak świśnie za uchem,
Obejrzę się, a to w drzewie starowina tyli:
A coraz się w dziupło chowa, co i raz wychyli.
Więc ja mówię: pochwalony, — myśląc czy odpowie,
A kapelusz ledwie że mi dosiedzi na głowie.
— Na wiek wieków — ale cicho, ledwie że dosłyszę,
Bo dziaduszek był maluśki, podobny do myszy.
— Siądź tu, Kurpsiu, na kamieniu, bo niemała gadka,
Słońce lasy porumieni, nim dojdę ostatka.

Jam jest dziedzic Myszyniecki a tysiąc lat liczę,
Odkąd prawem przyrodzonem lasy te dziedziczę;
Ale żem jest jak mysz mały, więc nikt o mnie nie wie,
I tak wieki przepędzają, a ja siedzę w drzewie.
Od przygody mnie wszelakiej marność moja strzeże,
Na jesieni noce długie a poranki świeże.
Słoneczko się zapowiada jutrzenką zaranną...
— A skądże zaś pożywienie? — Żyję Bożą manną.

Tedy zważaj, co ci rzekę: słyszałeś o myszach,
O tych myszach Myszynieckich, sławnych towarzy-
[szach,
Co Popiela króla zjadły, ogryzły do kości? —
— Co Popiela króla zjadły? — ta słyszałem cości,
Ale to tam były myszy te prawdziwe, szare...
— To i nasze też prawdziwe, jeno daj mi wiarę.

— Ano dobrze. — Ten król Popiel był to Niemiec
[srogi,
Miał żelazną przyodziewę od głowy do nogi,
A miecz nosił taki długi, że gdy na koń siędzie.
Kiedy sobie go przywiesi, to do ziemi będzie.
Niemców tedy koło niego miałci onych sporo.
A wieszże ty, gdzie jest Gopło, Kruświckie jezioro?
Kędy brzegiem posiadało dużo naszych brachu,
Co nam Pan Bóg nie żałował ni lachu ni piachu,
Ni różności różnej ziemi: kto nie widział — ślepak,
Na pszenicę paśna rola, na jęczmiony, rzepak.
Więc tam pszczółka polatuje szukając obroku,
A słoneczko w wodzie świeci jakby w Bożem oku,
A łabędzie polatują, a niewiasty piorą,
A tam wieża kęś daleko, jezioro, jezioro...
A czajeczki pokrzykują, a bąk bąka w trzcinie,
Czapla czeka po godzinach, aż się co nawinie.
I tam patrzysz i tu patrzysz, wszystko ci się śmieje,

Że i grzeszny człowiek nie wie, gdzie oko podzieje...
Więc jezioro to Kruświckie... cóż patrzy, nie wierzy?
I nic nie wiesz, jak się idzie, komu przynależy?—
— To Kruświckie? a toż nie wiem...
— Ano tak przed nosem,
To tam jeleń trafi drogę idący za wrzosem,
To tam sarny zawędrują, przeprawią się dziki:
Na cóżeś ty stworzył, Boże, te głupie Kurpiki?

Od Poznania do Swarzędza, Trzemeszna i Gniezna,
Taż to wszystko polska ziemia: któż zaś tego nie zna?
Niemcy na niej gospodarzą, jak im się spodoba...
— Cóż zaś Niemcy powiadacie? —
— Niemcy, to choroba.
Więc się, Kurpsiu, nie wymawia takiej brzydkiej rzeczy.
Zawołaj ty na psa: Niemiec! — to cię okaleczy.
Staraż ci to historyja: chcesz wiedzieć jak było?—
— Jużciż, kiedy powiadają, to posłuchać miło. —

— Więc ja widział i Popiela i te jego stryjki,
Co im pobrał co zaś mieli, a potem i szyjki.
Podusił ich na tej wieży szary wilk śród owiec:
Pomiarkujcież sobie ludzie, jakiż to synowiec.
Pierwej to on nie był Niemiec, lecz jak się spanoszył,
Jak się zwąchał z niewiarami, to się w Niemca poszył;

A wiadomo, że majgorszy, co się przekabaci,
To się będzie zażerało na rodzonych braci.
Pozjeżdżali się panowie: co konik to krzepki,
W onych czepcach jak latarnie pochowane łebki,
A siodełka pieścidełka, wszystko jak się patrzy;
Jeden konik gęstszej grzywy a zaś drugi rzadszéj;
A podkowy, a rzemienie, a wszystkiego suto.
Pocóżeście przyjechali, żeby was potruto?
Ano widać nie wiedzieli, przyjechali w gości,
Do synowca w zaprosiny, bez wszelakiej złości,
Grzecznie, pięknie, obyczajnie, jak się przynależy;
Od Kruświcy to jechało po moście do wieży...
Bo to woda pierwej była, ho! daleko daléj..
Kędy dzisiaj stoi Grodek, to my z łódką stali.
Jadą, jadą, jeszcze jadą ku zamkowej bramie,
A tu trzeszczą belki one niby most się łamie.
A ci jeno za narodem wdzięcznem patrzą okiem,
A koniczek to się spina, to poskoczy bokiem.
I panowie się cieszyli i naród się cieszył;
Był też z nimi taki, co grał, i taki, co śmieszył,
I zwierzęta prowadzili do wieży przez grodek:
Niedźwiedź wietrzył od ostrówka smakowity miodek,
Małpisko też przystrojone jako małe biesie,
A koniczek pod tem idzie, sam nie wie, co niesie.
Trąby grają, wrzeszczą rogi, te nasze bawole,
Co się ludzie zwoływali na tych rogach w pole;

Bębny biją, trąby grają, wszystko pięknie, ładnie.
Ale co tam będzie jutro, niechże kto odgadnie...

Całą nockę tańcowały Popielowe dworskie:
A śliczne tam były panny dalekie, zamorskie,
Co ich sobie Popielowa było nie zabrania:
Ta do szycia, ta do prania, drugie do czesania,
Drugie były do ubioru, a drugie do bajki,
A drugie do przebierania jak najpierwsze grajki.

Śmiechu, krzyku, tańcowania było tak trzy doby,
Tańcowali, używali na różne sposoby.
Aż i naraz cichusieńko: jeno wrony kraczą,
Baby z chacin zaciągają, co na żalach płaczą,
Lecą, drą się po obliczu, nie żałują garła,
Jako cała kawalkata nagłą śmiercią zmarła.
Grzebać, jeno bez gadania, więc chodziło głucho...
Nocą się to uczyniło, wichrem, zawieruchą.
A były to dobre pany naszego narodku,
Co po skrajach posiadały, a Niemiec pośrodku,
W starej Wschowie, a w Kościanie, Gnieźnie i Po-
[znańsku.
Otóż to tak po niemiecku czyli po pogańsku,
Ugościła Popielowa naszych polskich panów!
Terazże się nad niewiastą, człowieku, zastanów...
Łańcuchy z nich pościągała i drogie jedwabie,

Srebro, złoto się udało Popielowej babie.
Porobiła sobie z tego, co sama zechciała,
Złotem głowę obwijała, co ją szpetną miała.

— A cóż Popiel? —

— Ano Popiel siedział sobie w grodzie,
Więc u dzbanka, więc hulanka, cały dzień na miodzie.
Pobili my wojewody, co mieli, posiedli,
Będziem teraz używali, będziem pili, jedli.
Niechże mi te Ostrowczyki przynoszą daninę,
Bo dybiku im napędzę, jeśli sam popłynę;
Potańcuje ta przedemną słowiańska ciemnota.
Brać, zabierać, co popadnie, bo mi trzeba złota
Jak samemu cysarzowi, bo i ja też cysarz,
Jest ci u mnie i marszałek, jest u mnie i pisarz.
Więc ja muszę mieć koronę z jednej złota bryły,
Srebro, złoto, kosztowności, żeby mi świeciły;
Żeby mnie się ludzie bali, bo ja wszystko mogę,
A kto mi się śmiało stawi, tego wnet przez nogę.
Tak tam Popiel rozkazuje, tak nas poniewiera,
A śmieje się sam do siebie, a ręce zaciera.
Nałożyła też koronę na głowę królowa,
Ode złota, a robota zaś filigranowa.

Była chata na ostrowie: dzisiaj tam pustkowie,
Szare bąki gospodarzą, bociany panowie,

A w Kruświcy, miły Boże! szwaby tam i szwabki,
I szwabięta, wszystko Niemcy, drelichowe czapki;
A toż ja tam zabiegałem, będzie rok we świątki,
Ani tyle nie zostało po ojcach pamiątki!
Są tam kopce przy Slesinie, czy mogiły stare:
Wygrzebali raz naszego pięć łokci na miarę.
Oj! bywali u nas ludzie, co strzelali celno,
Gdzie kruszyli, jest Kruświca, — gdzie strzelali:
Strzelno.

Alboż się to popytają wnuki a prawnuki:
Od czego się zwie Kruświca, od czego Pałuki,
I czemu te pola nasze rodzajne tak wielce?
Oj! nasze to Kościeliska, nasze to Kościelce;
Kości, kości deszczyk mości, węgiel, spaleniska,
Krwawo nasze pracowały poczciwe ojczyska! —

Jak mi stary przepowiedział, coś mi serce ścisło.
Pływałem ja za orylką i Narwią i Wisłą.
I wesoło orylowi i znów nie wesoło;
Gdzieś tam pieski za borami oszczekują sioło,
Gdzieś tam ludzie pokrzykują na tej Narwi płowéj,
Gdzieś tam wschodzi nad lasami śliczny miesiąc nowy.
A ja słucham, bo ciekawe, co dziaduszek prawi,
A co powie, co nie powie, to się w oczach stawi.

— Po gaikach, przy strumieniach, gdzie pójdziesz, to
Bogunki się kąpywały nocką na jeziorze, [boże

Jakoby te szczęsne panny na wesołym świecie,
Co dziś jeszcze jak spią ludzie, to im się coś plecie.
A to wszystko była prawda koło chaty Piasta:
Jak popłynie za rybami, Bogunka się szasta.
Psotne były te dziewuchy, jak i drugie puste.
To się śmieje, to szaleje, pociągnie za chustę,
To cię minie, to się zwinie, to na trzcinie śwista,
To ci pryśnie, to się ciśnie jako woda czysta.
A znów drugie stare bożki u chałupy proga
Ziarno jedzą, w kącie siedzą, chwalą Pana Boga:
My ich potem potopili, jak zaś przyszedł Mieszko,
Co się zawziął na chudziaki z tą księżniczką czeszką.
Ludzie wtedy bujno rośli: co się dziecko rodzi,
To przy jego urodzeniu i drzewina wschodzi:
Więc się potem przeganiają, które wyżej będzie,
I tak bywa, że chłop rośnie, a jawor przysiędzie.—

— A jakimże to sposobem żeście tacy mali?
— A to żeby się Puszczaki głupie dziwowali;
Nie przeszkadzaj, bo jak zmylę, to końca nie będzie...
— Więc chałupa, powiadacie, i znów woda wszędzie?
— Co zaś wszędzie; ta nie wszędzie dokolusienieczka,
A tu owies czyściusieńki, a tu biała hreczka;
I zaś było gospodarstwo, wszystkiego dostatek:
Dolinami len zakwitał niewieście na płatek,

Wędziły się nad ogniskiem schaby smakowite,
I te gąski wypasione a tłuszczem okryte.
Bo niewiasta — jak poczciwa — to ci się opłaci,
Obszyje cię, opierze cię, niczego nie straci.
Taka była matka stara, za której przykładem
I pszenica się sypała, choć posiał pośladem.
Gąski kmiece pasały się z dzikiemi pospołu,
W kompanii to i dzika pociągnie ku siołu.
A żórawie, a bociany, ptasie rody wszelkie,
Jak na Gople choć i dzisiaj podziwienie wielkie,
Zlatują się z końca świata jak jeno do lata,
Więc jak wejrzysz na chałupę — czysta ptasia chata.

Co zagroda — to zagroda; wszelkie bezpieczeństwo.
Onym zwierzom takie było dane pozwoleństwo,
Że i człeka się nie bało: więc ony ptak mnogi,
Jak zhardzieje, za nic człeku nie ustąpi z drogi.
Bocian ot, nieprzymierzając, jakby cysarz jaki,
Przestępuje pomaleńku: takie to te ptaki.
A staremu pszczelnikowi okrutna uciecha,
Ta to u mnie na ostrówku spiewająca strzecha.
Spiewająca to nie bardzo, ale krzyku wiele,
A wszystko to słomę nosi, a wszystko się ściele.
Dajcież pokój wróblikowi! miłosierne bożki
Człeku dają podostatkiem i ptaszęciu troszki.

Nie krzywdzić mi! przykazuję, bo skrzywdzę za ptaszę.
Ziemia nasza, ptaki nasze i jeziora nasze.
Tak to ongi gospodarzył stary Piast zawiędły,
Ptaki przy nim cudowały a pająki przędły:
I na wszystko miał sposoby: na dolę wszelaką,
Jeno spytaj, a zaradzi, ani wiedzieć jako.
Czyli żmija dziecko wytnie, czy pies oszalały,
Już tam ciągną, choć zdaleka, choćby o dzień cały,
A jak stary słowo powie, jak obwinie listkiem,
Jak się jeno zastanowi, to już i po wszystkiem...
Jeszcze ludzie jako ludzie, woły jako woły,
Ale ci do niego lgnęły i te marne pszczoły,
Co im ule poprzyrządzał, obwijał przed chłodem,
A one mu swoje czynsze odpłacały miodem.

Powesel się, Kujawiaku, gdy pogoda sprzyja:
Stary bożek dzierży rożek, do ciebie przypija,
Chwała, chwała dla Kupała! —
— A cóż zaś Kupało?
— A to widzisz to słoneczko, co nam świeci biało,
Żeby nam zaś na wiek wieków, amen, przyświecało!
Ludzie sobie przypijają, miodek w ustach mielą
Aż do świtu, aż te lasy ślicznie się pobielą.
Jakobym cię ojcze widział..
— Kogo? —

— A rodzica. —
I małemu człowieczkowi posmutniały lica:
Sówka w lesie zahukała. Otrząsł się ze smutku:
— Hej ty, Gopło, nasze Gopło! hej! ty boży ludku
Sto talarów od chałupy na człeka przypada,
Spi czy nie spi, sto talarów król niemiecki zjada!

Wychowała matka Rzepa chłopaka do cepa,
Wychowała matka w chacie dziewczynę po bracie:
Temu dali Ziemowita, żeby patrzył ziemi,
Gdy się przyjdzie rozprawować z Niemcy szkodliwemi;
Onej dali Bogusławy, co jest miano śliczne,
Wielkopolskie najprawdziwsze, domowe, dziedziczne.
Rodziła się pod pogodą, chłopak pod poświstem,
Rodzili się na ojczystem, rośli na ojczystem,
Dziewczynina jak jabłuszko, czerwona bursztówka,
Liczko śmiechem przystrojone, kwiatuszkami główka.
Rok do roku przyrastało tego na pięć cali.
A coraz to prześliczniejsza, — cóż zaś będzie daléj ?.
Chłopaki więc zaglądały, siła jej przybyło,
Bo co spojrzy jakoś takoś, to się w oczach ćmiło.
Choć na ludzi nie patrzała, przykazania pomna,
Ale była też i śmiała, chociaż była skromna.
Spoglądała zawdy w ziemię, niby czegoś szuka,
A zaczepić, to cię wytnie: taka była sztuka...
Więc tam do niej nie przystępuj, bo gadać nie będzie,

Jak ze sierpem — to ze sierpem, jak przędzie — [to przędzie.
A od brzasku przyspiewuje to głośno, to cienko,
Jako szczera Kujawianka budzi się z jutrzenką.
Ale dziwnie harda była, jak jaka królowa:
Cóżto ona sobie myśli, dla kogoż się chowa?
Komu chowa, temu chowa, — a kto jest ciekawy,
Temu powie: „Kto chce Sławki, niech nabierze sławy!“
„A gdzież ci ta sława rośnie?“ „A jużci że wszędzie,
Więc na roli i na woli, na domowej grzędzie...“
Jeden słucha, drugi słucha: cóżto za zagadki?
Spytajcie się rodziciela, spytajcie się matki.

Raz to było na przednówku, jakości pod lato,
Bo już zboże wybujałe puszyło okwiatą,
Już się żytko pokładało, szumiała pszenica,
A do prosa zamiatała mała przepierzyca.
Idzie Sławka do jeziora: i idzie i stanie,
Psy szczekają, ujadają: czegoż to szczekanie?
Może jaki dziadowina po proszonym chlebie,
Może jaka sierocina do chaty się grzebie?
Rozgląda się po ostrowiu, gdzie wiklina, brzoski,
Zobaczyła: ano Niemcy bez obrazy boskiéj.
Po cóż oni napływają na ostrówek Piasta?
Naliczyła lutych Niemców więcej półtorasta.

Teraz będzie ciekawości dosyć i do zbytku:
Gadajcież tam, już co wiecie, zapłacę po dydku:
Popatrzę się w lewo, w prawo, na ten mech, na kwiatki,
A tu sarna, a tu jeleń, rogi jak łopatki:
I już siedzę, jako w niebie, w środku tego stada,
A on dziedzic Myszyniecki precz mi przepowiada.

II.

— Zasypiają pola, gaje, oko się nie zlępia,
Stary człowiek, niedziwota, to i nie dosypia,
A włóczy się po obejściu. Noc majowa, cicha,
Po miesiącu widniusieńko. Popatrzy, powzdycha;
Krzaki drzemią, jak drzemały: od czasu do czasu
Jeno żółwik gdzieś zaśwista z pobliskiego lasu,
Jeno słowik to raz cicho, to zaspiewa głośniej,
Jakoby też Kujawiance: rośniejże mi, rośniej;
A zagroda cała biała, miesiąc ją pobiela,
Napojone bujną rosą wiszą liście ziela.

Wzdycha stary, głową chwieje, dogaduje cości:
Będzie też to kiedy w świecie po sprawiedliwości?
Może będzie może i nie: a cóż tobie na tém?
Pod omszonym siadł gospodarz cisem rosochatym.
Aż ci tu i pierwsze kury pod strzechą zapiały,
I od chaty, od komina puszcza się dym biały,
I jakoś się budzi życie jak i każdym rankiem,
Ospiewane skowronkami, okadzone siankiem.
Porychli się i Ziemowit zakładać do pługa.

Zaskrzypiały stare wrota i słoneczko mruga:
Wypatruje swoje oczy, czy wszystko jak trzeba.
Fale pędzą po jeziorze, słonko się koleba,
Ptaszkowie się pobudzili, latają co żwawsi,
Cichusieńko, świeżusieńko, jak to u nas na wsi.

Młode lata, dobre Bogi! co za dziwowisko?
Wejrzało się na jezioro poczciwe ojczysko.
Na te kładki, na te chatki, na lipę u źródła,
Jako chłopcy nad jeziorem, wylazłszy na szczudła,
Tak na szczudłach opuszczone stare klitki gniją,
W dawnych ludzkich osiadłościach ptaki gniazda wiją.
Do nich nury podpływają za zieloną rzęsą,
Czubki w wodzie za rybkami, a nóżkami trzęsą.
Kiedy to ja przeskakiwał do chaty po kładce!
Dobrze było w starej chacie, dobrze w nowej chatce,
Porychlił się syn piastowy jeszcze ta pociemku.
„A witajże, mój witeziu, poczciwy mój Ziemku.
Posłuchajże, synku miły, gdyżeś ciągnąć gotów,
Upatrzył ja tobie dziewkę szczególnych przymiotów.“
„Rodzicielu!... jenoż cichoż, bo chyba żem zgadał,
Już ja wiem, coś ty myślał, a coś nie powiadał.
Może Grzymka, może Staszka, może mała Bronka?...
Albo Sławka?...“ Samko skraśniał jak świtanie słonka,
I na głos się roześmieje: i dziad się uśmiecha,
I chata się roześmiała i za chatą echa.

Biblioteka w Radomiu Liceum Pedagogicznego

„To ciągnijże na te miedze: jak się kopy zbiorą,
Jest ci u nas troje w chacie, daj Boże pięcioro.“

Wielkie to jest ucieszenie: chłopak pług zatoczył,
Pana ojca za kolana i raźno podskoczył,
Jakoby też koziołeczek i baran i źrebię;
Świat mu cały otworzony, więc jemu przed siebie,
Leciałby też jak szalony: a siwy z graniastym,
Muchom się wciąż oganiając, patrzą wstecz za Piastem.

Pod południe aż ci parno i na deszcz się zbiera
Wrona siedzi wedle wrony, gardziele rozdziera.
Kiedy słońce gorejące, na świecie zaducha,
Baran ciągnie do barana, kożuch do kożucha,
Żeby jeszcze cieplej było, bo im to za mało.
Ale niechże grzmi na niebie, nie będzie to stało
To się baran kręci, wierci, i wół niepokoi,
Jak zawzięte kury pieją, gęś krzyka a stoi,
Łabędzie też podlatują, żaby wodę mącą,
A muchy się jeno gonią a nosami trącą,
Pszczoła domu nie odbiega, cicho ul obsiada;
Więc pewnikiem padać będzie, jeśli już nie pada.

Kiedy sobie nasz Ziemowit układa szczęśliwie,
Że mu sprzyja i pogoda i wszystko, co żywie,
I w swej myśli zapowiada bożym ptaszkom jadło,

Kiedy ani nie pomyśli, żeby co przypadło,
Aż tu naraz już przypada, patrzcie — sama ona:
„A cóż ci to, Sławko miła? źrenica czerwona,
Jakoby też u sokoła i ściśnięte pięście?“
„Hajwo, synu gospodarski, nieszczęście, nieszczęście!
Wydzierają nasze pszczoły z pasieki na szlaku,
Przewrócone setne ule, pniak leży na pniaku.
Niczego tak nie żałuję, jak ojcowych uli;
Bodajże im za tę krzywdę wnętrzności wypruli!
A to przecież niepodobno, tak zaś być nie może,
Hajwo, krowy nasze ryczą, spędzone w jeziorze.
Miody z ulów wydrapali, patokę i suszę,
A widzisz zaś wycinają pradziadową gruszę!“
Tak powiada, a Ziemowit już też i nie słucha,
Jeno sobie długie włosy odgarnął od ucha,
I potoczył heć, heć! woły po ojcowej roli:
Widno że mu jego serce sprawiedliwie boli:
„Biegaj, dziewcze, po zagrodach, od płota do płota,
Zapowiadaj na robotę, bo będzie robota!“

Poskoczyła, jak po zbożu południca czysta,
Tak ci jeno wiatrek goni, co przy uszach śwista;
Jako ptasze niecierpliwe, jak sarenka sadzi,
Jużciż takiej tanecznicy koszulka nie wadzi.
Żeby to tak czas potemu, człek by patrzał za nią,
Jak za jakiemś objawieniem albo za łanią.

*

Alboli też za Bogunką lub za leśną panną,
Co lecąca nie otrąca bujną rosę ranną.
Jeno czasem pod jej stopką ziółko się zachwieje,
Przesunie się przed oczami, i człek ogłupieje.
Nie skrzydłami bo rączkami pomaga se w locie:
„Oj ty, moje srebro, złoto, oj ty, moje krocie!“

„Hej! cóżto tam za hałasy?“ stary Piast powiada,
Z dalekości roi się tam, przy ziemi gromada,
A kto pierwszy, kto szybciejszy, to ci wraz podrasta;
Rośnie, rośnie, jak z pod ziemi, przed oczami Piasta.
A już Semko ze wszystkimi z cepem okrutecznym;
Przeszli lipy, pod jaworem stają starowiecznym.
„Chwała Bogu najwyższemu, otośma ich sprali,
Wasz Ziemowit nie piorunnik, i to mu się chwali!...
Zbiliśmy na kwaśne jabłko tych niemieckich gości,
Niechże teraz porachują, siła braknie kości.
Co my kopce nasypali, rozkopały biesy,
Królewscy tu następują na Piastowe kresy,
Od bugaju uroczyska za tą naszą miedzą;
Niechże już miarkuje Popiel, gdzie ojcowie siedzą!“

Teraz było widzieć człeku, co to głowa może,
Jedna taka starowina przy ciemnym jaworze:
„Widzę, żeście wszyscy młodzi, więc prawice swędzą,
Gdzie okaże się potrzeba i lecą i pędzą“

Więc się stary roześmieje: „Hej! źle rozumiecie,
A wiecie wy? siła złego? oj! siła na świecie:
Tedy koła odłożywszy, sprychy i hołoble,
Trzeba mi się wedle lasu przebierać za groblę.“
I to rzekłszy wszystkie swoje żelazka poskładał,
Chcieli, żeby przepowiadał, lecz nie przepowiadał,
Jeno w drogę, jeno w drogę nasunąwszy miecha.
Co mu sterczy nade głową, jak nad chatą strzecha

III.

W one czasy były lasy nie takie, jak dzisia.
Idziesz lasem wędrujący, nachodzisz na mysia,
A on sobie łapę liże na przednówku głodny,
Ale niechże przyjdą zboża, posiłek ma godny.
Widziałem ja ci maruchę, jak się w zboże kacza,
I do zbioru nie daj, Boże, takiego zbieracza;
Jak się żytem opakuje, zagląda do barci:
Więc go za to wszelki pszczelarz niepomału karci.
Na jesieni wichry trzęsą puszczą tą pokrytą,
Wilk zapędza się po lesie, lis wykręca kitą.
Czego nie ma w naszym lesie? wszelka rozmaitość.
To ci płacze gdzieś bobrzyca, aż cię bierze litość;
Jako one biją się też, kiedy domki grodzą,
Jeden z drugim, jak dwa chłopy, za bary się wodzą.
Zwierze to jest niewieliczkie, ale mi się widzi,
Że co tycze się rozumu, człowieka zawstydzi.
Jakież on tam cuda czyni w swej wodnej zagrodzie!
A potem zaś odpoczynek, a ogonek w wodzie.

A bobrzyca, jak bobrzyca, tak też jak niewiasta.
Jeżli dzieci nie pilnuje, to ci ją wychlasta;
Więc ta potem po swojemu płacze a narzeka.
Wydra siedzi nad jeziorem, woda po niej ścieka,
Żbiki zdobycz przepatrują z pod sosnowej wiechy.
Na leszczynie wiewióreczki zbierają orzechy.
Żebym ja miał tyle szczęścia, ilem widział zwierza,
Od jelenia do niedźwiedzia, od jaźwca do jeża:
Com się lisom nadziwował a płynącej łosi,
Kiedy ciągnie po jeziorze, zda się las ponosi.
I zajączek sobie kica, który trawką żyje,
Zamiast wina, niebożątko, czystą wodę pije.

Więc po lasach pustelnicy i tam i sam szczupli
Kryli się, nieprzymierzając, jako sowy w dziupli:
Kędy będzie owe dziupło, coś tam niby świta,
A to święty pustelniczek na książeczce czyta.
W onych dębach wypróchniałych siwe dziady siedzą.
A choć w świecie nie bywali, a o świecie wiedzą:
Kędy jaki cny gospodarz, a gdzie zbójca srogi;
Czy im wieści te przynosił bocian długonogi,
Czy też żóraw wędrujący, tego już nie powiem.
Zwierze wedle owej dziupli cieszyło się zdrowiem,
Wszystkiemu się tam znalazła pomoc a opieka,
Choć tam niedźwiedź chromy przyjdzie, choć jeleń

I tak lasy się ciągnęły aż za Ostrołękę,
Schodźże teraz wszystkie bory, kto ci poda rękę?

Do Myszyńca za onymi, chociaż i nie blisko,
Przeprawił się, ja tak myślę, stary Piast kościsko.
Pokłonił się pustelnikom i coś ci im gwarzy;
„Moje święte dobrodzieje, ojcowie wy starzy,
A to tak i tak się stało, ano to i owo:“
Więc takiemu człowiekowi dosyć jedno słowo.
Węzełek se zawiązali dla lepszej pamięci,
Cudów oni naporządzą, bo na to są święci.

Świeci wieża Popielowa od zmroku do rania,
Na niej pali się łuczywo, ogniem wiatr zagania.
Pode bramą straże stoją, w żelazo zakute,
Zaraz poznać, kto przystąpi, tę niemiecką butę.
Ciemno, chmurno, niepogodno, woda w brzegi chluszcze,
„Puszczaj, chłopie, do Popiela!“ „Otóż że nie puszczę“.

„Któż tam stoi przed wrotami?“ „Pustelnicy przyszli.“
Zadumał się pan Kruświcki: znać mu nie po myśli.
„Powiadają, że przynieśli coś tam, co ciekawe...“
„Jeśli srebro, jeśli złoto, to im podać ławę.“
„Może tam i złoto będzie?“ „To puścić na schody,
Niech mi schody zamiatają te słowiańskie brody!“

Jakci draby otworzyli zamkowe wierzeje,
Wchodzą, patrzą, przepatrują, co się w zamku
[dzieje:
Ćma okrutna, te murzyska tynkowane sadzą;
Ruszyło się drabów czworo, prowadzą, prowadzą.
Więc dopiero jedne draby w piwie wąsy moczą,
Więc dopiero drugie miecze na oselce toczą.
To oksefty z winem stoją, z słodką malmazyją,
Bo książęta — cóż zaś robią? — jeno jedzą, piją.
Więc dopiero na stolicy Popiel z Popielową
Siedzą nogi założywszy, jako sowa z sową,
Kubełkiem się trącający od złota, od srebra,
A tu blacha pozłocista obciąga mu żebra
Aż do nogi, a ostrogi, a ciżmy też z blachy.
Na królowej złotogłowy: siedzą jak dwa strachy;
Przecie się te pustelniki, co przed nimi stoją,
Ani króla, ni królowej, niczego nie boją.
„I cóż was tu przyprowadza nocnej zawieruchy?
No gadajcież! jeno żwawo, leśne wy staruchy!
Jeśli będzie co dobrego, odliczę nagrodę,
Jeśli będzie co drugiego, spuścić każę w wodę.
I cóż to zaś za książeczki i co w onych stoi?“
„To w nich stoi: pan Kruświcki Boga się
[nie boi.
Ni piorunów najjaśniejszych...“ „O tem wszyscy
[wiedzą“.

—„Ale o tem nic nie wiedzą, że go myszy zjedzą".
„Oj ty głupi, pustelniczku, to są śmiechy szczere:
To mnie mówisz, myszy zjedzą?" A on mówi: „wiere;
Tak zaś stoi zapisane, jaśniejszy, dla ciebie."
„Któż zaś pisał takie duby?" „Ten a co na [niebie".
„Hej to chyba wasze głowy takie bajdy klecą".
„Spisały to takie głowy, co gwiazdami świecą."
„A skądże się wezmą one?" „Gdyżeś jest cie- [kawy,
Zpod rycerzy, zpod mogiły, zpod zielonej trawy..."
Więc się Popiel rzuci z tronu, a był jak pijany.
I za brodę pustelnika od ściany do ściany:
Okrutnie się rozezłościł, bezprzytomnie prawie;
A królowa Popielowa śmieje się na ławie
I powiada: „Jaśnie królu, mój panie małżonku,
Kazałbyś tu powrożnikom przynieść po postronku,
I te leśne pustelniki na zielonej gruszce,
Powiązawszy rączki, nóżki, powiesić jak głuszce.
I baba się z pazurami porychli do grdyki,
Oj biedaż to będzie z wami, święte pustelniki.
Będzie albo i nie będzie. — Popiel, jak szalony,
Ani dziadów już nie widzi, niczego, ni żony;
Gdy za mieczyk raz pochwyci, u pasa wiszący,
Tnie, zabija, co po drodze, tłucze samochcący;
A dziadaszki już widoczna ręka boska strzeże.

Jednym skokiem, jak szalony, wyleciał na wieżę,
I dopiero na wieżycy, jak chrabąszcz ognisty,
Puszcza mieczyk naokoło z straszliwemi świsty.

I księżna też zaślepiona po powietrzu maca,
Próżna ręka na wiatr poszła i próżna powraca;
Oblatują wkoło siebie jak dwie wściekłe osy,
„Bogi!“ krzyczą, ale głosy nie idą w niebiosy.
I draby się pochowały i wszystko, co żywe,
Uznający panów swoich chęci niegodziwe.
Jedno drugie naśladuje; ażci jedną razą
Natrafiło swoje swego okrutne żelazo.
Jako nimi zaślepienie od Boga owładło,
Huk się zrobił po komnatach, grzeszne ciało padło.
Więc gdy krew go ochlusnęła, jak woda z jeziora
„Rety! kona księżna pani!“ Ratować nie pora.
Jako dobrze ugodzone, konające dropie
Coraz to skrzydłami rzuca, to nogami kopie,
I na raz się naprostuje i więcej nie grzebnie;
A potrzebnieś panów stryjów potruła, potrzebnie?...
Twoja złota wej korona po głazach się kacza,
Widzisz, babo, czarownico, że Bóg nie przebacza.

Polała się krew obfita na zamkowe cegły,
Wszystkie Niemcy i Niemkinie w komnatę się
[zbiegły.

A tu krzyczą od wieżycy same pierwsze straże:
„Myszy! myszy!“ podziwienie, co się zaś okaże.
Ano swego się doczeka, kogo skóra łechce.
„A cóż mnie tam takie myszy? nabiję, co zechcę!“
Patrzą, patrzą: oj nie myszy, jeno widły kmiece!

IV.

Pod borami, pod lasami, na Narwi, na rzece
Holują tam nasze flisy; gaje a bugaje,
Czlek jak ptaszek siadł na drzewie, z ptakami przestaje,
Od ptaka się uczy krzyku i krzyku i skoku,
I tuczy się z maleńkości na bożym obroku.
Pod borami, pod lasami, znane po ochocie,
Puszczaki się okopały czyli Kurpie, Gocie,
Krępe, małe a zuchwałe i sławne strzelaszki,
Kapelusik, łapcie, łuczek, strzelaszki na ptaszki.
Tam na ptaszki jak na ptaszki, lecz gdy źle się zdarzy,
A zechce im w kaszę dmuchać, to się zaś oparzy.
Na sosnach tam wiszą gniazda; okrutne szerszenie,
Niech Bóg broni i zachowa, jak się to wyżenie.
Jak zakręcą, jak zabrzęczą nie żądłem a strzałą,
To niemiaszku, nieboraszku, nie uchodzisz cało.
Okrutnie to zapalczywe, a żwawe a sforne,
Myszy, myszy dokuczliwe, choć i niepozorne.
Laski, piaski, sine wody onych kraj jedyny,

Z lasu ptaki wybierają a z piasku bursztyny.
Temu u nich przeźroczyste, wszystko czyste, nowe,
Stoły u nich modrzewiowe, statki bursztynowe;
A dziewica, krasnolica, na wianeczek wije
Same jaskry pozłociste, same konwalije.
Zwiedziały się te Puszczaki i — hej na Kruświcę!
Kto przynosi łuki, strzały, kto samą kłonicę:
Za burzą to przyleciało, za deszczem, za pluskiem,
Co tam było pod Brańszczykiem i co pod Pułtuskiem.
Bogom się też poleciwszy, bo to ludek święty,
Kurpie sobie obciągnąwszy leci jak najęty.
Jak tam rośnie trawa w polu, jeden Puszczak słyszy,
A już nie ma na wojenkę jak te marne Myszy.
Ode wschodu do zachodu Gopło się przewala,
A deszcz pierze po jaworach; dopiero ci fala!
Spojrzy w prawo, spojrzy w lewo, na te cztery strony,
Świat deszczami zadeszczony, dymem zadymiony;
Rozdzierają się chmurzyska, piorun po piorunie,
A gdzie chmura się oberwie, jak z cebratki lunie.

— Ale cóż te pustelniki? — Wszystko przewidziane,
Pustelniki w lesie schodzą łąki malowane.
Po wieży ich poszukują z tem łuczywem smolnem,
A ci sobie paradują po powietrzu wolnem,
A ci sobie kwiatki skubią Bogu na ofiarę,
A ci sobie powiadają historyje stare.

Nie wiedziały, nie słyszały kruświckie Popiele,
Że ubogie pustelniki miały jedno ziele
Takie, co tam rośnie w puszczy, szczególny korzonek,
Że ci zniknie przed oczami w najjaśniejszy dzionek.
Chwała Bogu najwyższemu! cóż zaś teraz będzie?
Będzie, jak tam osądzone przez strasznego sędzię.

Widząc tedy książe Popiel, że to nie przelękwki,
Każe siodłać wszystkim swoje bułanki i siwki.

„Obyż nas ta moc niemiecka do nogi nie zgniotła"!
„Nie bójta się Myszeńczuki!" woła stara miotła.
„Cóż? ja jestem marna miotła, wiklina, a przecie
Kto mnie ściągnie, kto powiąże, śmiecisko wymiecie" —

Cóż mi więcej nie powiadasz, co mi patrzysz w lice?
— Co ja patrzę, to ja patrzę, to nie na próżnicę,
Jeno co mi przypominasz te piastowe synki,
Lica w lica, oczy w oczy: żeby tak uczynki! —
I on stary dziadowina niby królik mysi,
Jakoś smutnie przepatruje, gdzie się lasek łysi.
A ja siedzę nie mówiący, a coś w duszy skómli,
Aż on znowu pocznie brzęczeć jak cygan na drumli.
—„Czegoż siedzisz, Ziemowicie, kędy dziewki przędą?"
„Oj pójdęż ja do Popiela z Piastową kolędą;
Już jak wojna, matusieńko, to już nie zabawka".

„Czegoż się ta po jeziorze kręci nasza Sławka?
Przyciągnęła łódź do kółka, co go ojciec zakuł,
Na cóż tego jej łuczywa, na cóż jej tych pakuł?
Czy się oni podmówili, czyli co niewiadku?
Zachowajże, Panie Boże, dzieci od przypadku,
Żeby zaś tam nie spotkały jakowego licha.“
Tak tam prawi matka stara, na imię Rzepicha.
„Co tam będzie, to tam będzie: to się nie powiada.
Jeno niech tu matuleńka na ogień nakłada,
Jeno niech tu drugie bratki zakłują dwa wieprze,
Jeno niech tu przyrządzają miody co najlepsze.
Żeby była i kapusta i pęczak z omastą,
A dzieżeczkę wam pobiłem, matusiu, na ciasto.
A ty, Sławko, płyniesz ze mną?“ „A jużci“ odpowie.
„A podpalisz?“ „A podpalę!“ „Daj ci, Boże, zdrowie“!

Ktoby myślał, że szczupaczek, a to łódka szybka:
Opłynęła cichą wyspę Ziemowitów krypka.
Płyną, płyną, opływają; ciemna noc jak w miechu,
Pod Kruświcą wojna sroga, więc to nie do śmiechu,
Czerwieni się ogień straszny na całe jezioro;
To raz dymy zaciągają, to się wody zbiorą,
To uderzą w oną łódkę, mało nie przewrócą,
To chlupocą pomalutku, cościk balamucą;
To na trzcinach zaskrzekają ptaki na noclegu;
Łuna bije po jeziorze; wojaki u brzegu,

Jedni stoją, drudzy stoją, trzeci ogień kurzą.
— A dużo tam tego ludu? — Oj dużo, oj dużo!

Wicher wieje zacieczony, łódeczką zamiata,
Ludzie ich nie poswatali, wojna ich poswata.
Oj! bo też to czarownica i gorsza od drugiéj:
Oj! ty, oczko dziewczynine, oj ty, włosie długi!
Oj ty, pysiu najmilejszy! choć tam i wydzbęka,
To się zdaje z przeproszeniem delikatna ręka.
Jakto ona wiosło trzyma, siedząc na dnie łódki!
Jeśli u niej włosy długie i rozum nie krótki.
„Siedźże mi tu w gotowości, a ja między swoje:
Nie przeciwiaj mi się, Sławko! bo o ciebie stoję".
„A no jużci jak potrzeba", i ząbeczki szczerzy,
„Będę ja cię szanowała, jak będziesz na wieży".
„Czy tam będę, czy nie będę, musisz mnie szanować".
„Bądźże zdrowy". — „Bądźże zdrowa".— „Panie Boże
[prowadź!"

Gdy obrzaskło, pędzą Niemcy od kruświckiej bramy,
Ej chudziaki! jaki taki okrył się piętami.
„A toż stójcie! a toż ludzie! a gdzież wasza głowa?"
Głowa siedzi za dębami, za kłodą się chowa.

Już co prawda, to jest prawda, i każdy to przyzna:
Że jest miła człowiekowi jego ojcowizna,

Że jak przyjdzie co do czego, naród się nie szczędzi,
Jeno aby kosę chwyci, i dalej, i pędzi.
Przecie za tę ojcowiznę i ludną i cudną
Ręki to ci nie zabraknie, a o głowę trudno;
A jak przyjdzie — to niedojda albo szaławiła,
Co nam przez to rozkazuje ta niemiecka siła.
—„A toż, ludzie, opatrzcie się! wzdyć was nikt nie [ściga,
A ta jazda popielowa w dalekości śmiga:
A to lecą jak jelenie albo i zające,
Ażci wam się żaby dziwią z wody wystające.
A cóż was tak przepłoszyło, Mazury, wypłosze?
Nie bądźcie wy zającami, bardzoż ja was proszę".
Więc się ludzie opatrzyli słuchający Ziemka...
„Czy was albo ozionęła czarownica Niemka?
A toć słonko, a dzioneczek, nasza okolica,
Tać to nasza polska ziemia, nasza to krwawica!"
„Stać!" wołają od prawego, „stać!" wołają z lewéj,
Krwi ta ziemia pożądliwa, trza jej pod zasiewy.
„Hej! narodzie sprawiedliwy, bratkowie gromada,
Któremuż to wojakowi komenda przypada?"
Gdzie tu będzie wojewoda, szukać wojewody?
I tu kłoda i tam kłoda: prowadzą z za kłody.
„Toś ty taki wojewoda? żal mi cię, nieboże,
Wartoby cię za komendę przepławić w jeziorze;
Bo żeby to chuderlaczek, ale chłop, jak trzeba,

Spaśny jesteś, wojewodo, napsułeś ty chleba.
Patrzajcież go Myszynieccy, ręce, nogi w kłody!
Spijałeś ty smaczne piwko, napijże się wody!
Kiedy będzie srogi Niemiec na nas następował,
To ty będziesz wykrzykiwał a potem się chował?
Do krzyczenia, powiadają, od ucha do ucha;
Zostawcież mu tę gadaczkę, niech sam siebie słucha.
Zapomniałeś, jak się gada, co ci miłe życie?“
Ziemko chwycił wojewodę za boże poszycie:
„Idźże sobie, skądeś przyszedł, nic ci nie uczynię,
Żebyś krzyczał, rozkazował, gdzie wieprze a świnie!
Dla wojaka, dla rodaka gospodarska córka,
A tchórzowi i wrzeciono i zajęcza skórka.
Bo ja tutaj rozkazuję... Narodzie, do ładu!
Nie bójta się, Myszeńczuki, niemieckiego gadu!
Gdzież zaś będą myszy sławne?“ Naród odpowiada:
„Łan Kurpiowski, łuki, strzały, dziewiąta gromada“.

„Hej! baczenie, Kujawiaki, wej się Niemcy kopią,
Zobaczycie jeno bliżej, jak się oni stropią:
Jeno niżej, jeno niżej koniom przez pęciny.
Będąż oni cudowali bez wszelkiej przyczyny?
Dołem, dołem, — żwawo, żwawo!..“
Jak rzekł, tak się stało:
Poszły kosy równym ściegiem, Niemców naspadało.

„Ano, kiedy zboże leci, zluzujcież ich cepy,—
Młocka, młocka — a rozbijać żelazne czerepy!
Terazże ich gospodarze, a naprzód kto młodszy,
Mniejszych Niemców po raz, po dwa, a starszych
i po trzy!“
„To mi szczery wojewoda! to już polskie dziecko,
Żebyż to tak każdy nasiadł na duszę niemiecką!
Zaraz poznać gospodarza: poprząta i młóci,
Z takim chodzić na robotę to się i powróci.“
Tak tam ludzie dogadują ocierając czoła,
Myślą, że już po robocie, a tu Ziemko woła:
„Baczność! Niemcy nalatują z pode mgły, tumana.“
Wyrównała się kołami najeżona ściana.
Tak ci czynią też gromadzko pasące się tury:
Brody jeno, łby do ziemi, a rogi do góry.
Napatrzył się ja, napatrzył tego rozgardyasza,
Nad jeziorem się gotuje, jako w garnku kasza.
Tu się jeden z drugim wojak za orzedle chwyta,
Tu konisko wyciągnęło przeziębłe kopyta;
Tam się głównie dopalają, gdzie się ludzie grzeli;
Tam zabity nieboszczyczek, koszula się bieli;
Tam Kujawiak obskoczony, jak dzik się odcina,
Oszczepy zaś pokruszone lecą jak trocina.
Zrobiła się kotłowina, co niech Bóg uchowa.
Leci jeden srogi Niemiec, co machnie — to głowa;
Przecież emu kum Piastowy doskoczył do uzdy,

Pociągnęli za żelazo: a nie przełaź bruzdy!
Następują Kujawiaki, ćma narodu sroga,
Pomiarkował młody wojak, myśli sobie: noga!...
I możeby uszedł cało, choć i było ciasno,
Aż tu jego własne Niemcy i bramę zatrzasną.

V.

Więc dopiero próbowanie: „Najstarszemu stanę:
U rycerzy takie prawo, tak jest przykazane".
„Ano kiedy takie prawo, to dobrze, to który?
Albośwa to nie Puszczaki, albo nie Mazury?"
Patrzy, patrzy jeden, drugi, chyba nie poradzi?
A ony się jeno śmieje, jeno brodę gładzi.
„Myszy, myszy myszynieckie, schowajta się w dziupło!"
Więc Ziemowit zaciął zęby, aż mu w szczękach chrupło
„Oj, niemieckie ty nasienie! za twoje pogróżki
Niechno ja się ciebie czepię, natoczę ci juszki."

Boli gardło spiewać darmo: z takiego powodu
Chcecie wiedzieć jak tam było, dajcież kroplę miodu.
— A skądże wam tego miodu, gdy wioska daleka?
— A to widzisz z tego będzie, bo to jest pasieka.
Cóż ty myślisz, że żywica? pomiarkuj czy lepka;
Pszczoły moje, moje roje i moja izdebka.
Naści, Kurpiu, tego miodu choćby po kruszynie,

Po tem słówko ślicznie płynie, jak zdrój po dolinie,
I piosenka mazowiecka od brzega do brzega
Pagórkami, dolinami, na kraj się rozlega.
Wziąłem tego od starego na koniuszek noża:
Aż mi w oczach ziemia błyśnie od morza do morza.
Przyglądam się wszelkiej górze, wszelkiej ludzkiej [strzesze,
A Gnieznienko mi widnieje, sokół pióra czesze,
I jezioro się przeciera, coś jak mgły jak modre,
A oko mi leci, leci za Dunaj, za Odrę,
Do ucha mi trąbki grają, a dziaduś mnie trąca:
— Widzisz, dymek od ostrowia idzie do miesiąca?
— Nic nie widzę, nic nie słyszę, ciężko mi jak [z pierwa,
Co mi orzeł w ucho krzyczy: Ścierwa, Niemców [ścierwa!
— Ano cicho! zaraz będą i cepy i obóz.
I staruszek siedzi w drzewie niby siwy kobuz,
Bystro jakoś wypatrując, a jak sokół kwili,
I jak czapla przepowiada: będzie deszcz po chwili.

— Nastawił się srogi wojak: „Sam tu naprzód, noga!“
Zadumał się jeden, drugi, objęła ich trwoga:
Co się na nich wejrzał srodze z żelaznego dzioba,
Myślą sobie nasi ludzie: cóż to za osoba?
„Albo mnie tu, albo tobie, albo i nam obu,

Po słuszności tak być musi, bo niema sposobu...
Sam tu, ścierwo! kiedyś taki, prosimy też grzecznie,
Bo ja Niemca kruświckiego muszę wziąć koniecznie.
Nie rozumiesz ludzkiej mowy, niemiecki Niemiaszku?
No więc zgoda, co Bóg poda, spiewajże mi ptaszku!"
„Trzymaj, trzymaj Piastowiczu!" „Pewno co nie puszczę,
Będzie on tu straszył oczkiem, aż mu je wyłuszczę".
Śmiech się rozległ naokoło, okrutna uciecha,
Jużci wstaje wojewoda, jużci go zaniecha.
Ułagodził okrutnika, że się już nie rusza;
Obejrzą się hen po świecie, gdzie niemiecka dusza?
Prosiła się żeby w konia, lecz i koń się chroni;
Zobaczyła sarnę w lesie — ano leci do niéj:
I sarna się wymówiła. — Przeleciała chwilka,
Nawinął się wilk po drodze, dusza wpadła w wilka;
I ta pędzi — sama nie wie — po głębokim lesie:
Bies ją niesie borem, lasem: to nieśże ją, biesie!
Toć już chyba po wszystkiemu? — Nie tak to tam z niemi,
Niemców jest co gwiazd na niebie, co piasku na ziemi,
To co będzie, jak co będzie, jak cości niewiada,
Jak ta liszka, co kapustę na grzędzie objada.
— I cóż dalej? — Wojewoda podciągnął pod wrota
„Widziszże ty, dziewcze moje, jaka nasza cnota?
A widziałaś, jak my bili?" „Pewno, com widziała".

„A naśmiałaś się z wojaka?“ „Pewno, com naśmiała.“
„Biegajże tam, dziewcze moje! a masz ci krzesiwo?“
„Wej za nadrzem“. Ukazała. „No, to biegaj żywo!“

Jak to pole równiusieńkie, jak ziemia daleka,
Tam zapędza się gromada, druga na nią czeka.
Dziwo, że to przeskakuje od murka do murka,
I tu chmurka i tu ogień i tu znowu chmurka;
Już ci było, już go niema, kęś się zapodziało,
Wicher puścił się od dołu, podbił płachtę białą.
Czarownica li to jaka, czy gnieźnieńska Nija?
— Cóż zaś Nija? — A to Nija, co ludzi zabija.
„Bij! zabijaj!“ powołują, a okna się palą,
Zaganiają się za Sławką, a tu nasi walą.
Miecze brzęczą, ściany jęczą czarnego dziedzińca,
Co do bramy dobijają Myszy od Myszyńca.
Nie pomogą i topory; woza zatoczyli,
Teraz będziem kołatali, będziem w ścianę bili.
Co i raz to wóz podleci, a co koła wytną,
To się wrota obluzują, to zawiasy zgrzytną...

Znacie Niemcy, co niemieckie, poznajcie co kmiece.
Marna czajka niesie jajka przy boskiej opiece
I na Gople wysiaduje w wiklinie a trzcinie,
A już pierwej, nim dzieciątka, ona sama zginie.
Któż zaś tego nie świadomy? nad myśliwskie czoła

Kręci się czajeczka biedna, setne toczy koła,
Jakoby też frasobliwa o potomstwo młode,
A to ona odprowadza dybiących na szkodę...
A to ona pokrzykuje: „ki hi! ki hi!“ ptaszka,
Niby fraszka życie moje — a dzieci nie fraszka.
Tak też Sławka odciągała wszelakie baczenie:
Więc się Popiel rozjadł stary: „Zabić mi to szczenie“.
Ale jakże ją zabiją, kiedy ciągiem lata?
A Ziemowit precz kołata — aż się dokołata.

Kiedyż się to owa brama o ziemię nie zwali,
Kosy błysły, strzały świsły, Myszynieccy daléj!
Więc dopiero zawierucha, jak skoczą żeláźni!
Wicher leci od jeziora — ale Niemcy rażniéj.
A cóż myślisz, jakże będzie?
— Ha poginą naszy...
— Otóż widzisz, żeś jest baran, któż się Niemców straszy?

Wojewoda zbiera swoje, może co i zbierze?
Powpadały w wilcze doły niemieckie rycerze,
Co je nasi pokopali, pokryli dokładnie;
Karki trzeszczą, Niemcy wrzeszczą, bieda kto zapadnie
„Po pęcinach, po pęcinach!“, ano widzisz — brachu.
Uciekają i rycerze, tedy niema strachu.

„Odpoczynek, odpoczynek!... Niema tam napitku?“
Wytoczyli z zamku beczki, jest tego do zbytku.

„Nie pić! nie pić! nie żałuję, będziem pili potem,
Wara, chłopcy, wara!“ — Ziemko krzyknie jakby [grzmotem.
Więc go wszyscy posłuchali: jeden się poszkapił,
Niemcy go tam posiekali, co się dużo napił.

Terazże nasz wojewoda Niemcom łupnia zadał;
Żebym ja miał sto języków, tobym nie wygadał;
Cały dzień się mocowali...
Przyleciała Sławka:
„Pali, pali się wieżyca!“ „Twoja to zabawka!
No jak teraz, jużeś moja.“ „Jeszcze ja nie twoja,
Aż tam wleziesz na wieżycę zabić tego zbója.“
Przyleciała szybka strzała, człek się zwalił przy niéj.
„Co nie pójdę? otóż pójdę, niech się co chce czyni.
Za mną chłopcy!“ – a tu druga od wysokiej wieży,
Popatrzy się wojewoda: drugi człowiek leży.
„Masz ty, Sławko, takie oczko, co stanie za krocie,
Upatrzże mi tego strzelca, co się zwraca do cię“.
Sławka ręką odrzuciła: „A wej go, tam siedzi,
Ale któż go tam dostanie w tym kociołku z miedzi?
Chyba że go w oko wytnie, a gdzież oczy sprytne?“
„Dajcież mi mój modrzewiowy, to już ja go wytnę“.
Jak naciągnie, jak nałoży, odleciała żmijka,
Pochyliła się ku ziemi ta niemiecka szyjka,
Aż i łuczek aż i strzała aż i rycerz cały,

Kiedy leciał po kamieniach, trzy się oberwały,
I o ziemię i na ziemi jakby drzewo spadło.
„Oj ty, Sławko, moja Sławko, ty boże zwierciadło!“

—I cóż dalej?—A cóż dalej,— Ziemko w zamek drze się,
A dwóch ludzi od radości jego pannę niesie.
„Bijcież tam a zabijajcie, bo tego za długo,
Ja Ziemkowa zaswatana, a ty znajdziesz drugą“.

Przyszedł, przyszedł Popielowi ten dzień i miesiączek,
Już się naszym, panie królu, dostaniesz do rączek.
Jak się chłopcy zawinęły kołem murowańca,
Jak te myszy zaprosiły Popiela do tańca...
—I cóż Popiel? — Ano, bieda, w wieży nie dosiedział,
Gdzie uciekać, jak uciekać, już też sam nie wiedział
On na wieżę — mysz na wieżę, on z wieży — mysz
[z wieży,
Co sto myszy roztratuje, ciągnie zaciąg świeży.
Ten za nogę, ten za rękę, ten wisi nad łydką,
Myśli sobie pan Kruświcki: będzie z nami brzydko!

Kazał sobie zrobić banię na jezioro szklaną,
Jak się skryje w onej bani, toż go nie dostaną.
Dobrali się i do bani, rozbili o wilki,
Nie wytrzymał Popiel z nimi ani jednej chwilki.

Ten za ucho, ten za połeć, jak ci go obsiadły,
Choć był silny książe Popiel, myszęta go zjadły...

Stanął Ziemko na wieżycy: skończona zabawka,
Obejrzał się wskróś po świecie, koło niego Sławka:
„A cóż to jest?“ „A toć wieża“. „A czyja?“ „A Mysia.“
„A toś moja?“ „A tom twoja“. „To dajże mi pysia!“
Strasznie mi się podobały te myszy zawzięte:
Jak zaś nie miał wierzgać Popiel, gdyż go gryzły [w piętę?

— Ano widzisz, to tak było: weseli się ludek,
I już płyną na wysepkę we sto, dwieście łódek.
To dopiero powiadanka aż się w głowie kręci,
I jużbym chciał walić Niemców z sprawiedliwej chęci.
Płyną młodzi Myszynieccy i starszego wieku,
Co też Niemców się lękają jak żabiego skrzeku.

Słońce wschodzi nad jeziorem, na jeziorze gładko,
Bociany się poróżniły i klekcą nad chatką;
Spojrzy Sławka po ogródku, po tej swojej łące,
A tam chodzą bez pilności gąski szkodujące.
Więc ta krzyku naczyniła: „Hej, matusiu Rzepko!
Bodajże to z waszą biedą i z waszą izdebką.“
„Cichoj, cichoj!“ Ziemko prawi, „już ja baczę o tem,
Pokryję ci twój zagonek szkarłatem i złotem,

Bo my teraz jak Popiele, albo jeszcze więcéj."
Więc się przecież uspokoił frasunek dziewczęcy.
„Będzież miała tych różności różnych na zapaskę".
Więc gdy ślicznie dziękowała za takową łaskę,
Ażci idzie Piast stateczny i co było z rodu,
Aż tu matka chleb wynosi i plasterek miodu.
„Gość do domu, Bóg do domu, jeszcze tacy goście
Myszeńczuki, a toż jedzcie, dzieci, a toż proście!"
Aż tu starszy Puszczak prawi: „Gospodarzu z kępy,
Serce nasze jako złoto, chociaż rozum tępy;
Więc ja się tu krótko sprawię: szczęście przy twym
[synie,
Przy twym synie, przy dziewczynie, przy tej okruszynie.
To my Niemców posiekali na te kawałeczki,
A tu jubki, a tu kubki, wina cztery beczki:
A to różne materyje, drogości, bławaty,
A tam szczury dogryzają Popielowe gnaty.
Chwała tobie, Piastowiczu, chwałaż tobie, Piaście,
Przywiedliśmy za łódkami koni kilkanaście,
Bo to zwierze samo płynie, jak nur po jeziorze."
Rozśmiało się do narodu wszelkie dobro boże:
Bo to były dobre bożki, choć i niepozorne,
Co tam z lasu przychodziły na wieś na komorne.
— „Ano prawdę powiadajcie, a miejcież sumienie,
Czy się aby nie zostało Niemca na nasienie?"
„Co zostało? nie zostało!" stary nie dosłyszy:

„Wydziobalim!“ zawołały Myszynieckie Myszy.
Tedy stary czapkę z głowy ludziom na podziękę:
„Oj, ozłocićże każdemu tę rzetelną rękę!“

Teraz będzie najpiękniejsze...
— Cóż zaś teraz będzie?
— Leci żołna nad dąbrową, posiewa żołędzie.
Gorsza ona od niedźwiedzia choć i od bartnika,
Co mi moją złotą muchę na język osmyka.
Ale że zaś dęby sadzi, więc ma przebaczenie,
To już Pan Bóg tak prowadzi wszelakie stworzenie.

Przeszła jedna, druga doba, a naród wciąż hula,
Zachciało się ludziom króla; skądże tego króla?
Jestci ptaszek: mysi królik, na gałązce wisi,
Małe myszy, królik mały — jako królik mysi.
Na cóż się tu desperować? zagrała muzyka,
Wystroimy malutkiego mysiego królika.
Tak tam ludzie wyspiewują, jedno, drugie kółko
Na to święte zwyciężenie, na boże wesółko.

Wystawili stół dębowy, równiusieńki, czysty,
Co go dłubał ojciec stary przez rok przepaździsty,
Na to wielkie ucieszenie, na święto domowe.
Więc na dzieży, jak należy, posadzą synowę,
A na stole posadzili Ziemowita syna.
Terazże się konsolacya wielka rozpoczyna!

„Dziecko moje, Ziemowicie, na ciebie ta chata,
Na ciebie i gospodarstwo," mówi stary tata,
„A tym bogom obiad słuszny—to przewiane ziarno:
Niechże będzie, jak bywało, nie swarno a zdarno,
Niechże was tu błogosławią bogi i bożęta,
Niechże o was Bóg najświętszy, dzieciątka, pamięta!"

Więc dopiero matka oczy trze a trze podwiką,
Więc dopiero owe druchny, więc idą z muzyką.
Ale cóżto za muzyka wali się po siele?
Rozbija się śliczny głosik, po łąkach się ściele.
Skądże się te skrzypki wzięły, co tak ślicznie skrzypią?
Oj! nie taka to muzyka, co się oczy lępią,
Ano jakaś najśliczniejsza, jak kobza daleka,
Jak to jakieś cudowanie, co bierze człowieka;
Nigdy takiej nie bywało, odkąd ten świat stoi,
Jeden piska na fujarze, drugi na oboi.

Wywaliła się przed chatę wesoła gromada,
Sławka swoim dobrodziejom do nóżek przypada
I dziękuję za muzykę i za wszystko grzeczne.
„Ano dosyć, dziatki moje, dziatuszki serdeczne!"

Patrzą ludzie: od jeziora, gdzie stanęły łodzie,
Idą śliczne muzykanty, jakby szły po wodzie.
„A cóż to za muzykanty?" ano wielkie krzyki:

„Idą, idą od jeziora święte pustelniki!“
Napatrzeć się nie napatrzy, słuchać nie nasłucha:
Cichusieńko, jeno sama brzęczy złota mucha,
Bo się ludzie zapatrzyli; otworzone usta.
Kujawiaczek, Kujawianka, na niej biała chusta,
Nie tam żadne kosztowności: zaśby to nawdziała!
Ani patrzeć na te szmaty książęce nie chciała;
Podarła je na kuseczki, na te kawałątka:
„Niech mi się tu nie zostaje książęca pamiątka!
Co dla człeka, to dla człeka — bierz, dyable, co twoje,
Hej jaskółki, hej skowronki, hej kwiatuszki moje!“

Tak tam nuci Kujawianka, a goście od lasu,
Jako niby dwie gwiazdeczki, idą swego czasu,
Co je ludzie nazywają Lelem i Polelem,
A wysepka na spotkanie puszy świętem zielem.
Rozgarnęli złote włosy od gładkiego czoła:
„Prosim, prosim, pustelniki, do kmiecego stoła.“
Jakci one pustelniki wedle stoła siędą,
Aż ich Sławka poszanuje wesołą kolędą,
A Ziemko im zaraz głową do ziemi zamiecie:
„My z Bogami — Bogi z nami, a toć też a przecie
Darujcie nam tę krew ludzką, cośmy ją przelali;
Z za morza te rozbójniki haj przywędrowali,
Powiadali, co poczciwe, co nas przyszli bronić,
A jak się tu znarowili, wzięli naszych gonić.

Postawili murowańce, żelaztwa nawdzieli,
Co my od tych srogich Niemców siła nacierpieli,
Ażeśmy ich podusili i ognia zażegli,
Ażeśma ich złagodzili, żeby już nie biegli;
Dużo krwi się zmarnowało Myszynieckich myszy".
„To się wam też porachuje: ciszej, dzieci, ciszéj!..."
Powiadają pustelniki: „Godne ręce wasze".
Ziemowita złotym pasem pustelnik opasze,
A do Piasta: „Człeku," rzecze, „Piaście sprawiedliwy,
Będziecie sprawiali ludzi, jak sprawiali niwy.
Trzeba orać, trzeba siewać, Panu Bogu spiewać,
W dobrej doli nie zadufać, we złej się spodziewać.
Wszystko ma być po staremu, a w równości kmiecéj,
I w przyjaźni, boć to raźniej, kiedy czujesz plecy.
Więc z bożego przykazania na tę radość wielką
Tyś tu królem, Piaście stary, nad krainą wszelką.
Opowiedzcież się narody, a Boga się bójta!
Chcecież Piasta?"

„Chcemy Piasta!"

„Pijcież zdrowie wójta!"

„Święte boże pustelniki! dawnemi przykłady,
Zdawszy ja zagrodę moją, — kij, torba i w dziady!
Od gospody do gospody starą pieśń poniosę,
Błogie słowa na dzień błogi i tę nocną rosę.

Z Bogiem pójdę od zagrody i z Bogiem zostanę,
Niebo moje najśliczniejsze, gwiazdy rozsypane.
W ciemnym lesie przytulisko, z wichrami rozmowa,
Ziemia rodzi, ziemia chowa i ziemia pochowa.
Cichusieńko kmiecą głowę oparłszy na ręce,
Kto na ławie, kto na głazie, a kto na lirence,
Za wszystko też wdzięcznem sercem płacąc raz [ostatni,
Albożeśwa nie zażyli, albożeśwa stratni?
Któż tam chleba pożałuje, kto ręki nie poda?
Cóż lepszego król na świecie albo wojewoda?
Tyle jego, że nic nie wie, jak duch światem wieje,
Jak ten zamróz idzie z kości, gdy słonko przygrzeje,
Jak się ranek w świat wybiera z deszczem czy pogodą,
I tak idziesz, czysty kmieciu, gdzie oczy powiodą;
A oczy cię poprowadzą i nogi poniosą
Do gospody do zielonej, przyciążonej rosą..."

„Piaście, Piaście!" okrzykną się, aż gdzieś leci w pole,
„Siedzieć musisz, ojczuleńku, na gospodnym stole,
Tak ci z nieba przeznaczono". Więc się już pokłonił,
Od Boga się nie uchroni, choćby się i chronił.

Więc dopiero wesołości: miód się rzeką leje,
A chleb mnożą a miód mnożą święci dobrodzieje.
Coraz nowe do zagrody ciągną miodu kadzie,

A Rzepicha kołacz biały kładzie tam a kładzie.
Była sarna, był zajączek, był i groch z kapustą,
A wszystkiego omaszczono, a wszystkiego tłusto.
A cisnęło się, cisnęło wedle tego stoła,
Zaglądały tam źrebaki, spożywała pszczoła;
A gdy ludzi ucieszyli, choć wciąż płakał stary,
Gdy poczęło słońce wstawać, znikli nad opary,
Jak te śliczne mgły nad wodą na jeziorze Gople,
Jak te białe na rozsadach i na zbożu krople.
Nie zapomnę tej uciechy do zawarcia powiek.
Żadna bestya tak nie skłamie, jako grzeszny człowiek,
Więc nie wierzcie, co zaś Niemcy o Polakach plotą,
Niemców słowo: koprowina, a Polaków złoto.

Tak tam było, Kurpsiu miły, wszystko, jak się rzekło;
I ja byłem, jadłem, piłem, po brodzie mi ciekło,
A w gębie mi nie postało...
I skrył się pod korę...
Jakże ja tu do Kruświcy drożynę wybiorę?...
Gdzież ja znajdę Ziemowita na onej wysepce?
Gopło, Gopło, nasze Gopło, co ono nie szepce!
Oj! co bieda nam, to bieda, zimno wchodzi w kości,
Będzie też to kiedy w świecie po sprawiedliwości?
Co tam będzie, to tam będzie, niech się człek nie
[troszczy,

Zobaczymy się w Kruświcy, w Gnieźnie i w Bydgoszczy,
Ale kiedy, tego nie wiem, to już Pan Bóg na to.
Świećże mi się, jak świeciłaś, stara kmieca chato,
I ty gwiazdo porankowa nad obejściem Piasta!
Gopło szumi, jak szumiało, młody las wyrasta.

KRÓL KOWAL.

(Ot taka sobie powiadanka).

KRÓL KOWAL.

(Ot taka sobie powiadanka).

Na jednym zakręcie drogi, prowadzącej do Morskiego Oka, zatrzymuje góral podróżnych i każe nasłuchiwać pilnie. W istocie, wsłuchawszy się, słychać niby kucie trzech młotów w wielkiem oddaleniu. Spadek wód, odbijających regularnie o skałę, wydaje łoskot, do kucia młotów podobny.

Jest nawet, powiedziałbym, coś metalicznego w tym dźwięku; a gdy się zapytasz górala, coby to było? powiada, że tam, u pięciu stawów, kują duchy koronę polską, i cała już gotowa, brak jej tylko jednego drogiego kamienia, którego jeszcze nie znaleźli.

Na wielkim grodzie nie patrzeć człeku,
Czy se tam gniazdo fortuna ściele,
Czyli też niby jak w naszym wieku,
Różne różności i smutku wiele,
Jako to bieda wszędy się krząta,
Włócząc się stara z kąta do kąta.

Bolisław siedzi, sokoło gładzi,
A jeno myśli kto mu poradzi...
— Hej, hej! umierać ponoś mi czas!
Gdy nas nie było, byłć — mówią — las,
Tać że i po nas będą, jak były,
Ale czy będą? bogdaj nie zgniły,
Bogdaj te lasy, bogdaj te bory
Nie wyrąbały wrogie topory!
Na wilka trzeba wilkiem się stawić,
Za karki imać, za gardła dławić:
Dopiero będzie spokojność wszędy,
Jak im pokaże zębów dwa rzędy.
A młodzież? młodzież same miękusze,
Temu ja, człeku, smucić się muszę.

Zwietrzałym kościom niesporo w pole;
Lećże od berła, siwy sokole!
Choć go rozwiążę, choć rozkapturzę,
Jużć nie poleci Kubuś po chmurze.
Nieprawdaż Kubuś?... A sokół ony
Swe przytępione obziera szpony,
A przestępuje z nogi na nogę,
Jakby też prawił: Jużci nie mogę.
Więc się pan stary dużo zabiedzi:
„Będą was, będą drapać sąsiedzi...“
— „Hej, hej, gospodze, tak źle nie będzie,

Pan Bóg rozmyśla, jak, co, i wszędzie...
Ta niedziwota: pan czy chudzina,
Kiedy nadchodzi czas i godzina,
Już też do tego życia przywykłszy,
Jak się obejrzy, to sobie przykrzy;
A cóż poradzić? umrzeć musicie:
Każdemu człeku taki ostatek,
Ależ tam jeszcze na parę latek
To się wam chyba zbierze na życie.
Jak zaś pomrzecie, niech się nie boją:
To już wam śliczny grobek wystroją.
A ja z śmiałością wszelaką rzekę,
Że albo macie Boską opiekę,
Są ci tu w górach dziwe kowale...“
„A co mi z tego? ręka lądaco.“
„Nic to, a idźma za siódmą halę.“
Więc król za starym zwróci się bacą:
„No i co będzie? młodość mi wrócą?
Żelazne cepy same nie młócą.“
„Kują tam oni takie topory,
Co same idą na lasy, bory:
Z pod siedmi zamków, z żelaznej skrzyni
Sam się wyrąbie, cudów naczyni,
I dnie i noce młoty kołacą,
Ano, ujrzycie, przydatne na co...“
Tedy Bolisław brodę pogładzi:

„Może ten człowiek i dobrze radzi?
Wiedźże ty, kmieciu, gdy znasz gościeńce.“
„Jaśniejszy ojcze, jak własne ręce.“
„Hej! pacholiku, podać mi siwka!“
A tego siwka po ziemię grzywka,
A tego siwka taka przyroda,
Że, jak pod króla, to sam się poda,
Ale kto drugi niech strzeże głowy,
Bo mu przyłoży obie podkowy.

— W drogę, hej! w drogę! i Bolko stary
Na góry skręca, na bory, jary;
Jedzie het, jedzie, nic się nie bawi,
Jeno co sobie w siodle poprawi.
Pan to sierdzisty, ale i dobry.
Choć ta i grzmotnie, choć ta i wrzaśnie;
A kogo rączką żelazną plaśnie,
Przez miesiąc będzie smarował ziobry.
Gdy mu zaś jakie zaskórzy panię:
„He, hej! lubasku, pójdźże sam w banię,“
Za rączkę ślicznie, i rózgą z chruści
Skórę mu otnie, otnie i puści.
Więc pokąd żyje, wara! bo bije,
Mieczyk pociągnie, utnie ci szyję.

Mila, dwie mile, dziwy nad dziwy:
Z za kosodrzewia, smerczyny siwéj

To się wypuści kozica płowa,
Łyśnie i świśnie i w las się schowa;
To dziwożony zaś się pędzają,
Jak się ta woda dołem przewala,
A górskie dziewki baczenie dają,
By nie opadły chaty górala.
Miesiączek świeci, widno jak we dnie,
Na większe góry i na poślednie.
Król sobie westchnął, kęś po przestworze
Lesista ziemia, rozlane knieje.
„Cóż to tam siwe, co wej szarzeje?“
— „Tu jest Podole, a tam Pomorze?“
— „Hej! moje gródki, zagony plenne,
Kto was tu wszystkie po mnie ustrzeże?“
A goral króla za szatę bierze:
„Wejrzyjcie, ojcze, gwiazdy bezsenne,
Śmiało, rodzicu, wejrzyj przed siebie:
Gwiazdy te nigdy nie spią na niebie.“

Ano, tak jazda — skały ojcowe,
Ornak, wej Pyszna, droga w podkowę,
Świerkowe lasy, Dunajec szumny,
Znów ćma po światu — bądźże rozumny!
Już upalili duży sztuk czasu,
I ani człeka ani szałasu.
„Kiedyż ta będzie?“ „Jużci nie siła,

Deszcze wylały, woda przybyła.“
Kiedy tak gwarzą borem a lasem,
Słóweczka sobie podając czasem,
Od Tomanówki, aż smyrk po perci.
„A to co białe? złote trzewiczki...“
„To będzie, ojcze, duch niewieliczki,
Bo one tak się patrzą po śmierci;
A już znak pewny, że blisko, blisko,
Bo ony bieży na Kościelisko.“
I zaś po chwilce od skał czeluści
Po Rybim chybko tratew się puści,
I ktościk woła: — „A kędy droga?“
— „Kędy nam droga? z Boga do Boga.“
Wejrzą: płanetnik, co chmury wodzi
I gradem sypie. szałasy wali:
Ale jak człowiek Boga pochwali,
To mu płanetnik taki nie szkodzi.
„Tratwy!“ — jaśniejszy krzyknie z przemocą,
Aż siwe orły kęś zaskrzekocą.
„Hej! znać wam skuczno w waszym Krakowie.
Ano, szczęść Boże, gdyście zabiegli
Hejwo do naszych Taterskich regli,
To niechże wam tu będzie na zdrowie.
A Mnich, Wysoka, a okoliczne,
Nieprawda? harne góry.“ „Oj śliczne!“
„Tedy z jakiego na świecie cechu?“

„Ta jużci z tego cechu przy miechu,
Z tego przy węglu, z tego przy młocie,
Dajże baczenie, gdyż mówię do cię.
Zgadnijże drwalu, w czem ja się ćwiczył,
Żem pierwej bijał a potem liczył?“
— „Ta tu nie znają takiej osoby,
Chyba że Bolko?“ — „A jeno ktoby?
Pierw, nim te górne wirchy odnieją,
Radby zobaczył jak kruszec leją.“
— „Duchem jaśniejszy!“ Zgłuchło, przycichło;
Gadania niema, gdy wola taka,
Kołem jeziora jak da szczupaka!
Więc, jak odbieżał, powrócił rychło:
„Wielmożny królu, prosim do jamy.“
I ruszył kołem na wielkim promie,
Holując w dwójkę czterma wiosłami;
A za jeziorem widać już płomie
Z onej, jak ją tam zwali, hamerni.
Jezioro świeci, a las się czerni,
Ciężkie chmurzyska leżą na halach,
Więc góralisko szczęsne poskaka,
Tak też, jak dzisiaj Rajach lub Walach.
„Prosimy w jamę, gdy wola taka,“
Zawoła ktościk raby na twarzy,
Który tam siedzi a wszystko wazy,
Wiernego puszcza, a lekkoducha,

Gdy nieprzydatny: biegaj! niech dmucha.
„Wielcy jesteście, chociażeś mały,
Ta ja tu rzucam skały na skały,
Kiedy pod góry pleca podsadzę;
Lecz gdyś Bolisław, to nie poradzę.“
„Harnaż tu junosz! zdrowoż tu, zdrowo!“
A jama huknie: „Kowalska głowo!...
Czem świat bogaty, tem się też chwali,
Zdarz Bóg!“... Cóż dalej? — No nic nie dali,
A okrzyknęli i ukochali...
Po stromych turniach, po Jaworzynie:
Witaj nam, witaj, cny hospodynie!
Całą lesistą popędzi dziczą;
Jeziora krzyczą i góry krzyczą,
Polanki nasze, jary, jeziora,
Głosy od źródeł, głosy od bora;
I każda regla, i każda hala,
Jakby najszczersze serce górala.
— „Sine to wody z dalekiej błoni
Zapowiadały, że przyjdą Oni.
Góry Taterskie! rozkaz wydany,
Ma się roztworzyć świat zakopany,
Podzakopański, mil do tysiąca,
Gdzie się robota kowalska pali;
Pali się w rękach: wieże ze słońca,
Co tego murów złotych wylali;

A co się cnego kruszcu wytopi,
To krzyczą: polska korona, chłopi!
A to ci, królu, kmieca posługa,
Jak spadnie jedna, to będzie druga."
„A z naszą starą, z tą pierwszą, dzieci,
Jakże zaś będzie?...
„Ej! to tam zleci."
Więc król się dziwi, więc król się dziwi,
Że one duchy grzmocą jak żywi,
I że pod ziemią jest ziemia druga,
Tak też szeroka i tak też długa.
„Junoszy sławna, nad waszą pracą
Któryż tu będzie najstarszym bacą?"
Aż tu i dziadek skądśćiś podchodzi,
Dzisiejszy kowal, dawniej kołodziéj,
Szatą odziany ta niepokaźną:
Sto lat ma, dwieście, a biega raźno.
Ażci Bolisław:
„Dziadulu miły!..."
Dwie z ócz królewskich łzy się puściły,
I pogwar idzie przy młotów huku:
„Wejrzyjcie! patrzcie, dziaduch przy wnuku!"
Dopieroż zaczną rzucać ciupagi;
Jakie ciupagi! sto funtów wagi!
Jak nie poleci głos po kotlinie:
„Witaj nam! witaj, cny hospodynie!

Krew nasza ze krwi, kość nasza z kości!
Kowalska głowo, nasze jasności!“
Jak się te wszystkie skały rozświecą!...
Tak i cóż? — I nic. — Król patrzy, gdzie co?
Znikło, przepadło, jak omamienie,
Ni tych kowali, ni tej korony,
Coś Nowotarskie brzęczą tam dzwony,
Cości tam echo w dolinach brzęka,
Ale to chyba nie ludzka ręka:
Cościk tam w uchu głucho podzwania
Od Pysznej, Mnicha i od Krywania...

I on przewodnik przepadł, i wszystko;
A jeno lasem około drzewa
Chruścik dziewczyna zbiera i spiewa,
I tać się bieli swoją zawitką.
Onych zaś pieśni moc nieprzebrana
Wszędy zalata, jak pach od siana...

A, w imię Ojca! senne majaki,
Wejrzy, od zorzy perlą się krzaki;
A tu już zorza światłami pryska,
Jak z niebieskiego kowal ogniska.

Więc król się pocznie weselić cały
Z szumiącym reglem, z cichem podhalem,

Że go cechowym góry obrały
I okrzyknęły starszym kowalem.

Świta już, świta: wszędzie odniało;
Wejrzy: u nogi chmurę ma białą;
Aż ona chmura wyciąga pióra,
I niby królu kłania się, kłania,
Karpacki stary orzeł z Krywania.
„Biegalim dużo, dużo biegali
Od burzliwego Dniepru do Sali,
Po sprawiedliwu wszędy, a wszędy,
Orle mój stary! mnie już do grzędy.“
„A mnie we słońcu odnawiać pióra!“
I wartko wyciął w górę jak chmura.
„Orle, hetmańska tobie buława,
Na ciebie sława albo nie sława!“
A ony leci i na swe pierze
Żywego srebra bierze a bierze.

Ranne promienie lecą z za gór,
Po chmurach dość się wałęsa chmur,
Jeziora stoją, te morskie szyby,
Na niebo przez nie patrzy się morze.
„Hej góry, góry, kamienne skiby,
Które ten gazda przedwieczny orze!
Jużci mi szczęśnie, jużci mi błogo:

Kiedy tak będzie, tedy nie szkoda'.
Połechce konia złotą ostrogą;
Góra nie góra, woda nie woda,
I jużci wraca do swego groda,
Kędy po kęsie pomarł przykładnie,
Co też każdemu pewno przypadnie.
Po śmierci króla, przez rok bez mała,
Żadna tam panna nie tańcowała,
A starych jedno było gadanie:
Pocóżeś umarł, pocóżeś Panie? —

Otóż i miesiąc w chmury się chowa:
Miesiąc? nie miesiąc, głowa Bolkowa,
Patrząca gniewnie w Rybie jezioro,
Że mu robota idzie niesporo;
A choć już mało braknie do końca,
Wszystkie w niej świecą świata klejnoty,
Jednego jeno braknie jak słońca:
A wiecie, czego?... Ojcowej cnoty!

Chmura za chmurą sunie się, wali,
A gromy huczą górskich kowali.
Ale juhasy, że to daleko,
Śmieją się, siedzą, barana pieką,
I myślą sobie, że dymi góra;
A to król kowal, nie żadna chmura;

A to tam miechy, co u skał spodu
Tchną pracowite piersi narodu!

Hej! góry, góry, na wasze gody
I ja zabiegał, kiedym był młody;
A dziś ja stary, na lata moje
Pasę dwie krowy, baranów troje.
A przeciek czasem człowiek ciekawy;
Coś mnie tam ciągnie na Pięcio-Stawy,
Kędy mi błogo, gdy wiatru chwycę,
I tak mi rześko i tak mi zdrowo,
Jakbym anielską spijał żętycę,
I jakbym nawdział gunkę ojcową.

DZWON ZYGMUNT.

DZWON ZYGMUNT.

Zamek, co skałę obsiadł smoczą,
Pod niebo czarną wyniósł wieżę.
Podeń się miejskie domy tłoczą,
A ów, by ojciec, dziatwy strzeże.
U nóg mu polska rzeka sławna,
Poszumna Wisła, zbożopławna;
A fale onej, ni to kmiecie,
Garną się pod tę zamku skałę,
Modre, to siwe, to raz białe,
I w dal wesoło rwą po świecie;
A słonko boże świat weseli
I śnieg od skrajnych Tatr się bieli.

A w mieście naszem gwar nielada,
Świecidła Niemczyk swe rozkłada.
To Serb, pod bramą gdy zasiędzie,
Na onych wdzięcznych gęślach gędzie.

Tam miodu kipi wonny wrzątek,
Gdzie orszak wiedzie się swadziebny,
Tam, jedno piątek czyli świątek,
Naród się garnie na targ chlebny,
Jako to szczery skarb lechicki:
Ta sól wielicka, chleb prądnicki.
Tu pański kozak oczajdusza,
Na Ukrainę z listem rusza.
Tam, kędy żaki a doktory
I trybunalska stawa rzesza,
Stańczyk swój kubrak różnowzory
A swoje sceptrum śmiechu wmiesza;
Temu i temu coś przymówi,
Co choćby rad człek nie odpowié.
Nawet i króla Ichmość gładko
Obdarzy swoją kratką, łatką;
Jako to w Polsce wolne słowo,
Byś jeno sam nie podrwił głową;
A k'temu żeć już w błaznów cechu,
Żeby dworować a do śmiechu.
To Włoszek wdzięczną brzęknie mową,
W weneckim stroju kawka szczera,
Co go weneckim dyabłem zową,
A kmieć nań z trwogą się obziera.
Niemieckie mieszczan krasne stroje,
Wymyślne wierę, dziwne szaty,

To żółte łaty, czarne łaty,
I ni to czepce, ni zawoje.
A w mięsopustnej tej czeredzie,
Co się na rynek gwarnie tłoczy,
Skrzydlaty wpośród husarz jedzie,
Zbroica lśni aż razi oczy;
I tak we skrzydłach na gród zmierza:
Pół orła wrzkomo, pół rycerza.

Nad miastem zamek siadł Wawelski,
Gdzie gospodarzy król tej ziemi, —
A w rynku Pani dom anielskiéj
Pomiędzy dziećmi stanął swemi.
Maryacka wieża w środku miasta,
Jakoby dolin kwiat wyrasta;
A pod jej boki, za jej kraty,
Kamienne legły antenaty.

Z kościelnych wieżyc na świat cały
Co ranek wdzięczne brzmią hejnały,
I świat to jakiś taki naszy,
Taki serdeczny, taki laszy,
Taki rodzimej pełen woni,
Że w nim jaskółką serce goni.

I błoga ci ta błoń rumiana,
I błoga ci ta woń węglana.

I takbyś wiatru w piersi chwytał,
I tak ci Polska w serce wchodzi,
Żebyś tych starych z głazów pytał:
Jako poczciwym żyć się godzi.

A król w te czasy gdzie się dziewa?
Do kuźnic chadza, do płatnerskich,
Doziera mocnych zbrój rycerskich,
Żelazne smoki więc odlewa,
I nad graniczne wody, góry,
Nieprzełomione stawia mury.
Bo choć kraj na to ma urzędy,
Jednak król Zygmunt wejrzy wszędy.

Gwarkowie czarne łamią skały,
Huki a szczęki w górach młota,
W rękach aż pali się robota,
W oczach się szumne wznoszą wały.
A zboża w pas, bo wróg nie grabi,
A skrzynie pełne, spichrze pełne,
Wszystko od złota, od jedwabi,
I najuboższy odzian w wełnę.
Niewiasty w szubach, w drogich lamach,
Po murach zacne malowidła,
I jagieloński orzeł w bramach
Swe pozłociste rozpiął skrzydła.

Starego króla to zabawa.
Nocy nie dospi, do dnia wstawa.
Zanim na jutrznię brzękną dzwony,
Już król w kaplicy swej zamkowéj;
Złoty mu czepiec świeci z głowy,
Bogdaj papieski dar ceniony.

To jeszcze będzie dobrze szaro,
A ona służba wierna, boża,
Już widzi króla głowę starą,
Jak się tam Bogu upokorza,
Jak schodzi stary pan okryty
Z krużganków z lampką przede świty.

K'temu to straszna jest powaga,
Kiedy król taki Boga błaga.
Więc różne myśli przejdą człeka,
Bo to tam sądów naród czeka.
A kto chcesz wiedzieć, gdzie w tej dobie
Król Jego Miłość gościć raczy,
Ku grodzkiej bramie daj czas sobie,
A pewnie pana tam zobaczy...

Wrą tam żelaza w ogniach piecy,
Ognistą się staczają rzeką,
Kędy gisery kruszce wleką,
Nieczułe obnażywszy plecy.

I owo Lechii król łaskawy,
Ojczyców cnoty dziedzic prawy,
Nie wielomowny, krótki w rzeczy,
Lecz gdy chcesz doznać wagi słowa,
To byś brał próbę starych mieczy,
Którym dziś równych nikt nie kowa.

Więc w dymach, co z tych pieców dymią,
U cnej giserskiej tam roboty,
Zobaczysz ojca czepiec złoty,
I najpierw cię się strachy imią...
Alić gdy wzrok się z onym spotka.
Synowsko serce się rozczula,
I wdzięczna myśl przybywa słodka,
Że nam Bóg zdarzył tego króla.
Więc i otucha wnet się bierze,
Że ten poważny pan, spokojny,
Czasu pokoju, czasu wojny,
Ciebie i twoje dziatki strzeże.
I k'mieczu żwawo schylisz czoła,
Gotowość znając, gdy zawoła.

Przy królu biskup kanclerz stawa,
Rada i króla ręka prawa.
Ostrogskie książe, Jan z Tarnowa,
I drugie męże kołem staną;

Rotmistrze, które król ten chowa,
We zbrój przywdziane szmelcowaną;
A pióra wielkie im żurawie
Po dwakroć hełm przechodzą prawie;
Oprawne skrzydła z bark srebrzeją,
A z oczu chuć im skrzy marsowa.

I owoć dzwonu forma nowa,
A w nią gisery bronzy leją.
Więc każdy k'większej chwale bożéj
Do onej pracy się przyłoży,
Gdy król te godne słowa rzecze:
We dzwonie tym niech wiek mój gada! —
I pancerz srebrny z piersi zwlecze,
I ony pancerz w ogień wpada,
Co dłutowanym swym obrazem
Na tej szerokiej piersi srogiéj,
Nim król uderzył wręcz żelazem,
Chmurą lecące płoszył wrogi;
Pancerz, na który patrząc z chlubą,
Lud prawił: Oto Lechia w zbroi;
A kto tę złamie zbroję grubą?
A kto nas bracia, gdyśwa swoi?...
Takiego świadka spraw pół wieka
Z rycerskiej piersi Zygmunt zwleka,
I w płomień pieców tam czerwony

Zapada srebrny pancerz ony.
A kiedy w rzece ognia spłynął,
W przejasne się rozchodząc smugi,
Hetman, co w radzie króla słynął
Przez cały wiek Zygmunta długi,
Do boju miecz, do rady głowa,
A w pracy pola nie zależał,
A w bitwach to mu kark się zjeżał,
Jakoby lew nie Jan z Tarnowa,
Człek niewściągnionej w boju ręki,
Ale po boju dziwnie miękki —
Jan, na wieczystą rzeczy sławę,
Do ognia wmiotał swą buławę.
Ostrogskie zaś to orle nasze,
Jak stał we zbrojej hecowanéj,
Od bioder ciężki miecz odpasze,
Licznemi karby karbowany:
A każdy szczerb to pękła zbroja,
To tryumf Polski, sława twoja,
To krew Moskala i Tatara,
To męża tego moc i wiara;
Miecz, co na Moskwie trwogi wznieca
I hordy pędzi w smycz zuchwałe,
Ten ciężki miecz, żelazo białe,
Ostrogski rzuci w żary pieca.

Więc biskup kanclerz wmiótł pastorał,
A kmieć ubogi z polskiej roli,
Królowi panu swemu k'woli,
To radło, którem kraj oborał.
I wyszedł z formy dzwon nad dzwony
I był na imię króla chrzczony;
I herb też na się wziął koronny,
Który wywiesza król tej Laszy:
Orła, co wszelkie ptactwo straszy,
I w zbrojej mąż litewski konny.

A gdy uderzył król weń młotem,
Doświadczyć rady bronzu głosów,
Alić mu dzwon odpowie grzmotem
I aniołami od niebiosów.
Więc się zadumał starzec złoty;
A jeśliś wiedzieć rad powodu,
Owoć, to taki głos miał z młodu,
Gdy po granicach wodził roty
I w bój je puszczał, dzierżąc w mierze,
W czuwaniu dobrze, w noce, we dni,
By lew, co gruby zwierz sam bierze,
A dziatki swe szczwa na pośledni.

I rzekł zwracając twarz rzewliwą
Tej naszej Polski cny gospodarz:

Panie, my szli na twoje żniwo,
A teraz, Ojcze, cóż nam podasz?...
I patrzył wzwyż z hetmany swemi,
Z poważnem wielkich mężów gronem;
Kmieć jeno chudy padł do ziemi,
Czołem w nią bijąc uniżonem,
I zdał się wołać jękiem szlochu!...
Ty rzucasz w proch i wznosisz z prochu.

I na świątnicy zamku wieżę,
Która stolicy pańskiej strzeże,
Kazał król setce swych pachołów,
Aby ruszyła dzwonu z gruntów;
I założono sto par wołów,
I podniesiono dzwon Zygmuntów.
A kiedy biskup ręką skinie,
Żelazne serce się rozhula,
I huknie dzwon, jak serce króla,
I pieśnią w niebie się rozpłynie,
I lecą głosy na Tatr grzbiety,
Na Czarne morze, Bałtyk siny...

A kto dziś spiewa wielkie czyny,
Zygmuncie, królu nasz, gdy nie ty?...
Tyś nad krakowskim swoim grodem,
Gdy na kraj zlecą się morderce,

Po wiek nad wiernym swym narodem,
Żelazne swe zawiesił serce.

A kto w tej dzwonu złotej dumie
Zygmuntów wiek wysłuchać umie,
A kto zrozumie, czem król stary
Swe imię lał złotemi głoski,
Czem nawołuje wciąż do wiary
Od czterech wieków dzwon krakowski:
Taki i pokój będzie chował,
I ojcom hołd synowski złoży,
I ziemię będzie swą miłował,
I dom ojcowski i dom boży.
Ten ojców dróg się dowie z dzwonu,
Tchnienie go boże przejdzie wskrośnie,
Duch się w nim wzmoże i rozrośnie,
I będzie wierny aż do zgonu,
Żyw chodzić będzie po zakonie;
Taka jest cnota w starym dzwonie.

O! Janie, ojcze polskiej pieśni,
Jakież to czasy dusza nie śni!
To gdy się serce k'nim dostroi
W tej czarnoleskich lip ustroni,
Może cień ujrzę skroni twojéj,
Jak tam opiera się na dłoni.

*

I może uśmiech twój dopatrzę,
Że wiek Zygmunta, wiek bogaty,
W takie oblekam proste szaty...
Cóż, kiedy nie stać na bogatsze.

I ja z mą pieśnią idę w lasy,
A serce bije jak we młoty,
Lecz takie pieśni, jakie czasy:
Tyś widział wiek Zygmuntów złoty!

PIOTR DUŃCZYK.

Piotr Duńczyk.

Na dworze Bolesławów, z Danii przybyły
Był podówczas Piotr Duńczyk, rycerz doznany,
A jako był samemu królowi miły,
Wierę iż go szacował nad swe dworzany.
I z nim pijał, z nim jadał, rady się badał,
Na nim rękę łuskowaną bezpiecznie składał.
I onego Duńczyka przyjmał gościnnie
I obdarzyć go raczył Grabstwem na Skrzynnie.
A niedosyć ono pięknie oprawne Skrzynno,
Lecz i ruską dał mu księżnę, swoją powinną;
A co odeń posłyszał, chował w pamięci,
I tak mieszkał Piotr Duńczyk do lat dziesięci.
A po latach dziesięci wdziawszy one zbroje,
Poprowadził Bolesława we strony swoje.

Polska była bez kościołów albo coś mało,
A tam złoto Duńczykowe w skrzyniach leżało,
K'temu zwarli z tym Duńczykiem taką umowę:

Że królowi na kościoły odda połowę,
Jeśli skarby tyranowi odejmie z mocy,
Co nad niemi by smok leży i dnie i nocy,
I ojca mu Świętosława we wieży morzy,
I może mu zdrowie psowa, może co gorzéj...
Zaduma się Krzywousty, gdy męża słucha,
Król żelazny a odważny, wielkiego ducha,
I prawda weń jak we ziemię rozprzałą wsiąka,
A pobije wpierw, nim słowo jedno wyjąka.
A że król miał do pływania wielką zaprawę,
K'temu sobie a rycerzu zgotował nawę;
Jedną nawę, drugą nawę, męże pancerne,
I pływali dwaj przez wody morskie, niezmierne.
U Norwegów święty Olaw pogrzebion gruby,
Olawowi się pokłonić uczynią śluby.

Jakie przeszli ci na morzu znaczne przygody,
O kęs co nie poginęli od morskiej wody.
I złe duchy pomagały, okrutne czarty,
Mało odeń nasz Bolesław nie był rozdarty.
Lecz król stoi w stalnej zbroi, a Piotr we smoczéj,
A mrugają ku Duńczykom w spłukane oczy.
Pomóż, pomóż, święty Olaw, przeciw złej wodzie,
A wszakć i my na tureckim bywali Wschodzie.
Jeślić miecza dobywałeś, i my nie gorzej,
Ani Bogu wymawiając, ni Matce Bożej.

Ode wieże podciągniętej mocnemi głazy.
Godziliśma w Saraceny słusznemi razy.
A wszakć nasze poczynanie wiadome światu,
Wzdy cię proszę, święty Olaw, pomóż jak bratu.

Święty Olaw w grobie leży pobok z Kanutem,
Co się rady przyodziewał przędzonym drutem.
Rozbudzi się Kanut stary, po mieczu plaśnie,
Po słupach się kęs popatrzy, westchnie i zaśnie.
Obudzi się święty Olaw, słucha a duma,
Skoczy z grobu święty Olaw z złotego tuma:
Idęć, idęć, dobrej myśli bywaj mi, bracie,
Obajśma to żywot cały na krucyacie. —
Jedną nogę na ląd stawił, na morze drugą.
Z nieczystymi się duchami nie bawił długo.
One smoki, co już nawę żarły, już żarły,
Porozcinał precz na boki święty umarły;
One grzbiety najeżone pian złotych sierci,
Porozpraszał, poroznaszał, pociął na ćwierci.
I za drzewo jednym palcem jąwszy by pierze,
Na niebieskiej cichej wodzie ustawił w mierze.
Potem wiatru sprosił z nieba, by w nawę dmuchał,
Tak to głosu Bolesława Olaw wysłuchał.

A gdy czarci zuciekali, ażć nowa bieda,
Na morzu im przegrodziły mocne Norwegi,

Mieczmi sieką, strzały wleką, lecz się król nie da
I wysadzi swe żelazne Lachy na brzegi.
I wywiedli Świętosława z wieżyce onéj,
Gdzie Piotrowy ojciec pędził żywot mierziony.
I wywiedli Świętosława do swych korabel,
Czemu się przeciwić nie mógł ów zły król Abel.
Na rycerskich go ponieśli rękach miast łoże,
Wiedząc, jako słab staruszek iść nic nie może.
Gdy się stawił król ze swymi w rękach szerszuny,
Z pancernymi zbrój do ziemi, zchwiały się Duny.
Bo też było patrzeć na co a dziwu zażyć,
Młot królewski roztłukł wieżę, musiałć dość ważyć.
Lita zbroja okrywała oną moc mężą,
Trzech siłaczy nie sprostało ruszyć pawężą.
Przy nim, za nim tejż urody stoi Lach w Lacha,
A rumaki piany sieką, złoci się blacha.

Ony starzec wybawiony przyjrzy się słońcu,
A tu morze a tu zorze po świata końcu.
A tu jego skarby niosą stu męży pono,
A co dwoje to ze skrzynią ciągnie złoconą;
A co dwoje srebrne zbroje, aż słońce lata,
Ode skrzynie jedwabnista buja makata.
Jak Duńczyki zobaczyły, że król mur tłucze,
Znieśli mu na złotogłowiu od grodu klucze,
Berło białe, wyrabiane, starce na czole,

I stolice, gdy na duńskim raczy sieść stole.
Nasz Bolesław spuścił miodu w gardło spragnione,
Rzucił czaszę, starcom zsunął berło, koronę.
Ciężyć krajom tym dalekim wszem się nie zdało:
Niech Duńczyka Duńczyk sprawia, sytemci chwałą.—
I klucze im odda złote, grać sobie każe,
Więc mu grali do okrętu starcy arfiarze.
Kto się patrzał od wieżyce z brzegu, kto z dachu,
Biegła nawa, pieśń i sława o mocnym Lachu.
Siedzi starzec na okręcie szczęsny przy synie,
Pod nim, za nim, w koło niego złociste skrzynie.
I po czystej po głębinie nawa het płynie,
Matka Boża, gwiazda morza, wiedzie przez morze.
Wszakć na lądzie szatan psoci, królu, nieboże:
Nie mógł nawy pozatapiać on duch nieczysty,
To po ziemi z paszczy puścił płomień ognisty.
Zgorzały tam nasze chaty, przecie nie wiele;
A tymczasem jużć się kończą morskie topiele,
Skaczą wały na brzeg biały, gdzie sosna krzywa,
Dziwują się ludzie z brzega i morskie dziwa.

Kiedy ściągnął on Piotr Duńczyk złota komiegi,
Jak się jeno okręt otarł o polskie brzegi,
Wnetże Panu kościół stawi w Chełmnie, w Babinie,
W Strzebnie, w Skrzynnie i w Chlewiskach, w Ru-
[dzie, w Koninie,

Już do Tyńca, do Pajęczna, już do Sieradza
Cięt w kawały, marmur biały, wołmi sprowadza.

A kiedy mu złośne Niemcy oczy wybrali,
Duńczyka się Panna Święta w niebie użali.
I dwa oczy przenadobne, — Goplana woda,
Marya weźmie oczy swoje, Piotrowi poda.

I dwaj oni z Bolesławem w pamięci człowiej:
Jeden słynie od kościołów, drugi od mieczy.
Tego zwaćby ręką bożą z mieczem w zamachu,
Tego oczkiem Matki Boskiej nazwałeś Lachu.

Gdzieżeś, gdzieżeś Bolesławie, gdzie Piotrze miły?
Nie kościoły, grody, sioły, gruzy, mogiły,
Jeno z zieli u topieli gęsto wynika
Ona niezapominajka, oczko Duńczyka.
A po królu Bolesławie w dalekim jarze,
Oracz znajdzie grosik czasem przy wołów parze.
Świeci grosik odłożony z ziemią oraną,
Przystanieć tam człowiek ony, woły przystaną.
Niewyraźne tam litery stoją w około,
Na nieznane patrzeć lice zbieży się sioło.
Ani liter nie wyczyta, ni pozna lice,
Jak nie dźwignie Bolesławów ciężką zbroicę.

HABDANK.

HABDANK.

Na wysokim zasiadł tronie,
O poręczach z białej kości,
Dumny Henryk w słusznem gronie
Swej cesarskiej wielmożności.
Toż gdy miejsca wzięli swoje
I biskupy i pisarze,
Poseł Lacki im pościąga
Te niemieckie butne twarze:
Acz z pokojem w progi wchodzi,
Dumnym wzrokiem orszak zmierzy,
Szabli imąc się — łuskową
Rękawicę w dłoni dzierży,
A na palcu drogi pierścień,
Aż się oczy Niemcom zarzą;
I już liczą wagę złota,
Na łakomstwa wagach ważą. —
Pokój z tym, kto trzyma zgodę,

Kto braterskie przyjmie ramie,
Z tym nietylko bój powściągnie,
Lecz się chlebem Lach rozłamie.
A kto nie, kto złości chowa,
Kto się jedna z jego wrogi,
Rękawicę mu łuskową
Rzuci rycerz Lach pod nogi. —
Tak spełniwszy swe poselstwo,
Rycerz polski w pośród stanie
I położy dłoń na zbroję,
Wzrok w niemieckim utkwi panie.
Cesarz zasię przewielmożny,
Zakręciwszy w kołtun brodę,
Rzecze dumnie: nie na pokój,
A na wojnę męże wiodę.
Od Hercyńskich ciemnych lasów,
Po błękitny brzeg Italii,
Henryk cesarz, pan Germanów,
Znaczę liczbę swych wasali.
Dziś a jutro lackie łęgi,
Ziemię widną szumnych łanów,
Po rzemienne w krwi popręgi,
Deptać będzie koń Germanów. —
I dorzuci słowo wzgardy
I na knechty zbrojne skinie:
Oto moje w krąg namioty,

A to moje złota skrzynie. —
Rzekł — i w lot barczyste chłopy
Podnaszają skarbów wieka;
Aleć próżno podziwienia
Krzyku z ust wolnego czeka.
Poseł polski nie rzekł słowa,
Jeno gdy mu wróg urąga,
Łuskowaną swą rycerską
Rękawicę szybko ściąga,
Prawiąc: Panie ty niemiecki,
Co wyrzekłeś, dość mi na tem;
Pokąd ziemi, pokąd słońca,
Lach nie będzie Niemcu bratem;
Oto, Niemcy, wam wyzwanie! —
Rękawica z brzękiem padła,
Aż połowie cnych Germanów
Z trwogi w sercu krew się zsiadła.
Poczem poseł dłoń podniesie
I do skrzyni pierścień miota,
Rzekąc godnie: niechże złoto
Domieszywa się do złota;
Co zbyteczne Lechii starej,
Chciwość wasza niech zabierze,
Wolnym niech z ojczystych żelaz
Ukowają miecz płatnerze!

PSIE POLE.

PSIE POLE.

Hej! hej! polem, lasem,
Hej! hej! z trąb hałasem.
Ciągną Lachy w sprawnym szyku,
Strach, strach po Henryku,
W zbroję zbroja,
Woj we woja,
Koncerz, topór, młot.

W czas, w czas, rannym świtem:
Grzmi las pod kopytem.
Pierwsi ciągną w bój Pobogi,
Od podkowic tętnią drogi.
Gończa sfora,
K'łowom skora,
Wichrem chwyta w lot.

W ślad, w ślad za Pobogi,
W bój, w bój, Koźle-rogi.
Z hełmów stali na dwie strony
Sterczy kozieł rozsadzony,
Giezło z druta,
Pawęż kuta,
Las żelaznych drzew.

Hej! hej! grzmią Godzięby,
Dąb w dąb, męże dęby.
Łuskowanych prawic drzewa,
Proporczyki wichr rozwiewa,
Junosz snażna,
Ręka ważna,
Starosławna krew.

W bój, w bój sto pokoleń:
Znin, Prus, Złoto-goleń,
Role, Gryfy za Kościeszą
Kopytami krzemień krzeszą.
Lechia stawa,
Sława, sława!
Grzmot bronzowych kotł.

Wrzasł, wrzasł róg bawoli,
Wraz, wraz wróg na roli;
Owóż tobie stanąć w sprawie,

Żyj, bij, włady Bolesławie,
Głos by grzmota,
Buław złota,
Wzrok-by w ziemię gniótł.

Hej! hej! zwrą się drzewy,
Hej! hej! z prawej, z lewéj,
Męże z mężmi, z końmi konie,
Ztrą się, zwrą się zbroje, bronie,
Gdzie glew szczęka,
Krew osięka,
Wrzask rogów a trąb...

Hej! hej! Niemców plemię,
Wwłaszcz w paszcz polską ziemię!
Grube knechty nam po drodze,
A cesarskie legły wodze;
Mężu włady,
W gady rady,
Koniem w krwie te wstąp ..

Hej! hej! cesarz złoty,
Siągł, ściągł swe namioty
I co krótszą drogę bierze;
Bolesławów sterczą wieże,

O Satyrze albo leśnym mężu,
Jana Kochanowskiego powierniku.

Ten pan zdaniem moim,
Kto przestał na swoim.
Jan Kochanowski.

Ojcze naszej polskiej pieśni, Kochanowski Janie,
Nieuczone moje słowa niosęć, na co stanie,
Co mi dała matka miła i Opatrzność Boska
I te lasy okoliczne i ta nasza wioska;
A to wszystko za Sobótkę, co ją chłopcy palą,
A to wszystko za te psalmy, które Boga chwalą.
Za tę lipę czarnoleską, coś nam ją pochwalił;
Wszystko poszło, panie Janie, nic czas nie ocalił.
Pieśni jedne pozostały, twej bogactwo duszy,
To dziedzictwo całe twoje, nikt go nie naruszy...

Ojcowizna twoja, panie, przeszła w cudze ręce,
Byłem ci ja w Czarnolesiu, wszystko dziś książęce.
Na pamiątkę braci szlachty posiano tam bratki,
Do szlachciców niepodobne ogrodowe kwiatki

Rzuciły się przed domostwem łąką aksamitną...
Cicho, pusto naokoło, tylko bratki kwitną.
Na które to spoglądając, stary pan tej włości
Za niewieście kwiecie swoich przepraszałby gości.
Bo jakże tu przez kobierzec, tak świetnie utkany,
Zatoczy się przed wystawę wózek szybowany?
Otby lepiej na pamiątkę chmiel puścić na chrusty,
Niechby piwo zalatało z piwnicy nie pustéi,
Niechby żóraw podkasany zatrąbił ze smuga,
Niechby sroczka przeleciała z skrzekiem jedna, druga,
Niechby konik gospodarski, niewiązany w pęcie,
Rżeniem zdala zapowiadał gościnne przyjęcie.
Gdzie się zwrócę na obejściu błękitno, niebiesko,
Na progu mnie domek wita zapisaną deską:
„Panie, to dziedzina moja, a zrządzenie Twoje."
Przed siedzibą ja poety największego stoję,
A serce się dopytuje: gdzie ta lutnia złota?
Gdzie korona głowy twojej, nadobna Dorota?
Czy w babińcu przesiaduje, doglądając przędzy,
Przy gosposi kółeczka się obracają prędzéj —
Czyli jako przełożona nad domostwem całem,
Wóz ładowny do miasteczka wyprawia z nabiałem,
Który onej na potrzeby przynosi potrosze
Denary te niewzgardzone, czasem praskie grosze?
Czy domowe kwoczki sadzi, czy dziecię kołysze?
Bo jak gdyby jej nie było, nic o niej nie słyszę...

Może dzień to uroczysty, więc oczy ciekawe
Obrócićby na kościelną kolatorską ławę?
Tylko że ta piękna pani, pocichu, w kąciku,
W niebogatym modli się tam klęcząc kabaciku.
Kędyż ona towarzyszka przed okiem się chroni.
Że o mężu słyszym jeno, a cisza, gdy o niéj?
Czy jej dusza tak związana z duszą przyjaciela.
Że jej ucho nie odróżnia, oko nie oddziela.
I tak ciągną jedną nutę, jak dwie struny lutni,
Czy weselej w życiu bywa, czyli bywa smutniéj?

Gdzie to mała Urszuleczka? czy jeszcze w kolebce,
Czy wesoło we chłodniku miękką trawę depce?
Czy się rada zapatruje a wesoło krzyka,
Gdy gołębie nawracają na dach gołębnika?
Ledwie temu roczek jeden. i któżby dał wiarę:
Ukłoni się — jak dorosłe, odpowie — jak stare.
Ledwie że się ukazała do nędznego świata,
Patrzącemu się wydało, że to ma już lata.
Na usteczka temu biegły najdobrańsze słowa,
A matusię smutki suszą: czy jej się odchowa?...
Oczywiste objawienie, szczera Boża łaska,
A uwija się, uwija, kluczyki u paska...
Więc czy będzie to osoba daleka czy bliska,
Kto zobaczy latające, pogładzi, uściska.

Jaskółeczka najśliczniejsza co powie, to spiewka.
Gdzież jest to umiłowanie, gdzież ta twoja dziewka?

Drzewo, które pociągało serca ku tym stronom,
Lipę twoją, pijanica wyrąbał ekonom.
Poprawdzie tam inne rosną i świerszcze strzekocą,
I na drodze ustroniami dziewanny się złocą,
I nad głowy dobrych ludzi dzisiejszych pokoleń,
Jak za twoich czasów, chmurki płyną gdzieś na [Zwoleń;

Ale wieszcza w Polsce niema, ni tych czasów słowa:
Odmieniły się zwyczaje i postać i mowa.
Radoby się usłyszało coś z lutni ziemiańskiéj,
Pośmiało się, podumało, człeku chrześciański;
A tu wszystko wytoczone, wystrojone cudnie,
Ucho to i chwali sobie, ale dusza chudnie.

Chłopek jeden przypozostał z swoją prostą gwarą,
Który chwali Pana Boga pieśnią świętą, starą;
I chałupy jeszcze stoją, gdyby pszczelne ule,
Z których Doski wybiegają, Zoski i Urszule;
I dym ciągnie po staremu i głos się przeciąga...
Myśl poczciwa dawne czasy z dzisiejszemi sprząga
A kiedy się złożyć uda jaką taką całość,
Jak zobaczy swoją przeszłość, porywa ją żałość.
— Ale któż ci drogę podał, powiadajże śmiało?
— Powiadało... powiadało, co przez wioskę wiało.

Powiadała matka stara, powiadało we śnie:
Będziesz widział białą zorzę, jeno wstawaj wcześnie.
– Byłeś tedy w Czarnolesiu, któż cię uczył drogi?
— Nauczył mnie przypadkowo Satyr koziorogi,
Którego też przygrywanie roznosiły echa;
Ten, jak skoro mnie zobaczył, piszczałek zaniecha,
Które mu pod bokiem wiszą na sznureczku z wici,
A coraz to je odrzuci i coraz pochwyci;
Jak pociągnie wedle brody, to drzewka poruszy,
Wszystkie drzewka, jak sarenki, nastawiają uszy.
To ja proszę, skłoniwszy się, jako człowiek wieski:
—Gdzieś tu żyje między lasy pan Jan Czarnoleski.
Pochyliwszy zatem głowy, leśny człowiek dziwy
Ręką schwycił się za ucho i za rożek krzywy:
— Znałem, znałem, odpowiada, ziemianina z wioski,
Zachodził tu w moje lasy pan Jan Kochanowski,
Ale to już dawno temu, lat ubiegło siła,
Czarnoleskie stare dęby burza przewróciła,
I zdrojowe moje wody wyschły co najsłodsze,
Jeleń rogów tu nie zrzuca i dzik się nie otrze.
Wszystko się to pochowało pod te czasy chyże...
— Gadaj że mi, gadaj, proszę, Satyrze — Satyrze!
Czy był szlachcic narodowej, czy włoskiej ogłady,
Czy zażywał karabeli, czy weneckiej szpady?
Co też prawił o Barbarze i jak świadczył onéj...
O Zygmuncie, młodym królu, i praktykach Bony?

Czy bywało zwiedzający Włochy a Paryże,
Nosi brodę zapuszczoną, albo krótko strzyże,
Czy śród braci nieuczonej, zwyczajem geniuszy,
Górną myślą zaprzątniony odmie się, napuszy?
Jak to było w starym dworze, gdyś ty tam zachodził?..
— Tać opowiem, przyjacielu, kiedyś się przygodził.
Siadałem tam na biesiadach, nie bywało wetów,
Ale była lutnia wdzięczna, przysmak dla poetów,
Była rzepa z swego sadu, co ją szlachcic sieje,
To ja chwycę się za boki, z biesiady naśmieję.
Nie widziałeś tam bławata, lecz obrusik zgrzebny,
Na farfurze podawali, nie na misie srebrnéj.
Dobra rzepa na posiłek, lutnia na uciechę,
Byle zacna poleweczka, nie patrz na warzechę.
O uczonej, nieuczonej nie słyszałem pysze,
Ktoć powiedział, źle powiedział, o tem pierwsze słyszę.
Ta jużciż nie na to księgi uczone wartował,
Żeby się jak żaczek lichy przed dyskursem chował;
Więc po włosku prawił z Włochem, łaciną z prałatem,
Jako człowiek obeznany z księgami i światem.
Sobie spiewał, a Dorotce swojej nieuczonéj,
Bo cne księgi poszanują usta godnej żony.
Azaż to słowiczek spiewa dla drugich na drzewie?
Spiewa swej umiłowanej, a o innych nie wie...
Cuda świata rozpowiada, wielkich pamięć wskrzesza,
Szczęsny, chociaż aracami ściany nie zawiesza.

Wszystkiemu się przyglądałem jako leśne boże,
Gdy kopytko na kopytko siedzący założę.
— Pijże, prawi, ty Satyrze, bądźmy sobie radzi,
A włodarza też przyzwijmy, co za bydłem sadzi.
Posilmy się raz i drugi samorodną kapką,
Dzbanem braci powitamy, bo nieradzi czapką.
Dosyć mnie już tych zamkowych królewskich pokoi,
Na posadzkach szlifowanych niepewno się stoi.
A to dworak, a to dworka, a przycinaj piórka.
Tać i po ziemiańskim świecie przelatuje chmurka,
Ba i czasem kropnie krzepko, przecie jakoś znośnie,
Obejrzy się w lewo w prawo, a tu jak mierz rośnie.
Ani się tu pańska na mnie powieka przymruży,
Ni mnie pycha spostponuje, zazdrość się przysłuży.
Nie smaczniejsze przeto kąski z złocistego blatu,
Że je kuchmistrz prezentuje na stół majestatu,
I ponoć nie pożywniejsze stawione przed dworskie,
Te, co przeszły przez widełki pierwsze senatorskie.
Hej! Satyrze, śmiejże się ty, bo i ja się śmieję,
A oburącz trzymaj swoją, bo ci ją przeleję.
Dobrze się nam dzierżeć dzbana, gdyśmy ptacy ranni,
Dobrze słuchać Horacego *delabuntur anni*...
Jeśli cię tu, przyjacielu, dobra myśl zagoni,
Znajdziesz zawżdy miód klarowny, co się w szklance
[płoni.
Kasztelańskiem nie posłużę winem zagranicznem,

W Czarnolesiu to nie bywa Korwinów dziedzicznym.
Lipami tu stare dziady wysadziły drogę;
Kasztelaństwo mi nie pachnie, królem być nie mogę,
Ziemianinem pozostanę *ex veteris scholae*,
A choćby też miecz przypasać, gdy zatrąbią w pole...

— Wiemć ja, żeś jest *eques*, panie, i nie małej cześci,
Przecie baczyć powinieneś na mdły ród niewieści;
Twej opiece powierzony cny wirydarz swojski,
Wojsko wojskiem, a tymczasem pijmy, panie wojski!
Więc uciecha po uciesze i rym znamienity,
A pszenica się przewala, trzęsą prosa kity.
Już się lipa uciszyła i jakoby słucha,
Jak ostatnia odlatuje z brzękiem złota mucha.
Za borami, za lasami jeszcze nie zapadło
Słoneczko, to śliczne słonko, to Boże zwierciadło,
Ku któremu więc okienka błyszczą od poziomu,
Od chałupy, nie chałupy, od wszelkiego domu,
Jako dziatki zatrwożone czy rodzic powróci.
A tu cała okolica na dobranoc nuci:
Uciszcie się w kolebeczkach, błazenkowie mali,
Zasypia ta śliczna ziemia w ogniu, co nie pali;
A tu godni przyjaciele z pod dębowych cieni
Na obejście zawracają, jakby zamówieni...
A co nowy, nowa radość, a nowe uciechy:
Więc rycerze i rybałty, pątnicy a klechy,

Pstra drużyna, fantazyą znaczna rozmaitą;
Tu pielgrzymskie kapelusze, kołpak z czaplą kitą.
Tam się znajdzie u drugiego kopalina z miedzi.
Zmiłujcież się nad rumakiem, bo pan tu posiedzi,
Nim się dalej stąd odprawi na nowe zdobycze,
Niechby rumak podratował boki suchotnicze.
Znać to zaraz po urodzie, rycerz nie pośledni,
Gdy dosiędzie taki konia, pewnie go odsedni.
Kopaliną opatrzony, ba i gliczką zbrojny,
Zaśby to był sam Albertus, wracający z wojny?
Zaśby to on w swej osobie? — Jest przy nim i klecha,
Pan Mikołaj śmiechy płodzi, a z nim wszystkie echa.

Tak-ci bracia towarzysze zapijają w kolej,
Jeden woła: piwa dolej, boć to życia olej,
Gdy drugiego garniec miodu już też ukołysał,
Zatem fraszki i baraszki, wszystko to Jan spisał.
Żartobliwe one rymy, godne cnej pochwały,
Jako ptaszki lęgły się tu, na świat wybiegały.
Z głębszą myślą nie każdemu lutnia się zaleci,
Starców mało na tej ziemi, więcej bywa dzieci.
Toż maleńka fraszka dziecku uciechą, rozkoszą,
Po powiatach, po sejmikach z fraszką się obnoszą.
A Jan patrzy jak na dziatki i — „Satyrze, prawi,
Źle takiemu, co naucza, — szczęśliwszy, kto bawi“
I wybrańsze rymy chowa w kantorku Doroty,

One skarby polskiej mowy Zygmuntowskiej, złotéj.
— Chowaj-że mi, moja panno, bardzoż ciebie proszę.
To są *Pieśni*, a z *Proporcem* już się w głowie noszę
Polecim się biskupowi i te nasze druki,
Zeby się tem ucieszyły synowie i wnuki.

Błogo chwile upływały, ani się spostrzeże,
Jak pośrodkiem nieba miesiąc drogę swą wybierze.
Jak uprzejma pani żona, ozdoba tej głowy,
Gości sprosi na wieczerzę, za stół jaworowy.
Na te ryby, na te grzyby, a smaczne małdrzyki,
Którym się też nie odejmie i leśny mąż dziki.
Więc ja patrzę, przepatruję, czy co nie przyganię,
Piwko było pospolite, w polewanym dzbanie.

— Ale cóż ta Urszuleczka, boć to najciekawsze?
— Ano jak to małe dziecko, przy rodzicach, zawsze,
Dzieweczki tej ledwieś dojrzał z matczynego czepka,
Kołnierzyczek jeno biały dla onego zdziebka,
Nóżki temu wyglądały z pod białego rąbka,
Koralowe, rumianiuchne, jakby u gołąbka;
A co było na mnie spojrzy, za matkę się kryje.
To raz wejrzy na Satyra, to znowu za szyję...
Znać też było, że myśleńki dziecince się snuły,
Bo świeciły oczki zmyślne, jak dwa karbunkuły.

To coś w księdze rączką bije od lewej do prawéj,
Naśladując po swojemu ojcowe zabawy,
To czasem się zastanowi i tak się zapatrzy,
Jakoby też zobaczyła inny świat bogatszy...
A wianeczek, uwiązany na dziecinną głowę,
To na swoją raz położy, to znów na ojcowę.

— Ale jakimż to sposobem człowiek takiej miary,
Żeby trzymał społeczeństwo z leśnemi maszkary,
On poeta, który niemal nieba sięgał czołem?
— Chcesz-li wiedzieć, to ci powiem, jak i skąd się wziąłem.
Dawniejszy ja w tych tu lasach, niż się ludziom zdaje;
Odkąd pierwszy wietrzyk począł trząść zielone gaje,
Odkąd pierwsze trzciny trącać na wszelakie smutki,
Wywijają leśne bogi, zagrywają dudki.
Najstarsi mnie pamiętają. Zamechska też Dryja,
Ni to puszek tego mlecza, na wiatr się wybija,
I niektóre insze Nimfy, ni to mgły nad błoniem,
Tańcujemy, wywijamy, jedno drugie gonim.
Złego ludziom nie czyniący leśny gmin pijany,
Zataczamy raźne koła przez świat malowany.
A gdy czoło spracowane długa troska znuży,
Kiedy człowiek od żałości nie ostałby dłużéj,
Na oczy mu nabiegamy i zwyczajem swoim,
Nastawiając krzywe różki, leśne igry stroim.

I tak one ciężkie chmury rozmiatamy prędko,
Ja tą moją piszczałeczką, Dryas lekką piętką.
Owóż gdy poeta zacny spłacze się bywało,
Gdy nad księgi uczonemi noc przegoni całą,
Gdy rycerzy swych pochwałą tak się cały wzruszy,
Że już w świecie nie znajduje miejsca dla swej [duszy,
Gdy się hymny anielskiemi pod niebiosa wzbije,
Siatką śmiechu, wesołości, Satyr go nakryje;
I wnet wielkość ustępuje, gdy Dryas poskaka,
I przyroda się uśmiecha do swojego ptaka,
Łzy na oczach zasychają, jak poranne rosy,
I ucho się szczęsne zwraca na domowe głosy...

Skąd my przyszli do tej ziemi? — Skąd poranek [leci,
Dzieciątka nas wymyśliły i kołyszem dzieci.
Wiedział o tem Kochanowski, on co harfę złotą,
W której struny aniołowe śliczne rączki plotą,
Jakoby sam król psalmista wysoko piastował,
Stwórcę swego chwaląc pieśnią, zgodę z nami [chował,
A śmiejąc się z tej prostoty dobrodusznym śmie- [chem,
Za grzech tego nie uważał, co nie było grzechem.
— Ale skąd o twym rozumie powieść Jana niesie?

— Chłopski rozum, przyjacielu, postarzałem w lesie.
— Więc o dobrej jeno prawisz, milczysz o złej [doli?
— Nie ciągnijcie na wspomnienia, powoli, powoli!..
Widziałem go przy trumience, włos na czole rzadki,
Okiem pełnem łez spoglądał w oczy biednej matki,
A któż więcej kocha dziecię, czy ta, co je rodzi,
Czy ów, co za opatrzeniem miłościwie chodzi?...
Światła wciąż się pochylały, ciekły żółte woski,
A na czołku aniołeczka wiatr poruszał włoski.
Serce jako wosk topniało, na cóż łza posłuży?
A kto sobie na tym świecie długie szczęście wró- [ży?...
Widziałem go niesionego z krzykiem: „Już go nie- [ma!..“
A król Stefan stał, pokrywszy oczy dłońmi dwiema.

— Ha poczciwy stary Satyr, cóż zaś więcej prawił?
— Ot jedyne co przymawia: że za krótko bawił;
Że był ów Jan Kochanowski sercem zbytnio czuły,
Że mu jego łzy po dziecku na nic zdrowie psuły,
I już życia nie starczyło przed królem na sprawę,
Gdy łaskawy k'posłuchaniu złotą zasiadł ławę.
A cóż gdyby ujrzał Polskę od Wisły do Rosi,
Jak ją marny proch niemiecki zaciąga, zanosi,
Jak ta ziemia z naszej ręki znika kęs po kęsie,

Jak Aryanin nowożytny suche siano trzęsie...
O gdybyżeś dożył, Janie, do dni naszych nędzy...
— Więc, Satyrze, cóż ty mniemasz. odbieżałby [prędzéj?
— Charonowi grosz od promu i dalej za rzekę.
— A cóż psałterz, cóż zaś prawisz -- a *kto się w opiekę*,
Popraw-że się, opamiętaj, Satyrze niebaczny,
Mocnej to był wiary człowiek i poeta znaczny.
Jegoż sprawą, że krainy kołysanej zbożem,
Acz tracimy utracyusze, utracić nie możem.
Jako zbroją opatrzeni czarnoleskim spiewem.
To ja prawię, a słowiki w toż samo nad drzewem,
Jak nie poczną ciąć pochwały, aż zgłuszyły knieje...
Hej, Satyrze, gdzie te miody, gdzie te stare dzieje?
Lecz że on to jedno chwali, co jędrne a żywe,
Jakości wypatrzył na mnie swoje oczki krzywe,
I złośliwie przymawiając jałowiźnie czasu,
W oka mgnieniu kopnął mi się i zniknął wśród lasu.
A ja myślę, odgaduję przyczynę pospiechu:
Czyby to umarłe było, co powraca w echu?
Czy od ojców nas rozdziela lat i błędów przedział?
Odpowiedz mi, mężu leśny; lecz... nie odpowiedział...

Dalejż ja więc na Czarnolas moją drogą kmiecą,
Het, kopytka po gościńcu jak gdy kozy lecą.
Czyż mi znowu kosooki nie zajdzie na drodze,

Gdzie się zwrócę, gdzie popatrzę, myślę o tym bodze:
Prawda li to, czy nie prawda, co zaś o nas trzyma,
I o lutni największego w Polsce pisoryma?
A co wiatrek poswawoli, co potrąci zboże,
To mi zda się, że zagrywa leśne kozioroże,
Że mi jeszcze opowiada o poetów księciu,
W starożytną dmąc piszczałkę, o dudkach dziewięciu.

CHORĄGIEW SŁOWIAŃSKA

DO GROBU ŚW. CYRYLA

w Rzymie.

CHORĄGIEW SŁOWIAŃSKA
DO GROBU ŚW. CYRYLA
w Rzymie.

Powiedz słowiański rym, o wielostrona,
Lutni złocona.
J. Kochanowski.

Gdyby te Słowiany
Raz się obaczyły,
Toby im kajdany
Rączek nie krwawiły.
Gdyby te Słowiany
Żyły jak plemieńce,
Toby im kajdany
Nie krwawiły ręce.
Gdyby pobratymy,
Jak dawnego wieku,
Dały co dwa dymy
Po jednym człowieku,
I kraj by się złocił,
I Niemiec nie psocił...

Wstęp.

Pochwalmy, bracia, niebieskiego siewcę,
A złotem piórem niech spiszą pisarze
I niech zawieszą pismo na cerkiewce,
W tym kraju lubym i na każdej farze,
Orędzie święte w drogę wielką, nową,
Na kmiece życie i kwitnące słowo.

DO RZYMU.

Wszystkim nam, bracia, iśćby tam przystało,
Naszą serdeczną Słowiańszczyzną całą,
Wszystkim, co w polach i po lasach żyją,
Wszystkim, co słodkie fale Wisły piją.
I co z Dunaju wyciągają sieci,
Wszystkim Słowakom, wszelkiej dobrej kmieci.

Z jednej macierzy my a z jednej chaty,
A bratnim wzrokiem szukający siebie,
Tatarskie biedne, niemieckie sołdaty,
Idźmy posłuchać, co nam rządzą w niebie...
A z tą ufnością, że wśród jęku wiela
Na dobre dusze i myśl dobra spłynie,
Na ten lud biały, na te listki chmiela,
Na ciebie, bracie, luby Słowianinie.
Że usłyszymy, jak ongi przed wieki:
Ludu prostaczy, miejże serce szczere,
A jać poświęcę w lesie twą siekierę,
Brogi i stogi, zasieki, pasieki,

Poświęcę chatę na pokój domowy
I wiatr ojczysty wam na oddech zdrowy,
I miecz poświęcę na obronę miedzy,
I skarby pieśni i twą księgę wiedzy.
I chrzest powtórny weźmiesz Boże bierzmo,
I z Ojcem, Synem, Duchem świętym w zgodzie
Bezpiecznie spłyniesz po burzliwej wodzie;
Idźmyż tam, lube bratczyki, a wierzmo.
W drogę nam, bracia, — a po kmiecu, rączo,
Źli niech się dzielą a poczciwi łączą,
A niechaj nasze błogosławią rody,
Najuwielbieńsi Cyryl i Metody.
Z pieśnią po drodze, bo z naszych spiewanek
Przyszłości ludu zawiewa poranek,
Z za nienawiści pogody świat wtóry,
Jak łąka strojny w mienione kolory,
Coraz śliczniejsze a z głębi idące;
Anioł słowiański przemawia w tej łące
Słowem, co światu niesie czystość, zdrowie,
I jest i waga i miłość w tem słowie.

Lud nasz przy ziemi pozostał jednakim,
Z swoją zagrodą, zwierzęciem i ptakiem.
Czy to nad Łabą, Dunajem, czy Sawą,
Słucha o prawach, a czci swoje prawo:

Miłość wszystkiego, co mu w oko wpada,
I z wszystkiem zna się i z wszystkiem rozgada ;
We wyższych sprawach widzi Boże słowo
I jak to niebo patrzy lazurowo.
Pieśni wyciąga dziecinnemi głosy
Na świat słowiański, na ten pełny rosy,
Gdzie jest się nutom rozbiegać, rozłożyć,
Gdzie jest się sercu dobremu otworzyć.

My nie cesarscy, tatarscy rozboje,
Witajcie kneziu, co moje, to twoje.
Guśla też przyjdzie, co myśl rozwesela,
Wszystkim Bóg daje, chociaż nas tak wiela,
Że nie policzy słowiańskiego ziela.

Słowak swojego apostoła szuka,
Od Pragi ciągnie, Ołomuńca, Lwowa,
Od Starej Nitry, miasta Światopłuka,
Gdziekolwiek mowa brzmiała Metodowa,
O swą Ludmiłę, Borzywoja troska,
Swego Iwana w dalmackim Eremie,
Którym korona od czół błyska boska,
A ziemskie rdzawe wkopały się w ziemię;
Ślady ich stopek całują prostaki,
W świętych zakochan lud, bo i sam taki.

Wody do morza, dusze w wieczność płyną,
Wody nie giną i dusze nie giną,
Garną się w morze i z morza na nowo,
Czystym obłokiem wędrują nad głową.
Obłoki deszczem ożywiają suszę,
A dusze święte odżywiają dusze.
Tak my i wierzym i dzierżym się wiary:
Że ci Ojcowie, co przynieśli Chrysta,
Jako proskurkę do świętej ofiary,
Słowiańską duszę wymyją do czysta,
Ta i poradzą może i powiodą
Tę naszą junosz swobodną a młodą,
Z cepem żelaznym, z nakrzywioną kosą,
Gdy się w spojrzeniu zejdą a obniosą.
Bo my ci sami Morawcy, Mazury,
Hucuły, Czechy, jak gdzie zasiadł który,
Swojego ducha — choć są między nami
Nasze nie nasze, ni serca ni głowy,
Tych car niemiecki pociąga i mami,
Że i nie jeden wyprzeć się gotowy
Matki i ojca za carskie kożuchy,
Takich lud zowie przedanymi duchy.

II.

Wszelka nam dola z woli Bożej płynie,
Popiołem pruszy, czy wiankami ściele,
Jeden masz Kościół, miły Słowianinie,
A dwa obrządki w tym jednym Kościele:
Stary słowiański, i rzymska łacina;
Przy tym łacińskim karmazyny, zbroje,
Przy drugim biedna chata Słowianina,
Ludu serdeczny, pierwsze głowy twoje,
Twe Ziemowity i prastare Piasty,
Z swemi drużyny i z swemi niewiasty.

Gdy Warszewita prowadził rycerze
Nad wojującym z pieśniami narodem,
To w kmiecej chacie Cyryl i z Metodym
O Chrysta pierwej powiadali wierze.
Oni to bodaj przy Polski kolebce,
Na Piasta zaszli Kruświcką zagrodę,
Niby gęślarze, stare nasze ślepce,

I wyspiewali, wymodlili zgodę.
I rzekli Piastu: Boże są wyroki,
Że musisz zasieść złoty stół wysoki;
I będziesz, człeku, pierwszym w świecie gazdą,
Sława uściele pod twym dachem gniazdo,
Pszenica sypnie, miotła się nie rzuci,
Ubóstwo zaśnie, a pieśń się ocuci.

Wszystko to widzim jakby na obrazie,
Na dziejów złotych rozwieszone tasach;
W kożuchach wodze a lśniącem żelazie,
Na nabijanych miecze wiszą pasach.
A tak się patrzą z pod hełma a z boku,
Jakby cię miały przez wieki na oku.

Polska kraina — on jawor zielony,
Jezioro z jednej, bory z drugiej strony,
Zioło i sioło i dąb z siwem czołem,
Ostrów błękitnem otoczony kołem.
Pasieka brzęczy pszczołą pracowitą,
Poszumia płowe na obejściu żyto,
Pacholę nutę swoją ciągnie w cieni,
Słodyczka pachnie i mak się rumieni,
Za pługiem wrona poskakuje siwa,
Bocian doziera, skowronek przygrywa,
A prosty naród co kocha, to święci,
We wszystkiem dobrych szukając bożęci.

Śmierci nie lubi, więc ciągnie bałwana.
A jemu miano Maruna, Marzana,
I na roztopach rad wybiega wszytki,
A różne nad nim dokazuje zbytki.
Słoneczku zasie pali zacne zioła
I zawiązuje różne gry a koła,
Gdy ślepe dziady nad wodę się zwiodłszy,
Widy nie widy prawią a trzy po trzy.

Dziecińskie wszystko sercu przecież błogie,
Drogie mu mnogie te dziady ubogie,
I chociaż nie ma z czem się chlubić, chlubi,
Oczy obłąka, serce swoje zgubi.
Dusza się pasie na owym podziwie,
A jeśli sen to, nie wie sprawiedliwie.

W dziewiczych lasów głębi nieprzebranéj
Wzrok za ojcami bieży zakochany,
Których zbroica przez dalekie knieje
Pierwszymi dziejów połyskami dnieje.
Wita znajome rozgłośnymi czyny,
Niemcom niemiłe Słowian rohatyny.
Z ojców najmilszej rozpoznaje gwary,
Swe wojewody a siwe bojary;
I guślę widzi i gusła i czary...

A jaki w koło świat...

Od Szkockiej góry

Nagie, okrutne lecą Uhry, Ury,
Jacy wodzowie, taka też i świta;
Od skór wiązane wiszą im kopyta,
Topory, których z ludzkiej krwi nie czyszczą,
Oczy zwierzęcej chytrości Uherca,
I hełmy w lasów głębokościach błyszczą,
Uhry te z piersi rwą słowiańskie serca.
Bo powiadają, że tą krwią człowieczą,
Sercem od chorób wszelakich się leczą.
Gdybyż to była prawda, Boże miły,
Serca słowiańskie świat by uzdrowiły.
A może się w tem przepowiednia chowa
Zwycięstwa serca i zwycięstwa słowa.
Ode krwi brody wiszą im w kołtunach,
A grom niewiada czy w chmurach, czy w Hunach,
Taki ryk czynią te piersi bawole,
Przez gęste puszcze i przez rzadkie pole.
Gdy z drugiej strony od Odry a Łaby,
Szwaby spadają, jako z deszczem żaby;
Palą, mordują, krwawe dzieją szkody
I pędzą wszystko za niemieckie wody.
Za Pyreneje tłumy zbrojnych Gotów
Gonią słowiańskich tych pasterzy Skotów.
Tak one grafy na spokojne ludy

Z dzikiej na skałach spadały Feudy.
Boże, naszemu łaskaw bądź ludowi,
A co raz przeszło, niech się nie odnowi.

Przez świata okład, okrutny a dziki,
Filozof ciągnie z bratem z Saloniki.
Gdy Focyusz broi pod byzanckim rytem,
I ci po grecku lecz z serca błękitem,
I z jednym ojcem ściśle, po wiek zgodnie,
Z zorzą zachodnią wiążą zorza wschodnie.
I tak się Chrysta świeci głębia czuła,
Jako nad ściany złocista kopuła,
Szeroka jasnym kręgiem opisaną,
Na dom, dziedzinę i grób dla Słowiana.
I rozpalają się też światła kmiece,
Ludmiły świętej, Bożywoja świece,
A dym kadzideł w głębię wiać poczyna,
W czuwającego skrzydła Cherubina.

Od lasów Sasów, od Rzymu, od Krymu,
I od Kozara i Cara Bułgara,
U progu staje piastowego dymu,
Siwych gołębi apostolskich para,
Od Pragi Czeskiej, od ziemi Morawskiéj.
W pas u nich brody, a w prawicach laski.

Niechże się serce, choćby kęsek czasu,
Wśród tych pszczół zdzierży i kmieci i lasu,
A oczy naprzód wypuści na święte;
Są tu i hełmy i tarcze pogięte,
I brody ważne i młodziaszki holce,
Sterczą i cepy i żelazne kolce.
Rzepka wciąż chleby w białej nasza pole,
Stosami chlebów na Piastowym stole.
A tam z daleka bucha ogień z pieca,
Przy którym troska kręci się kobieca.
Gdy pacholęta przed posłańcem Boskim,
Srebrzyste plastry miodu miecą z woskiem.
A Piast powiada:
— Będziem słuchać radzi,
Lecz niechaj miodek piersi wpierw pogładzi,
A chleb pokrzepi członki utrudzone;
W polu ta jeszcze Boże źdźbło zielone,
Aleć się u nas znajdzie i zapaśne,
Prosim na chlebki, a na miody przaśne.
Czem Bogi darzą, radzi miłej gości,
Więc życzliwością serdecznej miłości,
Onego prawa, co go nikt nie prawi,
A kto go nie zna, niechaj się zadławi.
Jest u nas ryba, jezior podostatek,
Jest len niebieski na płacę i płatek;
Aleć nad wszystko na osłodę latom,

Kobieta zacna k'dziatkom a obiatom,
Ofiarom Bożym... Skłońże się niewiasto.
Więc Rzepka, Boże ostawiając ciasto,
Obejmie święte kolana jak panom:
—Życzcież nam—prosim—ubogim Słowianom.

I oto w koło wszelki wzrok się śmieje,
W iskierce czucia całe Słowian dzieje.

Od Boga słówko, głosik nasz rodzimy,
We świat na wylot niesie zapowiedzie,
Nie stare baśnie, dziwoty, olbrzymy.
A dobre wieści o czystej biesiedzie,
Kiedy się góry porównają z doły,
A na świat przyjdzie anielska ochota,
Na wiecu staną nowe apostoły,
Nie z księgą carów, a z księgą żywota.
I sam pan Chrystus w gościnie u ludzi
Mocne utwierdzi, drzemiące pobudzi.
Każe być mężnym i mężnym się stanie,
Każe być dzieckiem i będzie dzieciątkiem,
I święty mówi: z nowych dni początkiem,
Dziećmi się muszą stawić Chrześcianie,
Stumilionową wiarą nowych kmieci,
W przecierające się królestwo dzieci.
A w toż im zagraj... — Będzież nas tak wiela?

— Będzie was, będzie, jako liści chmiela.
Mnogo i błogo, jeno w Boże imię,
Niech każdy tarczę chętnie swą podejmie,
I w jedno, w jedno wciąż się serce zbiera.
W dobrego brata, w ludu bohatera,
I w jedną wiarę i w jedne miłości,
I w jeden Kościół, spojon z świętych kości.
W jednego ojca, w jedną matkę wiarę,
Czucia bez miary, a sprawy pod miarę.

Skończył, łzy cieką — a słowiańska mowa
Świeżego ducha przez wieki przechowa,
Czas go nie dotknie, ani złe ubieży,
Choć szatan czuje zapach duszy świeżéj,
Lecz nie dostąpi, bo to źródła tajne,
I proste wszystko ale nie zwyczajne.
W tem nasze prawo i nasze swobody,
I nasza przyszłość Słowiańszczyzny młodéj.
Słowo tajemne, a kto zna moc słowa,
To je pod klątwą na sądny dzień chowa...

Stare wspomnienia potracone chwile...
Wspomnienia dziadom wszystkiegoż i tyle.
Łąki a bąki, ogrody, zagrody,
Hej! hej! po dziejach nad Kruświckie wody.

Czerstwy a dzielny goplański narodek
Grzmi na tym rogu, w który sączy miodek,
Krępy, przysiadły jako jego chaty,
Siermiężny, bosy, biało-kurowaty.
Wiosłują młodzi, starsi na dnie leżą,
Trzciny, jezioro, sokół gdzieś nad wieżą...
A tu wciąż statki nowych gości niosą,
Od białych wioseł, jak siano pod kosą,
Grzywy padają pereł a brylantów,
Słowików pełne gaje muzykantów,
Świeżość jeziora i powiew od żyta,
Radości onych dusza nie nasyta,
Miesza się w szczęsne pląsające koła,
Huka radośnie i na swoich woła.

Zda się, że Zbawca z obliczem łaskawem,
Nad Gopłem naszem stoi z swojem prawem,
I chleb i ryby mnoży cudem wtórym,
Jak w Genezaret niegdyś nad jeziorem.

Kmiecie a Lechy, raz ci — to raz owi,
Drużyny wiodą ku wiecznemu dniowi,
A nawołują k'sobie — to od siebie,
Po ziemi ni to, i ni to po niebie.
Bo i nie zgadnie, gdzie te świecą stadka,
Czyli na lotach, czyli nie na lotach,

I czy przeczysta je w niebieskich wrotach,
Czyli słowiańska wykarmiła matka,
Czy Góralczyki poddymają w dudki,
O górskich kierpciach i o gunce krótkiéj,
Czy aniołowie, bo się w oczach dwoi,
Niebem i ziemią wszyscyśma tu swoi.
Skacze Dunajec, szumi Wisła siwa,
A wzrok i leci to i odpoczywa ..

Gdzie krew upada a płomień zaświeci,
Tam nie kraj deszczów i pobożnej kmieci.
Brat nasz serdeczny, gdzie pieśń i łza ścieka,
Niebieskich znaków, nie biesowskich czeka.
Bujnego wiatru, drobnych z nieba deszczy.
Błogosławieństwa, wielkiej pieśni wieszczéj.
Miłości Bożej na swe nędze sprasza,
Taka to owa Słowiańszczyzna nasza.
Polska a Czechy — lud szczerych Słowianów,
I Ruś — ta ziemia stepów i kurhanów,
Orła, sokoła, dnieprowej korabli,
Kosy krakowskiej, ukraińskiej szabli,
Górskiej rusznicy Czarnogórca brata,
A za tym światem — to już nie ma świata!

I tak po całym Europy wschodzie
Myśl się przerzuca, jak ryba po wodzie.

Już tu zawinie wiosłem w żywe łuski,
Już w drugą stronę, a wszędzie jej błogo,
Tu złoto-bramy wita Kijów ruski,
Tu braci Czechów wędrujących drogą,
I dalej kołem żelaznego stołu,
Z którego Przemko rad wyłożył wołu.
Cieszy ją Marko, cieszy ją Wukaszyn,
I dziewcząt piosnki, tych słowiańskich ptaszyn
I sama nie wie, gdzie się zastanowi,
Cuda i cuda, a wciąż idą nowi,
Do boju nasi, modlitwy a siewu,
A ich obyczaj lirnikom do spiewu.

Rodzinna piosnko! ty, co z myśli tracisz
Wszystko, czem w radość serca nie bogacisz,
Co zapominasz krzywdy wyrządzonéj,
Patrz, jak to niebo zaszło z wszelkiej strony.
A pod chmurami, pod nawałnicami,
Jakie pioruny szaleją nad nami,
W krwi naszej Niemcy po popręgi brodzą,
Grzmią wciąż pioruny, chmury nie odchodzą,
A ty mnie łudzisz starą sławą zmysły,
Wiankiem na falach mej domowej Wisły.
Z pod stóp słowiańska ucieka mi ziemia,
Serbia serdeczna, rycerska Bohemia...
Ojczyznę moją żywcem w groby wleką,

Huczą pioruny, w tarcze grady sieką,
I jedna tylko świeci gwiazda blada,
Jedna mogiła, kędy duch przypada,
Jako znużony ptak morską podróżą
Na żagle, co mu za spoczynek służą.

Przecieram oczy: biała, srebrna broda,
Jakby wiślana wyniosła go woda,
Metody wstaje w błękitach tumana;
Tam się rozbija czarnej chmury ściana,
Tędy ucieka wał siejący gromy,
Słowiańskie małe występują domy;
Nie zatraciła nas przeklęta chmura,
Powstają kłosy, ptak otrząsa pióra,
A dobry naród w złotym, bożym chramie,
Kraty pojmania rozsadza i łamie.

Cudaż prawdziwe, ludek biegnie przodem,
Chude prostaki z Cyrylem, Metodym,
Koniarki ciągną a chłopcy od wołów;
Niepróżno mokły apostolskie sieci,
Ze wszelkiej wody bierze ten rybołów,
Nie karmazyny pociąga to kmieci,
A co ma stać się, to się staje w czasie,
Czy trzodę Wojciech, czy Metody pasie.

Jest i niewiasta — niechż idzie i ona,
I dziecko niesie, co samo nie chodzi...
Mazurka nasza, czy rusińska żona,
A zaż to ona nie cierpi, nie rodzi.
Niewiasta zacna...
Niech idzie to plemię,
Co nam umila i opiela ziemię,
Płonka z zagonka Piastowej Rzepichy,
Jako spłukany deszczem ranek cichy,
Gdy jeszcze stoją łez ponocnych wody,
A świt rumiany wschodzi na jagody.
Kiedy lud idzie, to już idzie cały,
Niebem i ziemią, — dzień biały, lud biały,
On swoje czyni, korzy się i wini,
To i Bóg przecież jemu coś uczyni.

Znać to coś będzie, gdy się nasi godzą,
Nie darmo oni do Rzymu zachodzą.
Nie próżno zyzem patrzy na nich carstwo,
Na swoje ludziom czas już gospodarstwo,
I żeby ślad się nędzy naszej zatarł,
Niemcom do Niemców, Tatarom do Tatar.

Gdy ja tak spiewam, to mnie od pielgrzymów,
Od moich braci i od ognisk dymów,
Jakiś tam Rusin odpowiada żóraw.

Jakiś tam Góral ubogi od Moraw,
Jakiś Dalmata w rybaka odzieży,
W onem czapczysku, co na oczach leży,
Więc od Dunaju siwy pastuch baca,
I od Zagrzebia, Lublany i Graca,
Niewiasty w wiecznej żałobie chodzące,
Jakby ze skargą na spóźnione słońce.

Hej! przepowieści a nędza przez wieki,
Ni raz niemieckiej pozbyć się opieki,
Ni raz z pod cara, ni raz z pod Madziara,
Ni raz z pod dyabła, ni raz z pod Tatara.
Gorzkie łzy swoje niewiasta przełyka,
Do łona garnąc dziecko niewolnika.
Karmi to, nosi, spowija a strzeże,
A Niemiec, Tatar przyjdzie i zabierze.

I za cóż Pan Bóg taki na nas gniewny?
Człek się strofuje, ale w czem niepewny.
Ciężki nam żywot zakowanym w dyby,
Deskę na piersiach przysiedli morderce,
Albo pośniemy, jak na piasku ryby,
Albo zjednamy raz się w jedno serce.
Bo i cierpliwość sama się wyczerpa,
I nie wciąż modre choć i te niebiosy,
Odłożym rękę od białego sierpa,

A położymy na krzywione kosy.
Niech jeno święci postanowią głowy,
Na świat dziewiczy, na porządek nowy,
A już ten naród nikomu na świecie
Czapką poddaństwa do nóg nie zamiecie.

Takie o brzasku słyszę z dala spiewy
I czuję święte na sobie oddechy;
Może to czynią brzozki, sosen krzewy,
Może chat polskich oddalone strzechy,
Co mnie czarują pod zaklęciem spiące,
Przez nieme słońca i głuche miesiące,
A szepcą wolność, co też znaczy życie,
Szemrzą, jak płowe żyto na okwicie.
A tu się serce łamie w drobne kruchy,
Cicho już, polskie, cicho, dobre duchy,
Żeby nie przyszło oszaleć z tej męki!
Nasi spiewają litanie, podzięki...
O, niech spiewają, w pieśń tę wszystko bije,
Czują biesowie, gdzie duch święty żyje.

Pod jaką plewkę ubogą się chowa,
W pieśni tej wolność spiewa niezabita,
Te czucia nasze, te nuty bez słowa,
Ten duch, co wciąż się spojrzeniami pyta...
W nucie tej pieśni, która po przestworze

Groby otwiera, lecz wejść w nie nie może,
Ryki, szczekania dyabelskie zagłusza,
Stara słowiańska żyje polna dusza.

My nie od złota świecim, ni jedwabi,
Naród od sierpa i kosy i grabi,
Aleć za nami stąpa głowa żniwa,
Co spocząć daje a sam nie spoczywa.
Przy jego twarzy słońca blaski nocą,
A w jego szatach gwiazdy się migocą.
Jego stolica, gdzie rozwiane błędy...
Jego obecność i nigdzie i wszędy...
Sierp jak świt niesie, którym dzień otwiera,
Słowo pracuje, a duch plony zbiera.

Bliżej, wciąż bliżej, w kolumnach cyprysów,
Nie barbarzyńskich końce błyszczą spisów;
Chorągwie idą, dziane złote szychy,
Duch je prowadzi miłości nie pychy.
W błękitnych górach pięknej Auzonii
Mowa słowiańska błogo sercu dzwoni,
Nie z żagwią idą na Italię nową,
Miłości niosą czarujące słowo.
Jeśliż poznacie z ich języka szmerów
Miłość Chrystusa i cześć bohaterów?

Słowiański spiewak, zagnany w te strony,
Syn wielkiej matki, żywcem pogrzebionéj,
Co tu na głazach starożytnych grobów,
U rzymskich orłów połamanych dziobów,
Pychy zwycięzców błahość czyta całą
Nad ziemią, słońcem wygorzałą, białą,
Z sercem radosnem, jak w jutrzenne świty,
Do nóg wam starzec chyli się odkryty.

Ja w tej Italii, bracia, już znajomy,
Doczekujący za górami święta,
Więc was pośrodkiem poprowadzę Romy,
Do cerkwi, chramu, kościoła Klementa,
W którego krypcie spoczęły w gościnie
Cyryla kości w swojej srebrnej lamie,
Na Tybru potem wyspie, Słowianinie,
I Wojciechowe pokażę ci ramię.
A tam niech matki z dzieciny poklękną
Przed trumną szklanną i w oprawie złotéj,
I niech poniosą wieśniaków klejnoty,
Kwiecie i dziecię i pieśń swoja piękną,
I niech modlitwę powtarzają znaną:
Dajże nam, Panie, bo przychodzim rano,
Daj nam słobodę naszą i swobodę,
Daj stare myśli, a serce daj młode,

Daj nam i siłę i do siły miecze,
Gdy przyjdą wełny burzliwe a siecze!
Nie płaszczy prosim, wytkanych we złocie,
O skórę twardą przy twardej robocie.
Ducha, prosimy, wypuść z swojej dłoni
Na męże pługa i słowa i łroni!
Nim się zwycięstwo ku dobrym przechyli,
Rusz — prosim — kości, Ojcze nasz Cyryli
Niech przeżegnają paluszki kościane,
Dnieper i Dunaj, Wisłę i Bojanę,
Puszcz Myszyniecką jak wielka i ciemna,
Lasy Karpackie i lasy Nadniemna;
Serbskie, Kroackie, Czarno-górskie szczyty,
Na których stoi naród, jak stal bity,
Jak stal we walkach silnie utwierdzony,
Co szczerby bierze, a zadaje zgony.
Spros trzeźwość ducha w każdem słowie, czynie,
Na śmierć gotowość w każdym dniu, godzinie,
Aż świat po świecie w łono Boże spłynie!
Co Boskie, miłe od Wisły do Sawy,
I co waleczne, we wszej sprawie dobre,
Was przyzywamy, Ojce Rościsławy,
Mieszki, Wacławy, Bolesławy Chrobre,
Cara Łazara, Ładysława łaski,
Prosim — niech stają u nowej epoki,

Cały Wyszehrad Świętych naszych Praski,
I cały święty nasz Wawel wysoki.
Wzywamy Świętych Słowiańszczyzny całéj,
I mgłami duchy ciągną na przestrzenie,
Na ciemną dobę lud biały duch biały,
I rozwiązanie z grzechów, odpuszczenie,
I moc i wiara na wszelkie przypadki,
A potem... potem napełnimy datki
Świętą skarbonę.

Mazury, Rusiny,
Krwią spadającą pod carskiemi chrzciny,
Lechy kajdany przynoszą i ciernie,
Oczko patrzące w niebo miłosiernie,
Tchnienie ostatnie konających z głodu,
Wydarty język z pod tatarskiej cęgi,
Jęk całej sfery Europy wschodu
I zawieszone na ustach przysięgi:
Jako się prawdy naszej nie wyrzeczem,
Pod knutem, ogniem, powrozem i mieczem,
Aż do zwycięstwa, które ten zaręcza,
W którego ręku i potop i tęcza.

Więc u nóg Ojca pochylimy skronie,
Boć to ów prorok podnoszący dłonie,

Przez wieki bitew, łez i zawieruchy,
Jak ptak wiszący w modlitwach a suchy,
Jak ptak, którego kościec dusza wodzi,
A wzrok się jeno świeci, gdzie Bóg schodzi.

Od Wydawcy.

Takie się słowo do Słowian wyprawia,
Do ludu słowo, co do Rzymu spieszy,
A sercem wciąż się ku przyszłości cieszy,
Boć ta gromada czuje za świat cały,
Że dzień królestwa małych dziatek w bramie,
Że aniołowie obredlają wały,
Których potęga piekielna nie złamie,
I że po sieczy, po grozie, a gromach,
Rycerską kopię w pulchną ziemię wbijem,
A na tych kopiach przy zacisznych domach
Chmiel się okręci, jak na tyczkę kmiecą,
I że pożyjem z sobą i wypijem...

Niechże za miodem złote muchy lecą.

CIENIE SYBERYJSKIE

z opowiadania powracającej z wygnania.

Cienie, bracia, głębokież tam cienie,
I nie harfy to dźwięki Polskiéj,
A więzienne narodu westchnienie
Aniołowie podnoszą od Polski.
Pierzchliwemi żeglując wciąż pióry,
Których loty, jak wieszcza myśl, chyże,
Co uderzą po niebie, to chmury,
Co uderzą po ziemi, to krzyże,
Co uderzą po wschodzie, pustynie,
Co uderzą o zachód, grób głuchy,
Co uderzą o północ, to w minie
Sybiryjskie odjękną im duchy.
Co uderzą po sercach, to błędno,
Co uderzą po myślach, to pusto,
Więc dzierzganą z błyskawic swych chustą
Otaczają te lilie, co więdną,
I te ciche łzy skryte, co płyną,
I te pieśni wzgardzone, co giną.

W wigilię Bożego narodzenia pisać zaczynam do ciebie o tej, o której powiedziałaś: że gdziekol-

wiek Polak się obróci, za nim idzie. Oh! tak: idzie ona, czoło wdową obrzuciwszy szatą; zwrócisz się w prawo, ona przy tobie, w lewo, toż samo; zamknij oczy, ona pod powiekami przywartemi; otwierasz i czujesz, żeś pod jej wyciągniętem ramieniem; rzucasz się w piekło rozkoszy, ona zbolałe za tobą obraca oblicze; tarzasz w prochu przed Bogiem, ona na twoje usta przychodzi i każe milc[illegible] o własnych cierpieniach; chwytasz pióro do ręki, ona cię otacza kołem widziadeł, z których każde nosi jej piętno na sobie; w miłości każe ci szukać znanego w kraju typu: dla wyrażenia najtkliwszych uczuć mowę ojczystą ci zaleca; kwiat nie ma uroku, jeśli nie połączony ze wspomnieniem woni, jaką rozlewał w ogródku twojej matki; muzyka tylko ta pociąga twoją uwagę, w której się motywa zasłyszane w dzieciństwie przypominają; w więzieniu otacza głowę twoją i sny spokojne sprasza; śród obcych każe ci mówić o sobie; przyjaźń to jedno ramię więcej na jej usługi, miłość to serce jedno więcej do jej uwielbienia, nienawiść to ogień gniewu za krzywdę jej wyrządzoną, miłość rodzinna stapia się i ginie w jej miłości, miłość Boga bez współczucia dla jej nędzy podejrzaną; i któż jest ta ona, któż?.. Najnieszczęśliwsza z nieszczęśliwych, której całem bogactwem łzy twoje i twoich braci, ilu ich jest

przerzucanych losem, jak pyły piasku, które wschodnie roznoszą burze. Nie odłączysz się od niej przed grobem, nie oddzielisz i za grobem. Do imienia twojego przywiązana przez wieki wieszać się będzie na tobie, ozdabiać albo piętnować cień twój. Na jej łonie urodzony, nie odwracaj się, nie uciekaj, nawet kiedy oszalejesz, kiedy wszystkie zmysły twoje obłąkają się, nawet i wtedy jak błyskawice będą przychodzić chwile jej widzenia, i wtedy wyciągać będziesz ręce jak prorok, żeby długi monolog błaganiem wrogów o szlachetność, uderzeniem głowy o mur i śmiechem, śmiechem długim obłąkanych zakończyć.

O tej jednej, której imienia oby nikt nadaremnie nie wzywał, kart kilka pozostałych ze spalonego rękopisu spisywać zaczynam pod wieczór pogodny, ciepły, jak u nas bywa w kwietniu, kiedy wierzby pękają. Słońce świeci na odkrytem niebie tak dobroczynnie, jakby kusić chciało: zapomnij! zapomnij o chatach pod śniegiem, pod których drzwi mrozem pędzone ptactwo przychodzi szukać opieki przed wichrem i głodem, a z otwartemi wpada razem ze śniegiem, żeby konać u nóg miłosiernych istot, królami ziemi nazwanych, a może nieszczęśliwszych od najbiedniejszego ptaka, nad którym Opatrzność rozciągnęła opiekę, której dla celów swo-

ich,—któż je pojmie?—tym królom ziemi odmawia zapomnij o tej siostrze opartej o okno; wychuchała okienko, rozdarła gmatwaninę kwiatów, ręką mrozu narysowanych, przedarła się jak przez chwasty grobowe aż tam, gdzie jej miłość odbiegła, i znalazła... pustkę... O nie, nie; każda miłość prawdziwa znajduje nawet w grobie, nawet w świecie anioła, któremu imię nadzieja, powróci razem z powiewem wolności, powróci... Dzięki tobie, siostro, za twoje milczenie, za długie spojrzenia ciągnące w nieznajome sfery, dzięki tobie, tylko nie mów nikomu, bo to, co jest świętem w tobie, straci woń, urok, jeśli się zamieni na pogadankę wieczorną, na toast przy stole biesiadujących. Zostań ze swoją myślą, o piękna, i z nią spocznij na swojem biednem łóżeczku, a zamieni ci się na sen czarowny, na tę połowę czasu naszej egzystencyi, której przy końcu życia wszelka rzeczywistość imię przyjmuje, snem się także nazywając więccj tysiącem otwartych ran i przebytych bolów.

Ilość lat upłynęła od czasu, jak pożegnałeś te strony, dwa pokolenia przeszły od owych dni, zapomnij. Imię twoje wliczone do epoki, która przeminęła; bracia żyjący nie przyznają się do ciebie, odgradzają murem wyobrażeń, jakoby tobie nieznanych, na twoje rysy spoglądają jak na szkielety

przedpotopowych ptaków. Gdybyś powrócił, serca niegdyś twoich znajomych znalazłbyś zmienione, domku twojego nad Wisłą jużbyś nie odszukał, ani drzew, pod któremi ubiegło dzieciństwo twoje,— burza je obaliła; po latach czterdziestu wygnania, za to żeś się modlił, spiewając a przenosząc myślą do modrzewiowych kościołów polskich, opluje cię bankier tego kraju za wiarę w opiekę Matki Bożej, — młody zaś entuzyasta nicości wymierzy ci krwawy policzek ręką żelazną, w gnojach moskiewskich umazaną, a ty obetrzesz krew i gnój i wyciągniesz rękę do ojczyzny wołając: Matko, gdzieżeś? —

Zapomnij, — z gwiazdą pierwszą wieczorną współziomkowie twoi zasiędą do wspólnej wieczerzy, ale śród nich nie szukaj ani twojej matki, ani braci; pod całunem śniegu na mogiłach chwieją się obdarte z liści drzewa, — noc, — gwiazda tylko jedna zdaje się poruszać, jakby jedna miała serce, zresztą nikt ich nie zna, nikt nie wspomina.

Jeśli ja ciebie, Ojczyzno, zapomnę,
Niech mnie złe duchy zgniotą i ogarną;
A w chwili zgonu, w godzinie konania,
Noc wieczna niech mi jasności zasłania,

I niech twarz Boża dla mnie będzie czarną;
Niech mnie nie przyjmie grób, ziemia wyrzuci,
Niech mnie omija ptak, robak nie toczy,
Niechaj nad grobem nikt się nie zasmuci,
A najpodlejszy pluje w moje oczy.
Jeśli zapomnę męki mego ludu,
Jeśli zmarnuję łzy me i wygnanie,
Jeśli ucieknę od polskich łez, trudu,
Spraw mi to, Boże... Amen... niech się stanie...

Zapomnieć... na to słowo, na to jedno wszystkie się otwierają rany i każda krzyczy: Memento!... wszystkie radości i każda rzuca kamieniem wzgardy o niewdzięczność oskarżając... I oto przychodzi pod pióro nie arcydzieło sztuki — nic mniej nad to; przekleństwo na wszystkie arcydzieła, przychodzące na świat jak zalotnice, których celem życia oplątać się girlandą kwiatów serc ludzkich na to tylko, żeby je uśmiechem pychy obdarzyć i podeptać w biegu za drugimi; przekleństwo na pyszne duchy, którym sława zaślepiła oczy i odsunęła od ciszy wieszającej się na płotach chaty ubogiej i od wyrazu piękności na obliczu najmniej obdarzonego od Boga; przekleństwo na wszelkie imię i na wszelki czyn, do którego domięszało się słowo Ja... Z ręką do Boga

podniesioną powiadam ci, przyjaciółko moja: wolny jestem, co na jedno wynosi, jak nie ma mnie, są tylko głosy, które się przez usta moje wydobywają, głosy znane, domagające się dokończenia przez usta najbiedniejszego pieśni, której przed grobami nie dokończyły.

O, poemata polskie, w was tylko tyle jest poezyi, ile poematami nie jesteście! Serce, co was wydaje, niech nie zapomina, że jest w grobie Ojczyzny—

Serce to, choć mu ciężko i nieznośnie,
Jak gąbka we krwi umaczana rośnie.

Temu, co ci przynoszę, nie daję szumnego tytułu poezyi; jest to gamma jęków jednego kraju i czasu; czytaj je, — a jeśli serce twoje uderzy silniej, będzie to dowodem, że głosy, przychodzące na usta, nie przeszły przez rozbitą harfę.

Żadnego tu uroku formy poetycznej, akcent dni naszych niech będzie takim, jakim był, jękiem rzeczywistości, której cała poetyczność w tragiczności chwili.

CIENIE SYBERYJSKIE

Z OPOWIADANIA POWRACAJĄCEJ Z WYGNANIA.

Kto syberyjskie przemierzy pustynie,
Pozna, jak przestrzeń Europy małą,
Odległość wszelka dla takiego zginie
I wszystko będzie drobnem mu się zdało.
Wieczność takiego w dniu zgonu nie strwoży,
Nieokreślona, szara, jak step ciemny,
Wszystko mu jedno: blask czy mrok podziemny
I piekło... w piekle nie może być gorzéj.

O! Jenisieju, Jaiku i Oko...
Jakże tam w koło rozłożnie, szeroko,
Szkoda, że w górę wzlecieć wzrok nie może,
Bo chmury wiszą, co mu drogę grodzą;
Z carskiego carstwa w jasne carstwo Boże
Ciągnących więźni oczy nie przechodzą...

Jakiż to młody kraj i zawsze świeży,
Północna zima wszystko ścina w głazy;
Polak tu pewnie ojczyzny doleży,
Stąd wnuki przodków przyjdą brać obrazy...
Nie trupy czarne, a statuy białe.
Z pod wiecznych śniegów podniosą nakrycia,

I te im głosy przypomną przebrzmiałe
I wszystkie męki przeklętego życia.
Stąd, jak spoczęli pod całunem białym,
Na Sąd ostatni nie tylko że z ciałem
Lecz i z odzieżą kraj nieszczęsny ruszy,
I Bóg zobaczy numer każdej duszy.
Idziem... lecz jakaż przyjmie nas gościna?
Moskale dzikie wyciągają nuty,
Wilczymi wzroki gród mrugać poczyna,
Na rzeź prowadzą niedźwiedzie Jakuty.

Ktoś im powiedział o przyjeździe cara,
Że z tej Syberyę ma przelatać strony;
Więc stają, patrzą, skąd orlich łbów para,
Łapa, co w złoty świat zatapia szpony,
I berło błyśnie w kształt złotego knuta,
Oznaka władzy nad budą Jakuta.

Dalej i dalej na wspomnienia czasu
W myśli nie znajdzie — i myśl dźwiga pęta,
I nie pamięta rodzinnego lasu,
I nawet własnej matki nie pamięta;
Ale pamięta brudnej turmy gnoje
I sąd wojenny okrutnych żołdaków,
Bramę do wyjścia otwartą na dwoje,
Trupy wiszące u szubienic haków

I jęk ostatni za Polską Polaków,
I ten chód równy idących szeregów,
Pomiędzy które rząd nasadzał szpiegów.

Na brzęk łudzący moskiewskiego złota
Znajdzie się zawsze taki patryota,
Który odgrywa rolę męczennika
I po ostrogach zawiązuje spiski
I klnie najgłośniej i najgłośniej syka,
Na krwi niewinnej braci licząc zyski.
I on to sprawia, że pod koniec szałów
Albo się waga podwyższa łańcuchów,
Albo rozlegnie kilkanaście strzałów,
I tak się dusi spisek wolno-duchów.

Oh! oh! ziomkowie, niewola stuletnia
Choć nie zabija, to nie uszlachetnia.
Za co nas pędzą? alboż wiemy za co...
Za to że ludzi jak ci nasi tracą,
Że w Petersburgu i w pruskim Berlinie
Raz napisano: niech ta krew wypłynie.

Więc mój powiada, nie patrz smutnem licem,
Polska z ostatnim nie zginie szlachcicem,
Ani ze zgonem ostatniej szlachcianki;
Znam ja w tej Polsce takie ciemne knieje,

Których się głębią pieśń i strumień leje,
Znam ja w tej Polsce chrościanki, lepianki,
Ptaki i niebo... ach! znam i nadzieję...

Skończył, pogląda, prostuje się, staje,
Słucha jak bracia bolom się poddaje,
Jękiem niemocy napełniając głuszę;
Milczy i całą zbiera w sobie duszę,
Rozdartą bolem, i błyskać jej każe
Nad te ponure sybirskie cmentarze.
I duch leniwy i bliski upadku
Nabiera siły, dalej w drogę, dalej!...
Takim urokiem dla morskiego statku
Na Edystonie latarnia się pali...

Lecz cóż to znowu, telega upada,
Kajdanna staje wśród stepów gromada,
Podnieśli... dalej w oczy sypią śniegi,
Oficer, który nad konwojem czuwa
Pijaną głowę wychyla z telegi,
Spogląda wzrokiem obłąkanym... spluwa.
Gród wciąż widniejszy nad obszar olbrzymi
Ślepiami błyska i pod łunę dymi.
Wjeżdżamy jakby do jamy bezdennej,
Nawoływania, hałas, gdzie się zwrócę,

Całej tej zgrai moskiewskiej wojennej;
Sortują, łają, wpuszczają po sztuce.

Co to wspominać... Chcecież słuchać dalej
Mych towarzyszy losu pogadanek?
Ten, gdy powróci, drugie miasto spali,
Ten zdusi ojca, matki swej kochanek;
Ten Czerkies blady, straszna dusza dzika,
Co odpowiada wściekle zębów zgrzyty,
W kopalniach rudą zabije strażnika
I pod knutami padnie sam zabity.

Jak pelikany, gdy na Wołgi brzegach
Siedzą w złamanych w pół-koła szeregach.
I pokrwawione torby podgarlane
Chylą nad bystro falujące wody,
Tak my, znużeni długimi pochody,
Siedzim oparci o sądową ścianę.
Głowy do ziemi zaśnieżonej ciężą,
Gardła wydęte od wiecznego łkania
Coś straszliwego po wygnańsku rzężą,
Składając polską muzykę wygnania.

Oczekiwanie... znacież wy to słowo,
Oczekiwanie carskiego wyroku....
Na miecz, co spaść ma wiszący nad głową.

Serce to rwie się, to wstrzymuje w boku....
Głód, chłód i nędza... skąd to przywiązanie
Do życia ślepe, skąd te niepokoje?
To bije serce, to chwilę przystanie,
Łez nie ma, łez się powstrzymują zdroje,
Tylko na czoło coraz wilgoć wstawa,
A umysł chwyta straszliwa obawa.
Od trzech dni w ustach ani kropli wody,
Ani okrucha chleba, siły mdleją,
A jednak głody te straszne i chłody
Przed żegnającą nas nikną nadzieją.

Do góry lecą gorączkowe wzroki,
Lecą przebijać sufit nie wysoki
I opadają na doli wspólników,
Na zapatrzonych w siebie rozbójników,
Których się dusze bynajmniej nie trwożą
I ani myślą, gdzie ich porozwożą.

Dzień trzeci szare rozwarł wzroki swoje
Po tej ciemnicy czarnego ostroga,
Na sąd wołają Polaków nas dwoje,
Wlecze się, słania nieposłuszna noga.

Badają z twarzą zimną, niewzruszoną,
Skąd nas w kajdanach przytaszczyły straże

A tu kraj wraca z tą łąką zieloną,
A tu na myśli ojca, matki twarze,
Jeziora, sady, dziecinna kołyska,
Dym rodzinnego snuje się ogniska;
Wszystko wydarte i wróg ciebie bada;
Nie... darmo, słowo z gardła nie wypada,
W krtani zaparło się, zamknęło dechy,
Nie możesz wyrzec miana swojej strzechy.

I któż to wszystko wydać się ośmieli,
I komu serca na tę powieść stanie?..
Troje szło naszych, tu ich wróg rozdzieli,
Niczem pogrzeby jak to pożegnanie.
Ojciec stąd pójdzie w aresztanckie roty,
Syn do kopalni na ciężkie roboty,
Córkę popędzą w step na osiedlenie...
Oh! straszne to te sybiryjskie cienie,
Tą linią stepów rozciągniętą, mroczną,
Aż do kopalni, gdzie w jamach odpoczną.

Albo rozpoczną katorżne roboty
Aż do skonania, przy którem nie dzwony,
Ale bić będą, jak wciąż biją, młoty,
I od latarni świecić loch czerwonej,
A miasto modłów ostatnich usłyszy:
Ryk katowanych w minach towarzyszy.

Ach! ach! pożałuj... dalekie już słyszę,
Rwą biedne ciało okrutni morderce,
A głos zapada w obojętną ciszę,
Wciska się w ziemi tej przeklęte serce.
Ach! ach! pożałuj... nie, niema litości,
Aż się zaświecą z pod skóry te kości,
I krwi ostatnia kropla z nich wyciecze,
Aż do tej chwili rudnik pałacz siecze.
Nam, o miłości monarchy tych cieni!
Tylko mil tysiąc drogi przeznaczono,
I razem pójdziem i nierozdzieleni,
Kiedy tych troje w ciemnościach utoną.

Nie zrozumieli wyroku osnowy,
Więc i zdziwienia znaku nie okażą,
Nakrycia zdjęli, gdy kazano, z głowy,
Stojąc wpatrzeni niemą. bladą twarzą;
Skończono czytać, ten w tę, ten w tę stronę,
Ostatni uścisk, ojcze!... zabronione.
Długo za nimi wzrok mój obrócony
Ciągnął, nieznaną uwiązany siłą,
Pokąd ich całun szary, wyciągniony,
Nielitościwe niebo nie przykryło.
Dusze się nasze znać spojrzeniem długiem
Wiązały ślubem, niby srebrną stułą,

Że odtąd jedno będzie się za drugiem
Zwracać źrenicą zwilgoconą, czułą,
I szeptać pacierz, jako za pogrzebem
Idący orszak rad pobożnie czyni.
Czułe są serca pod nieczułem niebem,
I myśl nie pusta śród strasznej pustyni.

O, towarzyszko drogi mej ochotna,
Rozwesel oko pogodą wiośnianą,
Zapada w cienie przeszłość niepowrotna,
Lecz ci nie znikną, lecz ci pozostaną.
Jest jeden, co te jednostki jednoczy,
Te, których oczy łzą palącą moczy,
I sprawia, że są słońcem, — świata środkiem
To mówił z wzrokiem zapatrzonym, słodkim,
Gdy psy sybirskie i klątwy złodziei
Raz te, raz owe wyły po kolei,
I świst czerkieskich harapów, zmięszany
Ze świstem wichru, trząsł nasze łachmany,
A śnieg pod sanic ciągnących okuciem
Brzęczał żałośnie jakby ludzkiem czuciem.
W drodze tej naszej, w ponurej przestrzeni
Moskale sami na dalekim brzegu
Pokazywali krzyż w zadymce śniegu,
Pod którym w promień ziemia się czerwieni...

W miejscu, gdzie stoi owy znak męczeński,
Chociaż dzień cały i całą noc wieje,
Gdzie był zasieczon święty Sierocieński,
Gdy na krew jego pada śnieg, topnieje.
Więc chłop wstrzymuje tam renów uprzęże.
Które po lasach mchem podśnieżnym żywi,
I błaga cicho: święty Polski księże!
Taż i my ludzie i my nieszczęśliwi...
Czapka do piersi, wielki strach i skrucha,
I wzgórzem sterczy pod śniegu tumanem,
A potem wraca, gdy go wichr przedmucha
Do chaty z krasnym od krwi sarafanem.
Zamknięty w sobie olbrzym dziwy, skryty,
Lud ten ma duszę, więc to jeden może
Z tych, co widzieli jak był na śmierć bity,
I postawili krzyż mu na przestworze,
A że Bóg cudów jak dawniej nie czyni,
Za gorzkie słowo i któż ich obwini?...
Takich widoków pamięć nie zanika,
Przy nich się dusza odnawia i zbroi,
Krzyż ten polskiego w stepach męczennika
W myśli wygnańca utwierdzony stoi
I sprawia, że się z ręką ściska ręka;
Lecz są widoki, co po latach jeszcze,
Na myśl, gdy lecą, zimne niosą dreszcze,
I już swobodny jeszcze się ich lęka.

Noc jedną w turmie opowiem wam całą.
Pamiętam brudny, cuchnący kaganek,
Pamiętam dziecko, co wpośród nas stało
Krzycząc, czy Pan Bóg prędko da poranek...
Po kątach w koło spiących ludzi stosy,
Poruszające się ich ciała grzeszne.
I ta dziecina płacząca w niebiosy:
Czemu poranne świtanie nie spieszne.

Mgłę, dym czy parę i śniegów wilgocie,
Męża na brudnym barłogu, czy błocie,
Ściany ruchome od brzydkich owadów,
Wierzchem zgnilizny i krwi ludzkiej śladów.

Nie świat jest brzydki, lecz złość i zepsucie,
Nie patrzeć na te odgrodzenia kraty:
Tu wszelkie ludzkie stracone uczucie,
Tu wstyd rozdziera swe na piersiach szaty
I krzyczy biada! — wzrok zbrodniarki dziki
Żeni się z zbójców chrypliwymi ryki;
Z za krat ku sobie we zwierzęcej chuci
Turba ta zda się zwinie się i rzuci
I zbrodnie zwiąże z hańbą i bezwstydy.
Szczęściem, że kraty, jak żelazne dzidy,
Dzielą paskudną menażeryę wściekłą,
Za to ryk, śmiechy, giesta... wrzaski... piekło.

Gdym zasłaniała twarz dłońmi obiema,
Dzisiejszy zmarły mój rzekł, kaszląc sucho:
Na ciebie, luba, wszak wyroku niema,
Napełnij serce więc dobrą otuchą,
Że wrócisz jeszcze w rodzinne ustronie,
Musisz, gdy moja ukończy się droga,
Nie by spoczywać na rodziny łonie,
Lecz że kraj zbrodni ogarnia pożoga,
Że się złodziejstwo wwija i ohyda,
I że nam bujne rośliny chce zgłuszyć...
Tak, mnie zostawisz, sama musisz ruszyć,
Przy mnie łza twoja na cóż im się przyda?
Tam gdy zobaczą twe lice wybladłe,
Które przecina łez obfitych bruzda,
Wstrzyma się podłość, choć jak się rozuzda,
I łza podniesie słabe i upadłe.

Gdy skończył, płacz mnie porwał niewstrzymany
I takie łkanie i męcząca czkawka,
Że zbrodniarz rękę wyciągnął z kajdany
I ławkę podał... ach! ta brudna ławka;
I galernika wzrok wracają sennéj,
I moje słowa jak modlitwę wtórzę:
Pójdę za tobą przez wicher jesienny,
Przez wiosny ciszę i grudniowe burze,
Pójdę za tobą przez krwawe koleje,

Pójdę za tobą przez życie tułacze,
Pójdę za tobą przez jasne nadzieje,
Pójdę za tobą przez czarne rozpacze,
Pójdę za tobą przez skonania bramy,
Pójdę za tobą przez nieba słoneczność,
Pójdę za tobą oczyszczenia mgłami,
Przez piekło życia i piekielną wieczność,
Jeśli nas wyższa wola nie powoła,
Zgonem w czyściejsze niż dzisiejsze koła.
I widzę czoła skazańców zwrócone
Jak trzody, kiedy pastuch na psa śwista.
Och! ty miłości i wiaro ojczysta,
O życie nasze, o nasze łzy słone,
Wam czasem wtórzą harf niebieskich brzęki,
Łańcuch, co więźniom wciąż brzęczy u ręki,
Wzniesionej w górę dla otarcia powiek, —
W najgorszej piersi do końca jest człowiek.
Ci rozbójnicy zbrodnią pokalani
Przez chwilę twarzą patrzeli w nas trwożną,
I żadnem słowem, ni myślą bezbożną,
Ni żadnym giestem, co uczucie rani,
Nie powiększyli boleści ogromu...
Żaden – powtarzam — z tego zbrodni domu.
A jeden nawet coś szeptał na ucho
Drugiemu zbójcy i źrenicę suchą
Napełnił naraz niby wodą łzawą,

Przymknięta bowiem stała się i drżąca
Od ognia duszy, od serca gorąca...
I ten mi rękę jak na skrzydło ptasze
Na ramię złożył z rozważną obawą,
Czy jak ptak tej się ręki nie postraszę:
„Nie bój ty nas się, wam rozdzielać dary*),
A tych się bójcie, co w Boga nie wierzą,
Ja miasto spalił, to ja zbrodniarz stary,
Ale ci wasi gorsi, co tam leżą,
Których nie ręce groźne a paszczęki,
Zabić by można a wszystko żal ręki“...
I wskazał w kącie dwie paskudne żmije,
Których się żądło w mej pamięci wije
Aż do tej chwili, przez tyle łez grobów,
I nigdy z myśli nie stracę tych gadów.
Ach ileż podłych upadku przykładów,
Ile straconych z przeszłości zasobów,
Lecz jednej części to różaniec długi;
Są inni cichej, nietkniętej zasługi,
Więc niechaj usta zgrają ta nie plami.
O! ziemio chałup ubogich pod mgłami...
Pamiętam wrzaski pod dzień, gdy kur pieje,

*) Małżonek opowiadającej był wybranym przez gromadę więźniów do rozdzielania pomiędzy nimi otrzymywanej po drodze jałmużny.

Strażnika więzień wchodzącego z knutem,
I wicher mroźny, który za nim wieje,
Wpada, z powietrzem mięsza zię zatrutem.
Śród ryku, wycia i brzęku łańcuchów,
Śmiechów bezczelnych i bezczelnych ruchów
Drzwi otworzono, ciemno w niebios stronie,
Buryatów stoją posiodłane konie,
We skórach foka, potwory jak foki,
Sztywne, wciąż zieją parę pod obłoki,
I nas tam dwoje w zbrodniarzy szeregu,
Ręce na piersiach, nogi wryte w śniegu.

Więc chociaż wszelkie zapominasz dumy
Ojczyste, sławne, trudno myśleć o tem...
Burzliwe lasów sybiryjskich szumy,
Dęby, co w wichrach łamią się z łomotem,
Wzroki moskiewskie dziwnie pomięszane,
Ich miłosierdzie dla nieszczęsnych znane,
Mieszkańców ludzkie w niedoli współczucie,
Zdają się wołać... w stepach zmartwychwstanę!...
Ja, Polska wasza, w stepach zmartwychwstanę!...

I w drzew po nocy poruszanych nucie
Słyszysz jak gdyby chór, co odpowiada
Słowem: powstanie, — słowu z Polski: biada!
Gałęź na gałęź jak w pacierz się składa;
Wiechy olbrzymie czarnych drzew się korzą,

Wicher rozpędza odstępców bezwstydy;
Jodły, wyrosłe na świątynię Bożą,
Nie pogrzebowe pieją panihidy.
Na dziwne jakieś głosy w stepu cieniach
Łańcuch nie krwawi i rany nie bolą;
Jeśliż to Anioł brząka po sumieniach:
Stań się na ziemi wiekuista wolo?
I wraz się dziwna atmosfera tworzy,
Ruch świateł sfery przebiega nad głowy,
Płaszcz rozpostarty jak świat purpurowy
Z tej się kształtuje borealnej zorzy.
W głębiach by włosy złote cherubina
I ramion tęcza obniża się błoga,
Gdy konająca na wozach dziecina
Woła: Do Polski, zimno tu u Boga...
I niewzruszony wzrok na światłach trzyma;
Już przemienione w zmarzły, biały słupek;
Więc zapatrzona krwawemi oczyma
Matka zawodzi: Boże, spojrz, mój trupek,
Za co mnie, za co dotykasz swą karą?
Gdzie ta duszeńka jest, gdzie leci ona?
Światła znikają, znów jak wprzódy szaro...
Tylko Moskiewka z chaty pochylona,
Wychudłą rękę niosąc nad jej głową,
Czarnego chleba dzieli się połową,
Dla Chrysta Spasa. — Tak ten Nazareński

I na tych puszczach złote ziarna sieje...
O, mój ty biedny narodzie, męczeński,
Nawet wróg w tobie utwierdza nadzieję...
Ostatnie dęby starej Europy
Pozostawały za Uralem w cieniach,
We śniegu wilcze i niedźwiedzie tropy,
Wreszcie zniknęły ślady po jeleniach,
Wrona do Polski lecąca rozdarła
Krakaniem gardło żałośnem nad miarę,
Potem się szara kraina rozwarła,
Kraina śmierci — szare wszystko — szare.
Barwa zwątpienia gdy duszę przygniata
Myślą o pustce niezmiernej wszechświata,
I o sieroctwie tej całej natury,
I o nicości, nadziei pogrzebie,
Chmury ciążące i pół-mrok ponury
Zdały się wrzeszczeć, że Bóg umarł w niebie,
I nie zostało u istnienia kresów
Jak kilka sierot i horda Czerkiesów,
Pędzona w przepaść gromada zbrodniarzy,
I to żelazo, które ogniem parzy.
Pękają lody oddalonej rzeki,
Konwój się wlecze, znużone i straże;
„Boże, coś Polskę przez tak długie wieki“
Nad te sybirskie spiewa ktoś cmentarze...

*

— Gdzie oni idą? daleka ich droga?
— Zdobywać idą miłosierdzie Boga,
Zasłoniętego chmurami jak ołów,
Który im w drodze strasznych świateł błyski
I chłodnej śmierci posyła uściski,
I zimne, jasne twarze swych aniołów,
Siły próbując, czy ich nędza znęka,
I jakim ogniem te się serca palą?
Gnie i prostuje, a stal zawsze stalą,
Do równej linii wraca i nie pęka.

CZĘŚĆ DRUGA.

ALBUM WŁOSKIE i WIERSZE PRZYGODNE.

RAFAEL.

I.

Nie przydarzyż się nikomu
Wiedzieć o tem we śnie, że śni?
Że jest w domu i nie w domu,
Że to błędnych widm robota?
Wyobraźnia, prządka złota,
Snuje takie sny i pieśni,
Z zakrytego świata cieni
Noc prześnioną wiąże w słowa.

Lećże, liściu mej jesieni,
Nuto moja przedgrobowa!

Coraz jaśniej, ludniej, pełniéj,
Na skraju się morze wełni,
Aż, o dziwo, od gór ściany
Jak nie buchną mgły, tumany;
Dziwo! dziwo! co się stało?
Słońce w mgłę się rozsypało,

Drzy srebrzyście, pyłkiem leci,
Toć już chyba oczy zgasną.
Mruż — czy nie mruż, wciąż za jasno,
Siedźże, rybo, w takiej sieci.

Otóż Włochy; a po chwili
Boży światek się wychyli,
I wesołe ludzkie słowa
Skądści słyszę... od tej łodzi,
Co do portu biała wchodzi;
Hej nam! hej nam łódź Piotrowa!

Na przestrzeni do Urbino
Różowawe wzgórza płyną,
Zapadając w świat łagodnie
Na dalekie strony wschodnie;
Tu i ówdzie drzewko strzela,
Jak na płótnach Rafaela.

Kraj się cudnie rozpościera,
Okazale i domowo;
U książęcia de Rovera
Jakoś świeżo, jakoś nowo.
Jakie grody, jakie wody,
Jakie chłody, jakie schody!
To choć wciąż zadzieraj głowę;
U nas wszystko nie takowe.

Coś jak z bajki, coś jak z książki:
Wieże, bramy, Włochy istne,
A pałace, a posążki,
A laury ciemnolistne,
A kościoły, a marmury!
Jednakowoż, — Bóg mi świadkiem,
Kopnąłbym się na Mazury
Z moich siwych lat ostatkiem.

Więcże dalej lirę starą,
Co ją wszędzie z sobą noszę,
Opatrywać, grać potrosze;
Choć tu ludziom grywa gładziéj
Ów, co kozy z gór prowadzi,
Podkasany piferaro.

Nad schodami do kasteli
Wciąż otwarte wszerz podwoje;
Z poza kolumn śnieżnej bieli
Pobłyskują pańskie zbroje.

Od Marino czy Ankony
Wraca z pola dworskie panię,
Jak laleczka, malowanie,
Zbroja srebrna, konik wrony,
Sokolniczy ze sokołem.
Skąd ja się tu, człeku, wziąłem?...

Ano, idźmy, gdyśmy przyszli.
Dzieciątuszko mnie prowadzi;
Ależ skacze, ależ sadzi!
A tu coraz ślicznej, gładziej,
Jakbyś wchodził do kościoła.
„Tu, tu Sanzio!“ chłopyś woła;
Co on sobie też pomyśli?...

Rafał chylił się nad płótno,
Które pędzlem dotknie z chwilką;
Taki piękny, że patrz tylko,
Taki dobry, że aż smutno...
Przepasana w pas sukienka;
Nie dotykaj! jak panienka:
I rączka też jak dziewczęcia,
I wszystko jak na obrazie.

Pazik; lecz jakiego księcia?
Matce Boskiej takie pazie
Służą, trzęsą białą lilią,
Z nut śpiewają nad Cecylią.

Dzieciak!... wielki mąż współczesny:
„Wielki dzieciak!“ prawi o nim;
Prawda, lecz przed takim we sny,
Alboż ślicznie się pokłonim...

Kiedym wchodził, głos z przedsionka,
Jak coś — nie wiem... jakby dzwonka,
„Ryta! Ryta!“ — jak śpiewanie
Podawała ściana ścianie.

Któż ta Ryta? po naszemu
Wołaliby „Małgorzata“...
Otóż ona patrzy k'niemu
Na siedzeniu, a siedzenie
Złoto, srebro i kamienie.
A cóż mówić jaka szata?
Perski zawój jak sułtanka,
Bramowane długie stroje.
Przy niej ślicznych dziatek dwoje
Pochyla się nad kolanka.

Gdym przystanął, dał znak ręką;
I z siedzenia się podniosła.
Gdzie to taka róża rosła?
Gdzie on znalazł bożowdzięką?
Czarujące jej spojrzenie,
A wymowne jej milczenie.

Pochyliła się tak skromnie,
Taki dziwny wdzięk niewieści,
Że, gdyby mniej lat trzydzieści,

To jużby tu było po mnie, —
I na lśniące zeszła głazy,
Za kolumny, za obrazy.
Tylko szata bramowana
Powinęła się złociście
W białe, w modre, w krasne liście.
To ci mulier! to Romana!

Wzrok zwróciłem w mistrza stronę,
Już nie patrząc na dzieciny,
Które ciche, przyuczone,
Jak te dwa u stóp sykstyny,
Wpatrzyły się w Rafaela;
Gdy on do mnie: „To modela.“

A ja myślę: cóż ją czeka,
Dobre to stworzenie, szczere?
Tam na starem Trastevere
Matka do dnia chleb wypieka,
Siostra wkłada w kosz bochenki,
I spokojnie dnie im płyną.
Lepiej było u studzienki
Płukać chusty, Fornaryno,
Niż pod cennych szat ozdobą
Być i sobą i nie sobą...

Zakochana w ślicznym cieniu,
W wdzięku, w blasku i w imieniu,
Pod tych włosów bujnych splotem
Gdy się w spojrzeń gubi niebie,
Gdy utonie w ócz błękity,
To odejdzie tak od siebie,
Że poszukaj biednej Ryty,
Czy ją jeszcze znajdziesz potem...
Gwiazda tylko z nad otchłani
I te oczy i blask na niéj.

Ano, jedna taka chwila,
Taki czas boskiego tanka,
Pędzą w dal, co krok to mila;
A wciąż szczęsna, wciąż kochanka,
Toż ci przecie warta wiele,
A wspomnienia wiek osłodzą.
Nie codzień się tacy rodzą,
Jak Rafael, Rafaele.

Każdy swą wybiera drogę,
Choćbym jak chciał, nie pomogę.
To i u nas tak też bywa:
Szczęsna rybka w Narwi pływa,
Aż ci na nią bieda zleci
Od szczupaka albo sieci.

Jaskółeczka kółka toczy,
Cisza, zachód, złota łuna,
Aż jej nocą zajrzy w oczy
Czy łasica, czy też kuna.

Gdy tak myślę... „Ti saluto“,
Zadzwoniło mistrza słowo,
Jakby słowik ptasią nutą
Nucił u nas w noc majową.
„Służyłeś mi rok niespełna,
Zaszedłszy tu do Urbina:
Twarz mi się ta przypomina
I kożuszka twego wełna.
A czy śpiewasz wciąż kolędę,
Jak śpiewałeś nam u żłobka?
Śpiewaj, śpiewaj! słuchać będę,
Miła sercu twoja szopka.“

A ja: „Mistrzu, wzrok cię myli,
Mnie milczenia nauczyli...
Smutna cisza idzie ze mną“...
— „Skądżeś, z którejś przyszedł strony?
Gdzieś, pod jakiem urodzony
Niebem?“ — „Ja? pod gwiazdą ciemną.“

„A na cóż ta lira służy?
Czy na sprzedaż niesiesz może?“

„A zachowaj, Panie Boże!
Towarzyszka mej podróży.
To nie lira, jeno ptaszka,
Jaskółeczka z pod poddaszka,
Skowroneczek z pode głazka,
A żywi się tem, co łaska.
Nie uważaj, choć tak mała,
Bywa ona i zuchwała.

Co zaświeci w mojej głowie,
Co się w sercu wykołysze,
Nie piśmienny, nie wypiszę,
A lirenka precz wypowie.“

A że Włochy piosnek chciwe,
Zatem głową skinął lekko,
A oczy mu jeno żywe
Zabiegały pod powieką.

Hej, Mazury, jakże utnę
W te poranne nasze dzwonki,
I w słowiki i skowronki,
I w te rzeskie i w te smutne!
Wyśpiewała — jak potrzeba —
Moja srebrna, wyzłacana;
Jeno cisza na tej z nieba,

Na tej strunie: d a n a d a n a
Danaż moja p o s t r a d a n a.
I na drugiej przebolesnej,
Na zapóźnej i zawczesnej.

Aż on rękę mnie na ramię
Złożył jedną, potem drugą:
„Nie, już taki głos nie kłamie!“...
I twarz w twarz mi patrząc długo:
— „Ciężkie — rzecze — niesiesz brzemię.
Świadczą oczy twe wilgotne,
Ścigasz widma niepowrotne.
A co kochasz? powiedz!“
— „Ziemię.“
„A na szatę jej godową
Cóż przynosisz?“
— „Dobre słowo.“
„Mało.“
„Ano, waszym wzorem
Mało, a pierś bolem pęka;
Głazem, słowem i kolorem
Czasem mówi straszna męka.“
— „Prawda, — ale cóż cię zmusza
Gonić wiatry po przestrzeni?“
— „Ano, jużci nie kamieni,
Jeno duszy szuka dusza.“

I jak prosty kmieć, ukosem
Wyjrzę, aż ów na obrazku
Onym pędzlem złotowłosym,
Coś jak u nas, jak na piasku,
Sieroteńkę, Bożą nędzę,
Upowija w złotą przędzę.

Przyciszyłem się jak ptasze;
Chaty, łaty, a toż nasze,
Okolica mnie znajoma;
A pod ręką w mej lirence
Słyszę moje łzy dziecięce.
„Toć Mazowsze?“ „Nie, to Roma.
Chcesz?...“ „A któżby nie chciał doma?“
„Na Rzym żądnyś?“ — a w tej chwili,
Za nim słońce twarz wychyli
I promienie świat pobielą.
„Przewodnikiem?“
„Rafaello.
Na grobowce wielkich wodzy,
Gdzie siadają dniem ubodzy,
I gdzie słówko brzmi przytomne...“
„Nie zapomnisz?“ — „Nie zapomnę...“

„Ryta!“ — „Jestem.“ — „Podaj fiasko!“
I ot wchodzi już przebrana,

W ręku flaszka oplatana,
A wrzecionko za opaską,
Włosy spięte złotą szpilą;
Toż ta sama, co przed chwilą?
Nóżki w łapciach z skóry koziéj;
Nie patrz na nią, bo pogrozi.

Miesiąc świeci tak też pono,
Jak i u nas po nad sady,
Wytaczając twarz czerwoną,
Że aż lirnik spytać rady,
Nim się cały skryje w chmurach:
Co też słychać na Mazurach?

„Lej, dzieweczko, pełne szklanki,
A nie żałuj kropli wina!
Zdrowie matki, zdrowie syna
I kochanki mej Rzymianki!“

Odpłaciłaż mu uśmiechem,
Aż mnie zazdrość w piersi tknęła,
Ale zazdrość brzydkim grzechem:
Niechże idzie, skąd się wzięła. —
Co czas stawia, czas rozmiecie.
Mój Rafael coś przepowie:
„Miłość wieczna! pijmy zdrowie
Kochających serc na świecie!

Prowadź, wskaż mu wyjścia schody!“
„Służę“ — słyszę głosik kwiatka,
I jak nasza Małgorzatka,
Powiodła mnie do gospody,
I dobranoc, „buona notte“
Rzekła takim głosem znanym,
Że góralską mi prostotę
Przypomniała w Zakopanem...

II.

Sen — to dziennych spraw odbicie,
Sen — to, bracia, drugie życie.
Całą noc się śniły mary,
Sny, widzenia nie do wiary, —
Nie uwierzą, choć opowię.
Otóż gody moje, gody!
Całe głowy mej węzgłowie
Jak gdyby je wyżął z wody.
Jakie szczęście, że te mary
Zwiały miejskich wież zegary
I rybaków głos z za rzeki
I w ulicach ten szmer lekki...
Świta, świta, bije piąta;
Spieszę: ogród, wody struga,

Na przedsionku już się krząta
Sama pani, sama sługa,
Zakasana w pas sukienka,
Dzbanek w ręku, chleby w pole,
W sień zatacza beczek denka,
Snać przybory na sedźiolę;
To ustawia, to okrywa,
A tak lekka, tak wesoła,
Zda się ptaszek toczy koła,
I nie chodzi, ale pływa.
A to przecie skarb dziewczyna,
Taka jedna Fornaryna.

I znajome dwa dzieciątka
Już też lecą od swych matek,
Jako ptaszki z białych klatek;
Jeszcze po nich ciepła grządka.
Mistrz nie szczędzi im na chlebie,
Więc się głodne ptactwo grzebie.
„Witaj, witaj!“ krzyczą z dali,
Jakbyśmy się dawno znali.

Włochy mają wspólne z Francyą,
Że odrazu cię ośmielą.
„Już gotowy Messer Sanzio.“
„A modela?“ „I z modelą.“

Ktoś mi — nie wiem — odparł z boku:
„Któż jak oni żyje ściślej?
Ona jemu okiem w oku,
Ona jemu myślą w myśli“;
Przeto z jakąś jej pochwałą
Wybieram się acz nie w porę,
A ta machnie rączką małą,
Jakby chciała rzec: nie biorę.

„Co tam — prawi — moje wdzięki;
Kiedy siędzie za sztalużki,
Raz mu trzeba mojej ręki,
To drugi raz mojej nóżki.
Święta Panno! jakie liczko!
I to niby ja?... nie wierzę;
Ja podobna dziardinierze?
Ja tą złotą ogrodniczką?
Ej! bo co też świat nie bluźni;
Różne sądy, różne zdania,
Jak to ludzie dla gadania,
Co pochwalą, zganią później!

Gdy malował, to ja drżała,
A dusza się we mnie śmiała;
I zrobiła się jutrzenka,
I twarz Janka i Bambina,
I zrobiła się dolina,

I zrobiła się panienka.
Więc ja, wziąwszy te dzieciny,
Tańcowałam dwie godziny.

On co zechce, to uczyni;
Zrobi tak?... i są ogrody,
Zrobi tak?... i na pustyni
Patryarchy wiodą trzody.
Tyle czasu, co mej mowy:
Są Ateny, jest Rzym nowy,
Jordan, Tybru złote łoże..."
„A kiedy on wszystko może,
Powiedzże, jak czas mu zbiega?"
— „Jak i słońcu: przez dzień biały
Przepatruje świat ten cały,
U początku i u brzega.
Rankiem zajrzę do komnaty,
Kreśli koła i kwadraty,
A co piórkiem swem namaże,
Jak jabłuszka złote twarze.

Po pracowniach potem lata
Z końca świata w koniec świata,
Ach! czekanież to czekanie!
A gdy wreszcie w progu stanie,
Nieraz to się z nim i zadrę.

Wciąż z książęty, wciąż na dworze!
Kochają cię, jak ja, może
Kardynały, Santo Padre?

A ktoż ciebie pożałuje?
Raz ci musi być inaczej!
Potem złapię, wycałuję“...
— „A on cóż?“ — „A cóż? przebaczy,
Po czole mnie rączką muśnie,
Pośmieje się, potem uśnie,
A ja patrzę jak na synka,
Mąż i anioł i dziecinka“...

Więc pokusa, ot myśl grzeszna,
Jak jaskółka lecąc spieszna,
Że aż sam się sobie dziwię,
Obraca mnie do modelki,
Sprzeciwić się grzech nie wielki.
Nie sprzeciwię się... sprzeciwię!
— „A Bibiana?“
Wstrzęsła głową
I zrobiła taką minę,
Żem się znalazł przed królową,
A zapomniał Fornarynę.
— „Kochasz bardzo?“
— „Ja!“ — zawoła —

I podniosła dłoń do czoła
I stanęła w ogniach cała,
Jak gdyby się krwią oblała.
Ano, taka ich przyroda,
Duch porywczy, krew nie woda;
Jak wyleci — to za światy,
Kędy bywał Paweł święty,
A nurkuje jak wąż kręty:
Chytre są i pasyonaty.
Nie dowierzaj tedy zbytnie,
Bo zadraśniesz, to cię wytnie.

Jak gdy wichry silnie trącą,
Zniża się powieka mglana,
I w pół z dumą i w pół drwiąco
Rzecze słówko: „Cóż Bibiana?“
I wesoła wraz i pewna
Pogrozi mi ślicznym giestem:
— „Nie książęca żadna krewna,
Panią serca ja tu jestem!“

Toż patrzący na tę młodą,
Promieniącą w swym rozkwicie,
Zawołałem: O! to życie, —
I oczy mi zaszły wodą,
I oparty na kosturze

Zadumałem się dziad stary:
Piłżem kiedy z takiej czary,
Wędrujący wciąż pod burzę?

I wraz słyszę szczęsne krzyki...
Co się stało? ot, dwa kwiatki
Rafał dla swej Małgorzatki,
Różę przyniósł i gwoździki.
— „Patrz, jak cudna róża srebrna
Od samego od książęcia.“
Na cóż srebrna jej potrzebna?
Dość gwoździka dla dziewczęcia.
— „Milszy mi twój kwiatek wonny,“
Odpowiada Ryta skromnie,
„Róża będzie dla Madonny,
I odemnie i od ciebie.
Niech Madonna o mnie w niebie,
A na ziemi ty myśl o mnie.“

I zbiegają wraz ze schodków,
Na koń, na koń! co wesela!
Mój Rafael i modela.
I lecących tentent podków
Rozbił się przy miejskiej bramie,
Gdy nasz orszak ruszył szparki,
Gdzie się w lewo droga łamie,

Za kolumny, wieże, arki. —
Sen łudzący! aż drzę we śnie,
Bym nie zbudził się zawcześnie.

III.

Z nad szerokich włoskich łanów
Wzrok wybiega na dwa morza.
Kraj szeroki; mniej tu zboża
Niż narcyzów, tulipanów,
A szum wody ustawiczny;
Dziwnie smutny kraj a śliczny,
Napodziwiać się nie mogę.
Aż mi drabik przeszedł drogę
Jeden, drugi i dziesiąty,
A ich zbroje, odziewajki
Złote, srebrne, jakby z bajki.
Gdzie my zaszli, w jakie kąty?...

Jakie igry, jakie krzyki!
Same, widzę, zbereźniki;
Ów kopię wziął pod pachę,
Ów pękatą dusi flachę;
A pułkownik tej drużyny,
Strusie pióra, zbroja złota,
Na plask mieczem o stół grzmota;

Jakie hełmy, jakie miny!
Rzekłbyś, tacy nie posiedzą,
A jak pójdą, to świat zjedzą.

— „Powiedzże mi, kiedyś szczery,
Cóż ci zaś?“ — A mistrz nie rady,
Patrząc na te ludojady:
„Ej! nie pytaj... kondotyery.
Do Włoch ściąga się dla myta
Owa zgraja rozmaita;
A pożytek z niej nieduży.
Rzymskim panom Szwajcar służy. .

A przybłęda Niemiec Sforcy.
Różnych krajów i proporcy
Ci rycerze — nierycerze.
Miecz o miecz pod mury trzaska,
A miasto im z murów klaska.
Gdzieś tam z konia któryś spadnie,
Gdzieś z pancerza kogoś zwloką;
Bić — nie bije się, a kradnie,
A gadania? o! szeroko;
Nasza stara rzymska cnota
Jeszcze drzemie w marnym pyle;
Czasem błyśnie coś na chwilę,
I wnet znika patryota.“

— „A tak,“ wtrąci swe dziewczyna,
Ów kobuzik Fornaryna,
„A tak, jeden Buonarotti,
Co książętom dmucha w kaszę;
A za starym pójdą młoty,
I milicye pójdą nasze.
Co? nie prawdaż, że się zbierze
Na ojczystym Trastewerze?
Co? nieprawda?
Pod łachmanem
Rzymski lud się czuje panem.“
Więc ja za nią w mej pokorze
Pomyślałem: Szczęść wam Boże!

Lecz ta ręka nie do szpady,
I ta nóżka nie we strzemię;
Taki wrogom nie da rady,
Nie zastawi się za ziemię;
Ale wdzięki matki miłéj
Tak to serce wyda młode,
Że się będą ludy biły
O ich szczęście i swobodę.

Mgły nad morzem się rozsuły,
We sto kółek dzwonią muły —
Świat chmurkami malowany.

„Widzisz gaje... to bukszpany.“
„A ci ludzie?“... „To posągi.“
„A te mury?“... „Wodociągi,
Morski zalew nie objęty.“
„A to dalej co?“... „Piotr święty.“

Roma!... a mnie żałość bierze,
Jako naraz, wśród tych szlaków,
Przypomniałem sobie Kraków
I Maryacką naszą wieżę
I to wzgórze za Zwierzyńcem
I topole długim wieńcem.

Gdy Rafael z Fornariną
Ze swoich się siodeł kiną,
Jako zwyczaj chce pobożny,
By niósł pokłon człek podróżny,
Za drugimi czoło zniżę.
Na świtanie wietrzyk strzyże,
A mój panicz pacierz składa,
Więc ja słuchać, co on gada:
„Ojcze nasz, wszak przyjdzie pora,
Że nas zwiążą Leamora...
Jedno prawo tu i wszędzie,
A co żywe, to konieczne,
Roma była, jest i będzie,
Salve! Roma, miasto wieczne.

Kropla wody głaz wyżłobi,
A już pracę dziś poczęto,
A już Roma się sposobi
Na ojczyste wielkie święto,
Odnawia się i odczyszcza,
Rozkopuje stare zgliszcza,
Odnajduje święte drogi:
Odrodzenie, przemienienie,
My nie bogi, ni półbogi,
Cienie, lecz szlachetne cienie,
Mało możni... jakże mało!
Przecież śród upadłych gmachów
Ze Sabinek, z matki Grachów,
Coś nam jeszcze pozostało."

Co to młodość! cudnaż ona!
Kiedy spojrzę na modelę,
Wiosna, świeżość i wesele.
Zarzuciła nań ramiona,
A ów dłoń tę drobną, miękką
Zwolna w stronę zwraca ręką.
Nie dotykaj tej postaci
Drżącej, jasnej, wzniosłej, czułéj:
Dobre duchy ją rozkuły,
Odleciała od swej braci;
Gdy powróci w życia tkankę,

Ziemską znajdzie swą kochankę,
Otoczy ją ramion wieniec;
Lecz w tej chwili uroczyście
Czułek słońca, wyzwoleniec,
W dal pomyka drżące liście,
Życia świeżą traci cerę,
Szemrząc: Noli me tangere.

Słówko, zorza i ta ręka,
I to dziewczę, co w proch klęka,
I ta gwiazda na błękicie,
Nie, to jakieś wyższe życie;
Tu się wielka świętość święci.
Prawda, że to po tej drodze,
Królujący ninie w Bodze,
Przechodzili wniebowzięci;
To bez wiedzy tu, czy z wiedzą
Pomyślałem: Na tych grządkach
Blask się miga na dzieciątkach
I Boże tu ptaki siedzą,
Echa wiecznej w świat muzyki,
Rafaele, Angeliki...

A ów głosem jak nie z siebie:
„Oto w górze, oto w niebie,
Spojrz, z pode mgły i półmroków

Światłość niebios tych najczystsza“...
I padł, jakby ujrzał Mistrza,
Górę Tabor i proroków.

Przemienienie, wielkie święto,
Aż ja, ciemny z wiejskiej chatki,
Odgaduję sens zagadki,
Którą zowią: Cinquecento.

Ale któż te cuda sprasza,
Że na serce schodzą szybko?
Rafał, anioł Tobiasza,
Z swoją natchnień złotą rybką.
Ptaki Boże, lecz świat nie wie,
Jaki ptak na jakiem drzewie.
I wraz z piersi krzyk przestrachu
Wyda w prochu mistrz mój złoty,
Jakby ogień stał na dachu
I huczały Boże grzmoty,
A łza w kątach ócz nabiera...

Gdy najczystszą pieśń wydzwoni,
Niech się korzy, niech się kłoni;
Doznał, widział, niech umiera.

Słońce wschodzi, gwiazda blednie,
Nieśmiertelnych noc nie smutna;

Przemienienie, Boskie płótna,
Senne, złote przepowiednie.
Co to życie, co krew młoda!
Już ci burza, już pogoda.
Gdy ja trwożny jeszcze stoję,
Już w podskokach ptaszki moje,
Przedzierzgnione w dziatki greckie,
Skaczą bajki staroświeckie.

Wietrzyk igra z włosów splotem,
Czarki błyszczą z winem złotem,
A niechże was, Marya, cieszy!...
Dalej w drogę, czas się spieszy.

Ej! Ty Boże, przez dzień cały
Co te oczy nie widziały?
Na grobowcach wielkich męży,
Tych Scypionów i Torkwatów,
Zabłąkany wietrzyk rzęży,
Śród splecionych ziół i kwiatów.
Jeśliż tyle po nich w spadku?
On coś widzi... ta równina,
Ta Kampania, Ponte molo,
Cień mu wraca Konstantyna
I ów sztandar: In hoc signo,
Z którym Włochy się podźwignąą,

I podźwignął i zespolą.
Słyszy słówko wciąż przytomne:
— „Nie zapomnisz?“ — „Nie zapomnę.“
Dla mnie Rzym rozbitym murem,
Zakończonej pieśni kartą,
W pół przedartą, w pół zatartą;
Lecz na jego wierzę słowo,
Że przywdzieje szatę nową.

Bo nie próżnoć obietnice
W te szlachetne serca cieką;
Czyż my tylko łez dziedzice?
Czy na wieki cięży wieko?...
Jać nie wieszczem i nie wieszczę,
Ale wzniosłym słowom wierzę;
Od katakomb coś szeleszcze:
Zawiązane w pieśń pacierze
Zatopionych w dniu rozbicia,
Tych, co proszą się do życia.

Przy zachodzie nagle Ryta:
— „Santo Padre, jego świta,
Idzie Bembo i Bibiana,
Na Kapitol, dojrzał, staje...“
Więc Rafael: „Na kolana!
Benedykcyę Ojciec daje.“

Benedykcya to deszcz z wiosną,
Z benedykcyą kwiaty rosną.
Klaszcze Ryta i dziecięce
Wyciągnęła białe ręce:
Jakże ją ta radość zdobi,
„O tak! Rzym się już sposobi“...
I słóweczko w pół przerwała
I wpatrzyła wzrok w artystę,
A spojrzenie było czyste,
Jak świt, wolność i jak chwała.

Księżyc biały, chłód wieczora,
Po ruinach cienie mgławe,
A od wieży dzwon klasztora
Począł dzwonić: Ave! ave!
Poszarzało z zajściem słońca,
Aż ona mnie lekko trąca;
Wschodzi gwiazda Maryi Panny
I wieczorne dzwony dźwięczą.

Uderzyły w szmer fontanny,
I mistrz zniknął za ich tęczą.

Próżno wzrok mój w ciemną sferę
Za Rafała ścigał szlakiem,
Z Rytą, z uczni swych orszakiem

Na dalekie Trastevere.
Cienie, jakby z dni Perykli,
Nikli, — nikli mi i — znikli.

Matko moja, ty łachmanna,
Czy nie tobie to hosanna?
Teraz pójdę, stanę przed nią
I wypowiem serca biciem:
Sztuka nie jest twojem życiem,
Ale życia przepowiednią.

Liro moja ty pastusza,
Pod te wichry, serca chłody,
Powiedz, liro, co cię zmusza,
Te wysokie zbiegać schody?

Fra Beato Angelico.

Zatułany w świat za morze,
Gdym za własną tęsknił chatą,
We Florenckim raz klasztorze
Słyszę: „Spojrzyj, Fra Beato;
Skłoń się, może ze swej skrzyni
Do kalety coć przyczyni.“
„Radbym, lecz mnie trwoga biedzi,
Niespokojność i obawa;
Iśćby pierwej do spowiedzi,
Bo nie z lada świętym sprawa.“
„Ej, nie pytaj, odrzuć trwogę,
Idź, idź za nim, jać pomogę.
Oto chyli się nad plantą,
W oddalone mknąc kortyle;
Przejdź co żywiej Campo Santo,
Spiesz się, chwytaj dobrą chwilę.“

Więcem pomknął acz nieśmiało
Za braciszka suknią białą. —

Tak tu cicho, błogo, tkliwie,
Kędy zmarli spią szczęśliwie,
Rząd pomników wzdłuż się śnieży
Włoskich panów i rycerzy;
Wietrzyk bluszcz porusza kręty,
Liść po liściu na grób ścieka.
Aż mnie sam zagadnie święty:
„Skąd i dokąd?“ — „Hej! z daleka:
Jam ciconia ex Polonia,
Z ziemi, która cudów czeka,
Kędy piołun i szaleje
Głuszą złote niegdyś grzędy,
Pokrywają nowe pędy,
Nowe pędy, nowe dzieje.

„Utęsknienia na świat niosę,
Od tych roślin zasłyszane,
A gdzie zajdę, gdzie przystanę,
O niebieską pytam rosę,
O te źródła, z których piją
Ci, co czują i co żyją.“

„Niezganione twe zamiary;
Jestci źródło, woda żywa,
Co czerpana, wciąż przybywa.“
A gdy słówko przeciął skore,

Pomyślałem: z twojej wiary
Wezmę też wiaderko spore
I zaniosę mej niebodze,
Co tam ledwie tchnie przy drodze.

Więc jak wietrzyk wzrusza drzewka,
Gdy z odległych gór zalata,
Cicha, korna modlitewka
Poruszyła usta Frata;
I ów żal, co kości suszy,
Niesion z wielką serca męką,
Jakby naraz odjął ręką,
W jednej chwili spadł mi z duszy.

Z ócz zasłona znikła mglista,
A gdym westchnął, ziemia cała
Jakoś dziwnie wypiękniała,
Jakoś mi się zdała czysta.

Wytworniejsze monumenta,
Kolumnada jak od święta,
Dzień powszedni, a niedziela;
Wieże, łuki, jak z koronek;
Sanctus! Sanctus! dzwoni dzwonek.

Toż gdy skinął mistrz uprzejmie,
Wielka radość mnie obejmie,

Dalejż za nim, — aż i cela.
Do tej małej, ciemnej celi
Schodzą w biały dzień anieli,
Pod ich wpływem w boskie rano,
Choćby oczy mu wybrano,
Niewidomy w swą ciemnotę
On by rzucił światła złote.
Ziemskie słońce znać zbyteczne,
Komu świeci światło wieczne.

Słuch, stracony w pustym gwarze,
Łaska Boża pieśnią płaci;
Spojrzeć tu na ślepców twarze,
Jaki spokój tych postaci!
Ślepi widzą, głusi słyszą!
Jaka głębia pod tą ciszą!

Chłód, jak gdybyś zaszedł w grotę,
Odpustowa woń świątynna,
Szare, grube stare ściany,
Z których wzlata myśl niewinna;
Wawrzyn przesiąkł i bukszpany,
Wosk i mirra i kadzidło,
Że aż czuć lecące skrzydło...

Mistrz odsłonił swą robotę...

Przestrzeń światła, na przestrzeni
Przezłocistych pełno cieni,
Chór wybranych w wiecznej chwale,
Jak kryształny dzban, w krysztale
Roztworzony z wód lazurem,
Błyska złotych szat konturem,
Tak z natchnienia Boża chwała;
A Italia kolor dała.
Bo i jakże uzmysłowi
Dzień nierówny temu dniowi,
Jeśli po błękitnym kresie
Coś z ojczyzny nie rozniesie?
Usta, by najzłotoustsze,
Ani pędzel nie powtórzy,
Chyba słońcem się posłuży,
Co tak silny blask rozstrzela,
Że się oko nie ośmiela
Wznieść na lustro w niebios lustrze;
Acz to słońce cieniem, mrokiem,
Przed Maryi boskiem okiem.
Gwiazd królowo, ty Praeclara,
Ciebie czuje tylko wiara!

Przed obrazem Wniebowziętéj
W zamyślenie zapadł święty;

Na wiekowe to pacholę
Wiał wciąż wietrzyk od Fiesole.

Skromne jego prac przybory:
Olej czysty i kolory,
Zapylona trupia głowa;
Brewiarz dalej wpół otwarty,
Ciemnożółte, wilgne karty,
Z których większa słów połowa
Przeszła w umysł i w umyśle,
Literkami wiernie, ściśle,
Z każdym rankiem z kart pamięci
I świeci się wraz i święci...
Dzikie róże, polne ziela,
Krzyż najsłodszy Zbawiciela,
A gdzie w sen się zniża głowa,
Matka Boska Różańcowa.

W nieprzyrodzie i w przyrodzie
Jest podwójne posłannictwo;
Stąd, i w zgodzie i w niezgodzie,
Miłość ziemska i dziewictwo;
Pierwszej koniec z ziemi końcem,
Drugiej wieczność z wiecznem słońcem.

Jak najwyższa pieśń Litania,
Tak najniższa pieśń u dzbana;

Jak najwyższa z gwiazd Urania,
Tak najniższa ta Dyana.

Jakże różna lutni strona,
Jak odmienna uciech czara,
Którą wznosi dłoń Platona,
A tańcząca młoda para.

Czoło duszy, bacz, sierocej
Nie całuje światło nocy,
Nie namiętność pulsa wstrząsa;
We zwierciedle wszechpiękności
Świat przyszłego świata gości,
Po złocistych grządkach pląsa.

Na czas bytu, jak on długi,
Pan wybiera swoje sługi;
Świetne piórka ziemskiej krasce,
A słowikom daje szare;
Szczęsny, kto ma żywą wiarę,
Kto od dziecka chodzi w łasce,
Piórkiem barwnem nie zachwyca,
Nie pociąga ócz do siebie;
Lecz, gdy śpiewa, okolica
To ojczysty kącik w niebie.

Więc gdy trwożny przed nim stoję
Z zagadnieniem: „We świat wtóry
Kto otworzył oczy twoje?“

„Anioł ciszy i pokory,
Rzecze, — tknął mnie w moje rano
Lilią, Matki Bożej kwiatem,
I swe na mnie włożył miano,
Rzekąc: Bracie, bądź mi bratem.

„Od tej chwili za sztalugą,
Czy w klasztorze za posługą,
Za weselem czy pogrzebem,
Niebo ze mną i ja z niebem.
Z stron się wszystkich do mnie garną
Przeźroczyste na wskróś cienie,
Święte, a jak przypomnienie
Mych dziecinnych dni nad Arno,
Pod barwistą, lśniącą szatą...
I ta moja brama Prato,
Nie piekielną — nie Dantejską,
Jest mi bramą Elizejską,
W którą moje koło młode
Wbiega, jako świt w pogodę,
Takie szczęsne, takie rade,
Śpiewające: Umiltade.

„Praca, a gdy za obrazki
Fiorentino coś da z łaski,
Gdy jałmużnę — niejałmużnę,
A braterski niosę datek,
Raduje się biedny światek,
Chore moje i podróżne,
A przepiękne tem weselem,
I tak dobroć Boską głoszą,
Że się wspólnem szczęściem dzielim,
Wspólną dzielim się rozkoszą.

„I upojon serc muzyką,
Pod opieką wciąż anielską,
Ja, proch marny, nędzne zielsko,
Słyszę imię: Angelico.
Przez to imię ogniem płonę,
Co oświeca a nie pali;
Widzę piękną tylko stronę
Po za światem i w Italii;
Chmury czarne lecą bokiem,
Świat się w niebo przeobraża,
I jak święta woń z ołtarza,
Jest i światem i obłokiem.

„Pracy mojej towarzyszą
Nieprzerwaną cyprys ciszą,

Z klasztornego pieśń ogrodu
I jaskółka u zachodu.
Kiedy moje tła wyzłocę,
Na posiłek chleb, owoce;
Potem w braci mych chorale
Prostem sercem Boga chwalę.

„Fale życia w wieczność płyną;
Sprawiedliwość przypomina,
Że w Fiesole Katylina,
Lecz był także Antonino,
Że przy światłach są też cienie,
Przecież długo nie trwające,
A Florenckie drzewko schnące
Antonini zazielenia.
Chwała, chwała Temu w niebie,
Co nas żywi na swym chlebie!

„Cenne panów tych puklerze;
Tkackie nasze oficyny,
Patrz, Baranek ten bez winy
Chorągiewką swoją strzeże,
Więc go wszędy ludek ciesie,
I ponosi, co czas niesie.“

Gdy to mówi, słuch mój trąca
Krypta dolna śpiewająca,

I pieśń nasza, pieśń ta znana,
W życia rano zasłyszana,
Serce moje rozkołysze,
Jak wezbrane wichrem morze;
Za mnąż przyszło w włoską ciszę
Nasze łzawe „Święty Boże“?

Hej! nie dla mnie Świętych sfera;
Kraj mój — pustka, dom — rudera,
Wieczna mgła na moich niwach;
Droga moja w wichrach, w burzach,
Odpoczynek nie na różach,
Nie na różach: na pokrzywach!
Pogardzoną ciągnę nutę,
Życie moje za pokutę;
Bóg wie, o co nie obwinią,
Otoczą mnie serc pustynią,
Nad umarłym samoukiem
Przejdą z świstem i z pomrukiem.

A braciszek, jakby z nieba,
Jakby spadał z piór szelestem,
„Wiem, — powiada, — wiem, coć trzeba:
Ciszy, ciszy... jestem, jestem.“
I tem cięższy żal poruszy,
Żem już w sobie nie czuł duszy.

„Wam nieznane nasze strony:
Straszna tam kolorów cena;
Gdzie swej płynem krwi czerwonéj
Brat maluje Nazarena,
Kiedy więzień w proch się ściele.
Oj! te krwawe akwarele,
Ach! ach! turmy, cytadele!

„Com przecierpiał z każdą chatą,
W którą srogi wróg się wtłacza,
I z nadziei — ach! utratą,
I z tem, co już nie rozpacza,
A wstyd kryjąc swojej nędzy,
Woła: obyż jak najprędzéj
Cichy domek martwym zwłokom!
Albo klnie na czem świat stoi,
I obłokom i prorokom,
I tej prostej wierze mojéj:
Wszystko w jeden jęk się zlało,
Cały szereg lat niedoli,
Co to serce przebolało,
A co jeszcze nie przeboli...
Lecz i żal ma swe granice,
I ten ból i zamęt duszy;
Burza przegrzmi, wiatr osuszy
Polne trawy i źrenice.“

„I cóż dla mnie?“ — Spojrzał bacznie,
Ręce ukrył pod habitem,
A ja czekam, rychło zacznie,
Głazem stojąc w ziemię wrytym.
I jak chory człek obłożnie
W twarz lekarza patrzy trwożnie
I z bijącem sercem bada,
Co mu wzrok ten zapowiada:
Tak jam przyszłych dni wyroku
Dopatrywał w świętem oku...

„Na wiek chmury, na grób zorza.“
„Ano, dziej się wola Boża!“

„Wielkość zgasłych gwiazd w pamięci
Jeszcze, ptaku, ciebie nęci,
Bohaterstwo... gdy prostocie
Wielkie sprawy Pan powierzył.
Idą, idą w świat pod zorzę
Nowe dzieje — dzieci Boże;
Już nie zbroje, a siermiężki,
A radośnie, a wesoło,
Choć znój ciężki, choć krzyż ciężki,
W górę serca! w górę czoło!
Inne światy“...
Gołąb w locie

Na okienko sfrunął brata...
Gołąb, cisza, zachód, krata
I ten uśmiech i obrazki
Nigdy z myśli mej nie zginą...

Ave Maria, pełna łaski...

„Droga twoja na Urbino,
Jak te białe chmurki lecą,
Od Florencyi do Arezzo.“

Wielkość, ach, mój Fra Beato,
Jeżliż tylko ta przyczyna?
Będzież syn sądzony za to,
Że wciąż matkę przypomina?

Gdy tak myślę, słowo ciemne
Rozwiązuje się w błękicie:
To, coś widział, nie daremne,
To twej matki przyszłe życie.
Taką będzie swego ranka,
Gdy z niej próby chmura zleci,
Ziemia twoja, ziemia dzieci,
Rozśpiewana w świat Słowianka,
W wieńcu z chabrów i ostróżek,
Najśliczniejsza z Bożych służek,

W łzach wiekowych wykąpana,
Jak pieśń ludu i Bohdana,
Jak świt biały nad twą chatą,
I jak obraz Fra Beato.

Michał Anioł.

Grato me il sonno e piu esser sasso,
Mentre che il danno e la vergogna dura.

Na Nerona złotym domu
Stare gruzy bluszcz porasta,
Wiatr zapędza od poziomu
Wieczny szmer wiecznego miasta,
Głaz na głazie, na kolumnie
Połamana śni kolumna...

. . . . . .

Odwrócona postać dumna,
Skroń na dłoni wsparta dumnie.

Mąż ponury, nieruchomy,
Cień na dolne rzucał domy,
A ja — czyż to Nemrod stary
Z kniei wyszedł na Cezary?
— Buonarotti, mistrz mój — rzecze,
Jego dłuta rzymskie miecze...

Na gród cichy, mniszy, bosy,
Purpurową przędzie togę,
Bohaterów śni wciąż drogę,
Via sacra i kolosy.
Myśli jego świat przeszkadza,
Więc jak kat ruiny schadza.
Bystre oko to sokole,
A nie spojrzy acz powitan,
Na swej myśli zwrócon pole
Popędliwy Michał Tytan,
I w milczeniu siedzi głuchem,
Jak przykuty wpół łańcuchem.

Gdym sam został... ha, cóż stracę,
Idźmy... place, fontan szmery,
Rumowiska i pałace,
Straż trzymają kondotyery;
Z ruin żebrak z łysem czołem
Prostuje się, dźwiga, wznasza,
Jakbyś zszedł się z apostołem,
Pawła ujrzał czy Łukasza.
Zielska, płoty i pustkowia,
Gniazda wężów i niezdrowia...
A po chwili już ci zmiana,
Gmach możnego jaśnie pana,
I cyprysy i oliwki

I skaczące srebrne wody
I pałace i ogrody
Na uciechy, na rozrywki...

Słuch się znuży, czucie znuży,
A oko się nie nasyca,
Co nie ujrzy z siedmiu wzgórzy,
Ocalałe z czasów burzy
Dwoje dziatek i wilczyca...
A myślą to w oczy świeci:
Że tu wilcy są i dzieci.

I znów błogi powiew świeży
Macierzanki, polnej mięty,
A na sercu smutek leży,
Ale jakiś smutek święty...
Pod katakumb rzymskich pleśnią
Znać chrześciańska pamięć żyje,
W rytm się składa, zwrotki wije,
I rozbiera niemą pieśnią.
Władców Rzymu, jednej doby
Zamienione na fortece,
Cień rzucają w dal po rzece
Poczerniałe pyszne groby.
By zaś wieczne miasto trwało
Niepodlegle wciąż i cało,

Nad Tybrową cytadelą,
Stanął anioł San-Andżelo.

Możni drzemią, lud w rozterce,
Klasztor tęchnie, jeden żyje
Młot, co głucho w marmur bije,
Jak wiecznego miasta serce...
Pożegnalnej pieśni Feba
W takt wybija Wulkan chromy,
Mierzchną zwolna miejskie domy,
W kryształowym płaszczu nieba.

Nie pustelnia znać to mnisza,
Gdzie się w ciszy duch ucisza,
Kędy gołąb sinopióry
I jaskółek lecą sznury,
A wygnanych bogów ściany,
Gdzie kowale ich wulkany
Kują strzały dla Jowisza.
Oddalone owe młoty
Wyrębują sławne imię,
Czuwające w sennym Rzymie,
Michał Anioł Buonarotti.

. . . . . .

. . . . . .

Nieprzystępny, chmurny, smętny,

Na rozkoszy wartość małą
I na piękność krótkotrwałą
Najuporniej obojętny;
Obraźliwy, szorstki w słowie,
Od najmłodszych lat rozkwicia
On nie zaznał tego życia,
Co się zwykle życiem zowie.

A z bolesnych wspomnień wieńca,
W wyobraźni mistrza księdze
Twarz została potępieńca,
I duchowe włoskie nędze.
Wszystkie męki sprawiedliwe,
Którym łez nie ulży strumień,
I dróg krzywych linie krzywe,
I sąd straszny własnych sumień,
Co dokonać może piekło,
W te krzyczące kształty ściekło,
Które w akta czasu złoży
Michał Anioł, ten szpieg Boży.

Gdzieś pustują bracia młodzi,
Szumią bujne fale życia;
Biada, kto się starcem rodzi,
Kto wiek niesie od powicia,
Czyje barki czas przysiada

Z wszystkich burz i nędz ciężarem,
Kto od dziecka odpowiada
Starym czynem, słowem starem;
Nie dla niego życia róże,
Czas go pędzi z burzy w burzę,
I nie lutni słodkich rymów,
A męczeńskich słucha głosów;
Słońce świeci mu z za dymów,
Zapalonych krwawych stosów,
Więc mu dusza zaszła chmurą,
Jak to jego słońce górą. —

Aż w te męki, w te pustynie,
Jako lilia cicha, wonna,
Jako gwiazda boska spłynie,
Przyjaciółka prac Kolonna.

Bo nie dotrwać w nędz pożary
Bez pomocy górnej człeku,
Jedno słowo żywej wiary
Tworzy wielką postać wieku.
Imię jej — to imię Romy,
To Wiktorya, to zwycięstwo;
Książe sztuki nieznajomy
Przetrwa księstwa twoje księstwo
I przez wieki świecić będzie...

Śród tych myśli place, łuki
Przebiegałem, — pusto wszędzie;
Tylko młotów coraz huki
Wyraźniejsze grzmoty w słuchu,
Witaj, witaj, wielki duchu!

Gdym go ujrzał, chmurno-licy
Sam nad wielką dłuta pracą.
W oddaleniu robotnicy
W drobne młotki wciąż kołacą,
Gorycz mistrza usta skręca,
I do siebie zwrócon szepce:
Szczęsny, który zmarł w kolebce,
Nad którym się los nie znęca.
Doświadczenia, doświadczenia,
Wszystkoż idzie jak z kamienia.
Twarda, ciężka, znojna praca,
A kto w głazie myśl domaca,
Kto odczyta wiek mój w dziele?
Wawrzyn, sława, to niewiele. —

Co mnie w oczy świecą Giottem,
Co tam jakimś Leonardem,
Jam wyrąbał się oskardem
A nie wykluł piórkiem złotem.

Decyusz — Kato — Dant, to duchy,
Reszta dzieci i pastuchy. —

O!... źle żywym ptakom w trumnie,
I z pod oka spojrzał ku mnie,
Szemrząc: — skłonni do pokłonów
A prostować grzbiet Sklawonów,
To na Pelion rzucać Ossę;
Ha, przeznaczeń drogi ciemne, —
Panteonu gmach podniosę,
Ale duchy podjarzemne
Kto podniesie w górne koła?
Kto rozchmurzy gnuśne czoła?
Więc ja: Mistrzu, to pół świata
Grom pogrzmiewa i błysk lata,
Skąd ci znana by część drobna,
Ta obfita w Scytów groby,
Ta, co mówią, że podobna
Do Sypilu i Nioby.
Czy żórawie w świat lecące
Podsłuchałeś na przestworze?
Czy łabędzie na jeziorze
Z boską pieśnią konające?

— Twa ojczyzna skąd mnie znana?
Skąd? — z kolumny tej Trajana.

Dzisiaj w Rzymie tyś bezpieczny,
Teatr w gruzach, Cezar gnije,
Nad teatrem dach słoneczny,
Nad Cezarem leżą żmije.
Z Daków, a tak i ze ściany
Odjął Dackie podobizny,
A co, jak odmalowany,
Może nie znam twej ojczyzny?

Strefa bujna, rozbarwiona,
Pierś westchnieniem żalu wzdęta,
Ale z więzów kto rozpęta
Słowieńskiego Laokona.
Jeśli ciszy nie nakaże
Pani krajów tych *niedola*,
Nad północne te cmentarze
I wiejące trupem pola, —
Jeśli tylko słów obfitość
Całą będzie ich odwagą,
Jeśli nad swą nędzą nagą
Nie zdobędą się na litość...
Wielkie trumny lecą w próchno,
Wielkie dzieje wierzchem głuchną,
Kto podniesie ród znikomy,
Kto gromady zmieni w gromy?
I wzruszony dodał w końcu,

Przemyślawszy chwilę długą:
Ten, co jedną dłoń na słońcu,
Na księżycu złożył drugą...

Mojej ziemi nie pochwalę,
Nic lepszego ci Itale,
Pieśni pieją, farby mieszą,
No i widzisz dość im na tem;
Szczęśni w inne światy spieszą,
Lecz kto związan z nędzy światem,
Temu spokój serce krwawi,
Świat się bawi, niech się bawi...
Niech Rafael, dziecię miłe,
Z przed upadku świat odtwarza,
Siła musi iść na siłę,
I odważny miecz przeważa.

Duch próżnuje, brzuch się tuczy,
Nędzni małych miast satrapi,
Co pomoże jeden Lapi,
Jeden Lapi i Feruczy?...
Ariostowej pieśni mało,
Kędyż młodych dni nadzieja?
Krwią Italii spływa ciało,
Zdarta skóra z Bartłomieja...
Ja im skórę tę wywieszę.

Ja ich zbrodni nie rozgrzeszę.
Sztuki, sztuki... piękna sztuka...
Chmurne dla mnie jej oblicze,
A com cierpiał, czas odszuka,
Moje żale i gorycze.
Komu sztuka całym światem,
Życie temu zdrojem słodkim,
Jam poprzestać nie mógł na tem,
Mnie *nie celem, ona środkiem.*
Ja im wryję w głaz głęboko
Zapowiednię przyszłej kary,
Prawo Boże, zakon stary,
Ząb za ząb, za oko oko...

Wiara nasza... tyle wiary,
Ile Cyrku na pustyni...
Który starły wpół barbary,
A wpół zetrą Barberini.
Głaz się wzruszy i ożywi,
Wiatr się wzruszy i roztkliwi,
Woda z żalu schnie w cysternie,
A Rzymianie, o! Rzymianie
Wyśpiewają przeszłość wiernie,
Roma, Roma!... malowanie...
Piękna pieśń i to nie siła,
Roma! Roma! — kiedyś była...

Górą, górą ziemskie cele,
Wicher święty proch rozmiata;
Potępieńcy drą gardziele:
Apostata! apostata!
Śmiech podrywa brzuchy tuczne
I na bóstwo wznosi piętę,
Opój górą, tańce huczne,
Wąż wykreśla drogi kręte,
Rzeki złota nimi spłyną,
Handel! handel! Fiorentino!...

Ojciec synom zdał na wolę:
Świecić w górze, czy gnić w dole.
Nie, nie, dotąd wszystko błahem;
Kiedyż, kiedyż, o Itale,
Pod tym jasnym niebios dachem
Pychy waszej zgłuchną fale?...

Kraju mirtów i wawrzynów,
Wielkich myśli, małych czynów,
Kiedyż, kiedy twoje dzwony
Czas przeleje w serca złote,
Nie ujęty dym w istotę,
Motłoch w wielkie Auzony?

Idealna wciąż nam znika
Chrześciańska Respublika.

I żelazne wraz narzędzie
Pomiótł starzec w progi bramy,
Ja samotny, tak wciąż samy,
Ja kat jestem — niech tak będzie.

Biadać, jeśli w dzieła chwili
Twoje serce się rozkwili.
Rafaela miej nadzieję,
Angelika czyste czucie,
Lecz z twych słów niech prawda wieje,
Dla niej ziemskie zagaś chucie,
Bo za tobą się powleką
Ciała, które wciąż krwią cieką,
I próbują, jeśliś czuły,
Płynącymi krwią muszkuły.

Iskrę górną próżno traci,
Kto się zbyt czułością łudzi,
Myśl, że iść masz nie do braci, —
Ale, że masz iść do ludzi...
Siła jedna wiąże tłumy,
Mniej czułości, więcej dumy.
Nie marzeniem, nudą strutem,
Tnij tak słowem — jak ja dłutem.
Pokąd żyje duch narodu,
Nie głód jeszcze, a pół głodu,

Nie pragnienie, pół pragnienienia,
Nie cień wieczny, a pół cienia.

Lecz gdy natchnień nić wyprzędą —
Mistrz uderzył w posąg młotem —
To kamienie mówić będą,
Ale mówić będą grzmotem. —

I oblicze mgła powlekła
Jakby Dant powracał z piekła,
Rzadkie włosy wiatr rozmiata,
Twarz otchłannej, ciemnej cery,
Krasna szata, wieszcz trój świata,
Istny Dante Alighiery.
Usta palcem też przekryślił,
I w własną się otchłań wmyślił.

— Płomień pychy co pokryje,
Patrz, jak w ogniu natchnień żyje;
Mojżesz wstrząśnie władzy rogiem
Nad Kampanii tej obszarem,
Wczora był im Cezar Bogiem,
Jutro będzie Bóg Cezarem.
Duch nie spieszny błyska w końcu,
Rozbudzony męką długą,
Ten, co jedną dłoń na słońcu

Na księżycu złożył drugą. —
Za dni wiele czy za mało...
Sędzio! wodzu, świadcz mi, skało.

A w Michała myśl rozkazu
Otwarły się usta z głazu,
I pracownię mistrza cichą,
Jak na trąby głos w Jerycho,
Wstrzęsło i jej fundamenta:
Kto pamięta grom w naturze,
Kto pamięta pustyń burze,
Zgrozy takiej nie pamięta.

Nad wygnańców ludem mnogim
Takim głosem grzmiał nad piaski,
Z uwieńczonem czołem w blaski
Ten, co stawał twarz w twarz z Bogiem
A pustynię trząsł dwurogiem.
Na zaklęcia straszne słowa
Grzmiało w blaskach wciąż: Jehowa...

Na pioruny te nad głową
Pomknęż kroku, gdzie głos ginie,
Cały trwożny i niepewny,
W łuki, cienie, ku Syxtynie,
Gdzie poraził mnie blask, słowo,

Ten na niebie Chrystus gniewny,
I te światy, co w pył lecą,
I te gwiazdy, co nie świecą,
I te jęki potępienia,
I te chóry wniebowziętych...
Przebaczenia! przebaczenia!
W imię wszystkich duchów świętych...
A w powietrzu grom się waży:
Niema, niema dla zbrodniarzy!
Na strącone grzeszne cielska
Gwałtowników prac przedwiecznych,
Błyski mieczów obosiecznych
Rzuca mściwa dłoń Anielska.

Światła! światła! och daremno,
Ciemność im na wieczność ciemną.
Nie odnaleść widzeń daru,
Nic prócz zbrodni swych ciężaru,
Byt ich cały w czuciu, w słuchu,
Wzrok zagasły, męka w duchu,
Z dołu, z góry nad ich czoła
Wstrząsające otchłań gromy,
Pęd szalony w wieczne koła,
Niewidomym niewidomy. —
Przepadają w dym Gehenny,
W nieprzejrzane wirów zwroty,

Miecz poraża ich płomienny,
Straszliwego sądu grzmoty.
Waga sądu wciąż się schyla,
Dies irae, dies illa.

Rózga gradu z chmur bezmiarów,
Ryk i wściekły śmiech szatanów,
Gdzież korony naszych panów?
Złote wieńce tych Cezarów?
Ślepa wieczność nieskończona
Zagłuszyła bestyi wycia,
I zatarła ich imiona
W wiekuistej księdze życia.

II.

Wieczne srebrnych fontan szmery,
W pył rozbite dyamenty,
W głębokościach grają sfery:
Boże mocny! Boże święty...
Od Kampanii wietrzyk miękki,
Jak dotknienie drogiej ręki,
Me dzieciństwo przypomina,
Gdym przy matki mej kolanach,
Tam daleko, w czterech ścianach,
Snem spokojnym śnił dziecina.

Gdym odetchnął, twarz artysty
Chyliła się nad mem czołem,
Czysta, jak ten miesiąc czysty,
Jak po pieśni z Archaniołem;
Jak z wybranych dusz szeregu
Śpiewający kres żeglugi,
Po burzliwej drodze długiéj,
Gdy dobija łódź do brzegu...

Lecz choć taki jak bez ciała,
Na pół w wiecznych świateł fali,
Jeszcze na nim pozostała
Stara wielkość tych Itali.
A wskazując ciężką dłonią
Na owianą mgłą świątynię,
Głosem, którym perły dzwonią
W rzymskich fontan ocembrzynie,
Rzecze: Synu nie trać z oka,
Że stąd wzbiega myśl wysoko,
Że Piotrowa ta opoka
Przemienienia jest opoką,
I że tylko na jej szczycie
Ziemskie ciało się subtelni,
A ofiarą nieśmiertelni
Nieśmiertelne biorą życie.

Toż i jam się miotał, burzył,
Gniewnie drzała krwawa strona,
Ale cóż nam *cień*, gdy ona
Matką — jasność nieskończona...
I ot widzisz, com wysłużył;
I nad czoło podniósł rękę,
Na swą lampkę czy jutrzenkę,
Z którą ciemnych sal ogromny
Schadza, jak te duchy gnomy.

I ów Tytan ciągnie kroki
W Watykańskie sale, mroki,
Gdzie łagodna twarz Dyany
Otulone nocy głuszą,
Te kolumny, głazy, ściany
Napełniła życiem, duszą.

Spojrzę, aż on drżące ręce
Na znajomym torsie złożył,
Zniżył się i upokorzył
Czoło dumne a dziecięce.
I po skamieniałej fali
Palce ciągnie po tej mięśni:
— Nie uczuli, nie poznali,
Czyim tułów ten, nieszczęśni.
I w domysłach lud się waha,

I znać nie chce czyim zwłokiem,
Herkulesa — mówią — Bacha,
A ja widzę *ją* przed okiem.
To Italia, jej to ciało,
W martwy kamień skamieniało.

Mistrzu, papież wykuć każe
Głowę do tej ciała miary. —
Ja się na to nie odważę,
Ja rozbity garnek stary.
Głowę tę sam Bóg odtworzy,
Tak, odtworzy z żywej gliny,
Wyjdzie z błota i z ruiny
Wielki człowiek, rycerz Boży. —
Torsie mój!...
I drżący, czuły
Jak na ojca zwisł ramieniu,
A Dyany w murów cieniu
Srebrne światła się rozsnuły;
I w głębokiej chwili bolu
Milczy dusza do łez skłonna,
Nad nim Hermes z Kapitolu,
Geniusz świeci czy Kolonna.
I wraz lampkę swą od czoła
Ciągnie cichy, uśmiechniony,

Lecz jam nie śmiał dotknąć onéj
Jako lampki od anioła.

Pierzchły ciemne, trwożne noce,
I nad śnieżnych niw sierotą
Słyszę: Stoisz na opoce,
Idź i nieś tę lampkę złotą.
Bez słuchaczy bądź śpiewakiem,
Śpiewaj, bolej na przeprawie,
Aż odlecisz górnym szlakiem,
Jak do ciepłych sfer żórawie.

I mistrz zniknął przy tem słowie,
A w mem sercu się rozściela,
Jak po burzy na dąbrowie,
Jak po żalu w dniu wesela,
Radość, której cisza strzeże,
I Piotrowe słowo *wierzę*.

I snów moich długi wianek
Dnia chmurnego ciężką grozą
Nie poważny rwie poranek,
Nie rycerski *pensieroso*,
A deszcz łez, co wciąż szeleszcze;
Więc jak *noc* ta *Medycei*
Wołam w czasie bez nadziei:
Nie budź, matko, niech spię jeszcze.

I zaciągam w męczarń dobie
Na powieki sen nie trwały,
Widma, które świty zwiały,
Jak w książęcym *noc* ta grobie.
Harpie krwią się moją pasą,
Ciszej, ciszej, *parla basso.*

•

Otóż kraju mój ojczytsy,
Moja długa noc artysty,
Co mi jeszcze lśni na oku
Na Apenin modrym stoku.

TASSO.

W Kampanii rzymskiej, od wzgórza do wzgórza,
Mieściny widzę, gniazda wielkiej nędzy;
Tyber się kręto ciągnie u podnóża;
Smutno, że chciałbyś odejść stąd coprędzej.

Ziemia tu bujnem nie poszumia zbożem,
A grad ją młóci, wiatr piaskiem posiewa;
Jak zrozpaczone, karłowate drzewa
Chylą się smutne nad tybrowem łożem.

Kolumna piasku, wichrem w górę wzbita,
Pędzi, gdzie trzoda chlewna zielsko spasa;
Pastuch przy drodze książkę na głos czyta —
Poznaję wiersze z „Jeruzalem“ Tassa.

Więc zagadnąłem: „Przyjacielu, proszę,
Co czytasz?“ On zaś odpowie mi na to:
„Książkę tę zwykle w pole z sobą noszę;
Wielki jest, panie, poeta Torquato!“

Rzekł, a myśl moja drogą swą utartą
Pobiegła, kędy cień rozdziela grusza...
Kiedyż tam pastuch nad Wisłą lub Wartą
Czytać tak będzie „Pana Tadeusza“ ?!...

I jakieś dawne wróciło mi rano
Zamyślonemu pod tą nędzną plantą,
A kraj się szatą osłonił wzorzystą,
Gdy pastuch począł znowu czytać: „*Canto*
Armi pietose e il capitano,
Che'l gran sepolcro liberâ del Cristo.“

Błogosławieństwo.

(Na widok fresku Giotta).

Różnego wieku i różnego stanu
Ciągną ubodzy z Syryi, z nad Jordanu;
A śród tej ludu zgromadzonej rzeszy,
Która wciąż rośnie i za Mistrzem spieszy,
Z słońcem, co rychło stanąć ma na kresie,
On uwielbiony krok powolny niesie.

Ku niemu zwrócon rodzaj niespokojny,
Na odległości dzierząc się przystojnéj,
Jakby troskliwy, by nie zniknął w oku,
Wciąż mu zabiega, to z przodu, to z boku.

Piękności jego żadna ludzka mowa
Wydać nie zdoła, pędzel nie przechowa.
Kiedy owieczka w polu się okoci,
Jagnię nie miewa ust takiej dobroci,
Po których uśmiech dobrotliwy pląsa;

Czołem lew groźny, co pustynią wstrząsa.
Pod długą rzęsą, schodzącą na lice,
Odpoczywają spojrzeń błyskawice,
Których wzrok żaden potęgi nie znosi.
Złociste włosy wietrzyk cichy kosi;
Stopy, do wiecznej nawykłe podróży,
Głaz nie obrazi, odległość nie znuży.

Odziany szatą, która z nim od mała
Rosła nieszyta, jak dzień biały biała,
Z wełny przędzonej tak cudnie, tak cienko,
Że próżno pająk ściga się z panienką,
Próżno się przędzą rozwieszoną szczyci:
Daleko jemu do tych srebrnych nici.

Wcielone słowo znaczne w każdym ruchu;
Więc ma i dusze chętne do posłuchu;
I swój i obcy między braćmi swemi,
Niebo zaiste w wędrówce po ziemi.
Słowo żyjące umacnia w podróży,
Więc każdy radby słuchać jak najdłużej,
Bo czego rozum w księgach nie pomieści,
Mistrz zbiera w jednej drobnej przypowieści.

Zachodnie słońce ku ziemi się skłania,
Robotnik wraca szczęsny z winobrania,

Męże, niewiasty, a dzieciątek grona
Dobrych rodziców podnoszą imiona.
Więc pacholątko ku idącym stroną
Od ust odejmie słodkie winne grono,
I pełne serca cieszy się, weseli,
Że się z drugimi słodyczą podzieli.

A Mistrz, z natury rzecz prowadząc wątku,
Rzecze: Podobni stańcie się dzieciątku,
Bo nikt na wieczną nie zarobi chwałę,
Jeśli nie będzie dobrym, jak to małe.

Na błogi wieczór świat wypogodzony,
Wieją wonnością cedry, cynamony;
Strumień gdzieś brzęcząc srebrne wstęgi wije,
Juczne wielbłądy ciągną długą szyję,
Od Jeruzalem, Sydonu, Damiaty,
Męże jak cedry, niewiasty jak kwiaty.

Nadzieję w serca Nauczyciel sieje,
I uciśniony głową nie pochwieje:
Zorane czoło i starganą brodę
W tę czarującą obraca pogodę.
Najbliżsi Mistrza, spieszący najsporzéj,
Pokój czyniący, to synowie Boży,
Wybrani z wielu; lecz jakże ich mało!

Kilku zaledwie na gromadę całą.
Mówią najskromniej, a patrzą najsłodziéj,
Tych oko, zda się, słońce wypogodzi.

Prześladowania dźwigający brzemię,
Idą ci, którzy mają posiąść ziemię;
Oględni w słowie, w wyrażeniu ściśli,
Prostacy w duchu: to królowie myśli.

Gromadka, której prosta życia droga,
Czyści a jaśni, to widzący Boga;
Tych wieczna dobroć w taką moc odziała,
Że im nie znana łza i ciężar ciała,
I tak im lekko, jak chmurkom w przestrzeni,
Które wiatr niesie, a zorza rumieni.

Za nimi korne idące podróżne,
Błogosławieni niosący jałmużnę,
Sprawiedliwości dalej ciągną chciwe
Prześladowane dusze nieszczęśliwe.
Zwiędłe ich lica, nawpół nagie ciała
Życia okrutna nędza poskręcała.
Jak te kolumny wspaniałej świątyni,
Kolumny żywe Zbawca z nich poczyni,
Które uczone doktory zawstydzą;
Pisma nie znają, a blask wieczny widzą,

I świadczyć będą między szczerym ludem
Miłością, słowem, ofiarą i cudem.

Radośćże w sercach, a razem tęsknota,
Że przed ten domek w cieniach sykomory
Cała Judea nie przyjdzie przed wrota,
Z swemi górami i z swemi jeziory,
Z czarującymi Nazaretu wzgórki,
Izrael cały, synowie i córki;
Że się nie ozwie usty Nazarenek
Pieśń powitania anielskiej nadziei,
Że nie zabrzęknie harfa ni bębenek
Od Cezarei aż do Edomei.
Czemu się wszyscy do tych stóp nie zbiegą,
Którzy pływają, którzy trzody strzegą,
Którzy za kupnem i sprzedażą chodzą,
I ci, co sieją, i co miasta grodzą,
Czemu, jak jedna, nie przyjdą rodzina?
Jeśliż to wielka nasza Palestyna,
Wielka tem jeno, że w niej Bóg pochwalon;
Lecz kraj dalekiż: Sydon a Askalon.

On wstąpił wyżej, na skale się stawił
I dłonie podniósł i swym błogosławił:
— Błogosławieni chęcią prawdy tchnący,
Czyści, wytrwali, mężni, kochający! —

A gdy to mówił, na niebie odkrytem
Świeciła zorza dnia nowego świtem;
Na gładkie, ciche jeziora lazury
Jaśniej od zorzy padał blask od góry,
Na której szczycie, wiecznym blaskiem lśniąca,
Stanęła jasność świat błogosławiąca.

O Jezu! Deus Pacis!

WERONA.

I.

Kanów pałacu wspaniałe przedsionki
Owiała cisza, jak przed mistrza mową;
Grób Skaligera — kamienne koronki —
W niebios wybiega przestrzeń lazurową.
Głazy foremne i warowne wieże...
Wielki to musiał być ów Kan Werony,
Gdy uczcił wielkość; niechaj anioł strzeże
Jego pamięci i śpiewaka strony.
A jako duszą podniósł się wysoko,
Niechaj mu w groby spada blask niebieski...
O takich mężach Tangier i Marokko
I powiązane świadczą barbareski.
Ze czcią spoglądam na kamienne twarze
I na rycerskie groby, relikwiarze;
Kto poczcił wieszcza boleść między swemi,
Temu niech światło pada aż w głąb ziemi,

I niech spowija w niebieskie przędziwo
To, co głos życia przyjmowało żywo.

W murach Werony i tylko w tym grodzie
Czuje duch, z jakim najwyższy poeta
Śpiewał *Cantica*, — duch, który po Wschodzie
Pędził Goffreda i Plantageneta.

Florentczyk jeśliż te wspomina schody?...
W dwu wierszach iluż serc złożone żale!...
Ach! Skaligera to *altrui scale*
Z ócz mych współczucia wytaczają wody.
Dziewic, rycerzy świat, piór i atłasów
W pyły odleciał, jak te lecą ściany,
I tylko jeden z zapomnianych czasów
Dante pozostał, sam niezapomniany.
Tu jego indziej karty nieczytelne
Tłómaczą mury i grobowców łuki,
I objaśniają, co jest nieśmiertelne
W dziedzinie prawdy i w dziedzinie sztuki.

II.

Dziwne to miasto ta włoska Werona,
I ta fantazya ludu różnowzora;
O pięknej Julii brzmi tu każda strona,

Jakby to było nie dawniej jak wczora.
Tu, w tym ogrodzie i z tego tu ganka
Kochanka nasza żegnała kochanka;
Tam, na ramiona czarownej istoty
Wietrzyk Romea zapędził płaszcz złoty.
Tu ich widziano, jak w cyprysów cieni
U stóp posągu stali zamyśleni,
Ta sama srebrna spadająca piana
Tok obrzuciła i jedwab kaftana.
Tam, przechodzili za fontanną drugą:
Ręka opięta rękawiczką długą
Tak się zwieszała na lube ramiona,
Że być musiała twarz zarumieniona.
Dalej, jak widzisz, cyprysowe sady,
Mercuzio dobył na Tybalda szpady;
Miasto wie całe, wspomnienia nie giną;
Lorenza znali, mnicha z Bernardino,
O brodzie siwej i o nodze nagiéj;
Był nekromantą i uczył się magii.

Nie wierzysz? wszyscy przysięgną w Weronie;
I więcej nad to: idź w ciemne ogrody
I stań w miesiącu po fontanny stronie,
A na szerokie spojrz pałacu schody.

Kiedy tam w cieniach słowik się rozszlocha,
Dowiesz się z pieśni, jak to włoszka kocha;

Ja ci nie powiem, przekonasz się samy;
Nas to nie dziwi, bo my ich już znamy.

Wolno ci wątpić, że to zmarłych cienie,
Wolno, że gwiazdy w białym świecie bledną,
Tylko nie w miłość, tylko nie w to jedno. —
Dusze kochanków odstraszy zwątpienie,
Że ich nie miłość zapędziła w groby;
Gdy nie uwierzysz, dwie srebrne osoby
Znikną, a słowik z pod cyprysu drzewa
O ich miłości więcej nie zaśpiewa.

I próżno będziesz przez noc całą błądził,
Wiatr tylko lekki trąci chłodne skronie;
Jedyna zmarłych vendetta po zgonie,
Żeś ich o lekkość uczucia posądził.

Lecz jeśli ufny łączysz się z prostemi,
Jeżeliś w sercu nie utracił wiary,
Ujrzysz podobnych do gołębiąt pary,
Odlatujących skrzydły otwartemi,
A gdy odlecą w blask jedna za drugą,
Będziesz za niemi płakał... płakał długo.

Grobowiec Julii... nic niema w tym grobie,
Werona grobem, ona ich ma w sobie,

A tam zachodzą dziewice Albionu,
Czytać Szekspira i żalić się zgonu.

Lecz ty się mało zastanów nad głazy;
Znasz miasto, wiesz gdzie święty Anastazy,
Przed którym zewnątrz, pod kamienne słupy,
Biskup spoczywa i drugie biskupy.

Idź, „Zdrowaś Marya“ odmów za tych dwoje,
Złote są, piękne te Boże pokoje,
U których progów, pożegnany z pychą,
Uczysz się skromnym być i stąpać cicho.

RAWENNA.

Otóż i wschodnich Cezarów dziedzina,
Rawenna.
Przeszłość się cała żywo przypomina
Zamglona, ciemna;
Na każdym kroku do ócz się wychyla:
To karyatyda,
To mozaiki płaszczem przyodziana,
W złote kolory,
Zakonodawcy postać Justyniana,
Cień Teodory.
Ruina szemrze: tu przeszedł Attyla,
Tu Golla Placida;
Tu niedotkliwa, przodująca błogo
Z pochodnią wiary,
Ta mieszczanina florenckiego dziewa,
Gwiazda otchłanna,

Której mi samo imię bosko śpiewa:
Beata Portinari,
O bramie, w której za doczesną drogą
Słychać hozanna!
Powraca piękna, która na padole,
W wojnach, w ustawnej Italów rozterce,
Siłą spojrzenia i gwiazdą na czole
Podniosła wielkie, rozkochane serce
Na blask nadziemny.

I tak znużony i życiem i troską,
Zaszedłszy w mury Bizanckiej Rawenny
Z kijem pielgrzymim i Komedyą Boską,
Gdym do kaplicy zbliżał się wpółciemnéj,
Poetę niebios, Danta, w głazie białym
Ujrzałem w obec: stał przed kancyonałem,
Wmyślony w świętych cieni świat tajemny.
A nie goryczą, nie zimną pogardą
Odznaczył wieszcza twarz Tullo Lombardo;
Nie — on go widział, kiedy zasłuchany
W pieśń Gregoryańską szeptał święte: *Ave,*
A słowom wieszcza wtórzyły organy
Poważne, brzmiące i wzniosłe i łzawe,
Skargę na matkę nie te usta złote,
Łacinnik pewnie układał uczony;
Artysta oddał zachodnią tęsknotę

I pęd po niebie wieszcza nieskrócony.
Toż napis grobu gorżki, żalem tchnący,
Pokrył obfity laur niewiędnący.

Znać sprawiedliwość i wstyd dobrych synów
Pokryły krzywdę ilością wawrzynów,
Jakby tych liści ojczystego drzewa
Błagały: O swej krzywdzie niech nie śpiewa!

Tak Beatrice i wieszcz Alighieri
Wypełnia przestrzeń Auzońskiej sfery;
A ktoby odjął dwoje to Italom,
Oddechu piersiom odjąłby połowę,
Urok rozlanych modrych jezior falom,
Gwiazdom pół blasku, niewiastom pół wdzięku.
Duchów tych dwoje, idąc ręka w rękę,
W każdą tu piękną wplata się rozmowę,
Wyrazu każde w nich szuka uczucie;
Czy radość wznosi, czy boleść dotyka,
Z nimi się wiąże w najczyściejszej nucie,
Wyrazy biorąc z Aniołów słownika.

Prochy poety ziemi swojej strzegły, —
Rzekłem, a w niebie modliła się dusza:
Tu on wyklęczał te kościelne cegły,
Z męczeńską obok duszą Boecyusza;

I cień mi Danta w zapadłym kapturze
A Boecyusza z potrzaskanem czołem
Zdało się widzieć w rozmowach na chórze
Z błogosławiącym cierpiących Aniołem;
I: Ach! sieroto — rzekłem: śpiewaj chwałę
Za noce smutne, za dnie przebolałe.

Widzieć Neapol...

„Widzieć Neapol i umierać potem..."
Ale!... nie radym takowej biesiedzie.
Cieszyć się braci tułaczów powrotem,
Z wielką chorągwią wolności po przedzie,
Narodek ujrzeć z cepem, kosą, młotem,
Który tam żywot w kurnych chatach wiedzie,
Warszawę, Wilno... w to mi graj, mój Włochu!
A potem, potem zmienić się w garść prochu.

„Veder Napoli e poi morire..."
Bogać tam!... wszelkich cudów się wyrzekam,
Alboż ja dla was wystroiłem lirę?
Alboż ja próżno lat pięćdziesiąt czekam?

Co mnie Neapol? morze to i morze,
Góry to góry, popiół Wezuwiusza?
W dymach mnie jeno na polskim przestworze
Raźniej ku światu wyrywa się dusza.
Kołem się wejrzę: to tam chłopek orze,

To znów mi wietrzyk łan zbożowy wzrusza,
To mi żywica zapachnie gdzieś w borze...
To macierzanka, to miętka zapusza,
To mi poszumi Wisła moja płowa,
To zaholuje galar od Krakowa.
A wszystko moje rodzone, poczciwe,
Kościółki biedne i chałupy marne,
Sierockie nasze, opadane, czarne,
A brzegiem rzeki i mgły i mgły siwe...

Te niech zobaczę: Maryacką wieżę,
Kopiec Kościuszki, mogiłę Wandziną,
Bociana, który starej chaty strzeże,
Głosy usłyszę, co z serca nie giną,
Bo ja tam Mazur i zginę Mazurem,
Odkąd mnie matka na świat porodziła.

Zobaczęż ja cię, ty Ojczyzno miła?
Ha! oto lecą dzikie gęsi sznurem,
Szczęśliwe ptaki! bociany, żórawie!
Żyję — bo żyję... ale mi nie prawie.

Widzieć raz jeszcze

ale nie Neapol.

Na wschód ja zawsze patrząc mym zwyczajem,
Nie mogę z własnym rozdzielić się krajem,
Kędy się z każdą weseliłem rzeką
I z każdą duszą znaną czy nieznaną,
Z temi gwiazdami, co po niebie cieką,
I z tem słoneczkiem, co przychodzi rano.
Hej! hej! złudzenie, wszystko wiatr rozchwyca:
Nie do poznania twoja okolica.
Chata zgorzała; za wyciętym lasem
Strumień żałośnie szemrząc wysechł z czasem;
Ludzi nierówne rozdzieliły losy,
Jednych zła dola, drugich wiek pozmiatał;
A w kochającym słuchu wciąż brzmią głosy,
Z któremim duszę w młodych dniach pobratał.
Ha! taka dola; więc po krótkiej chwili,
Gdy myśl, jak owad wraca naprzykrzony,
Niebo rodzinne sercu się przymili,

Piosenka, krzyczek, oddalone dzwony,
I szum powieje od sosny żywicznej,
I rób ty, co chcesz, nie odpędzisz czaru,
I takbyś zapić chciał wody krynicznej,
I tak ogłuszeć się od tego gwaru!
Ojczyzna moja jeszcze mnie posłucha,
— Gdzie? kto? jeżeli znajdziesz, będzie sztuka —
Kto? a to gołąb, co pod daszkiem grucha,
A to kukułka, co w brzezinie kuka,
I człek mnie dobry przygarnie do siebie,
Że i nie będę chadzał po proszonem.
Piosnka zostanie przy dziecka kolebie,
W polu nad sierpem, w chacie nad wrzecionem.

Na uroczystość Kolumba w Genui.

Do Albumu.

(Fragment).

Daremnie wichry czoło moje chłodzą,
Myśl niespokojna wypędza mnie z chaty;
Czemuż się z losem pragnienia nie godzą?...
Wzrok pogardliwy świat rzuca bogaty.
Skąd mu ta pewność, że odkryje lądy?...
Kres ziemi słupy Herkulesa zwarły;
„Szaleniec!“ krzyczą... O, wy ludzkie sądy,
W starych szpargałów zaczytane karty!
Wam tak wygodnie i byt wasz tak słodki,
Ptaki spokojnych wysp, ciężkie bezlotki!

Wszystko, co wielkie, powstaje z boleści;
W niej tajemnica niewiędnącej cześci.
To, co zakryte, góruje nad wiedzą;
Dziejów nie robią ci, co w księgach siedzą,
Owady, w wilgne lecące przestworze,

Wiedzą, co Stwórca może, co nie może?...
Im ci się więcej wynoszą rozgłośnie,
Tem większa pewność w sercu mojem rośnie.

Niegdyś rycerze, Skandynawów króle,
Przeżeglowały za Ultima Thule;
A syn Italii jeźliż się nastraszy
Środkiem przestrzeni chmurnej drogi ptaszéj?
Gdzie orzeł Romy ubiegłych stuleci
Nie poniósł skrzydeł, tam gołąb doleci.
W dzieciństwie mojem prawił rybak stary,
Że ptak ten, wolny od żółci i złości,
Jeden przelata morskie szerokości,
Jak życia burze człowiek żywej wiary.
Dalejż, gołębiu, z Chrystusa banderą!...
Ach! ach! do lotu żądza pierś rozrywa.
Kotwę pod drugą zarzucim półsferą,
I świat doświadczy, że Italia żywa
Nie odpoczywa, gdy miecz jej spoczywa.
Walczyć — rzecz nasza, łamać przeszkód tamy,
Ego Romanus sum; dalej! Bóg z nami.

Do naszych próżno z myślą wciąż się noszę,
Od włoskich książąt galer nie wyproszę.
Pójdę o kiju, przez świat się powlokę,
Nowej krucyaty nowy Eremita.

Nie padnie ziarno na martwą opokę:
Francya, Hiszpania, Flandrya mnie powita.
Nie dla przewagi, bo i nie dla państwa,
A Chrześcianież są dla Chrześciaństwa,
O, nie dla chwały, dla tej morskiej piany,
O którą próżność ziemska się rozbija,
Ciebie ja niosę, o Ukrzyżowany!
Ojcze nasz, Wierzę i Zdrowaś Marya.

Ufności, skąd ty?... Dzwonią na okręcie,
I ty mi dzwonisz, tak błogo, tak święcie,
Że mi już zda się, żem stanął u celu
I żem utwierdził znak zbawienia świata;
Ach! konstelacya krzyża, Zbawicielu!
Jakież się pod nim barwne ptactwo zlata
Na powitanie, a bez hełmów brzemia;
Ptaki czy ludzie?... Ziemia nowa, ziemia!

Żywiołów burze, orkan wniebosiężny,
Szaleństwo morza i błyskawic piekło
Gieniusz zwycięża; i od piersi mężnéj
Wzburzone morze opadło i ściekło,
I ludy z ludy przez wód zalew słony
Miłościwemi powiązał ramiony,
Nie przeczuwając, że na tej przestrzeni,
Pod gwiazd przewodnych Kolumba sztandarem,

Słońce świat nowy blaskiem zarumieni,
Jakim nad światem nie jaśniało starym,
Że na tych brzegach boska wolność stanie
I blaski rzuci w dal po oceanie.
A jeźli sprawa małej, ludzkiej dumy
Myśl czystą w świętym powstrzymała pędzie,
Nie on przyczyną, — i nie jemu będzie
Przekleństwem ciężyć klątwa Montezumy.
Wieczność go pasem jasności opasze,
A ku czci jego brzękną lutnie nasze;
Ku czci zwycięzcy, nad którego łożem
Szpitalnem zwisły bojowe trofeje;
Za poświęcenie, wiarę i nadzieję,
Łańcuch więzienny... tyle, co dać możem.

Postrachy, bełty, podobłoczne wały
Próżno się piętrzą na morza przestrzeni;
Niech morze huczy, niech się piekło żeni,
Roztrąca wiara oceanu szały.
Słowem Chrystusa huragan zarzeka,
Anioł skrzydłami widnokrąg mu czyści;
Lecz jak zażegna wściekłą złość człowieka,
Pychę piekielną i morze zawiści?...
Kiedy się potwarz wypieni obrzydła,
Węże zbrojone w kły i w brudne skrzydła.
Smutne są, smutne wielkich mężów dzieje;

Czemuż to wiecznie cierpią Prometeje?
Bogu to tylko wiadome samemu,
Nam ludziom słówko zostawione: „czemu?"

Italio. któż ci wyższością zaciężył?
Kto syny twoje obedrze z ich togi?
Z przeszłości świecą rzymskie nam półbogi,
W dniach nowych cienie bohaterskich męży,
I kiedyż twoja kotwica zatonie,
Pod brzeg szczęśliwy zatopiona w końcu?
Gdzie San Salwador, wyspa, w której stronie?
„Ludy", Italia odpowiada, „w słońcu!"

„Ten mój syn wierny nie zachwiał się w czynie,
A jeżli duszy nie odmienił bratniej
I spełnił jadu krople do ostatniej,
To znać, że wielka słodycz jest w tym płynie.
Męczarnią mężów i za ich pomocą,
Przez wichry, burze i łez przestrzeń słoną,
Ciemnych przeznaczeń ogarnięta nocą,
Łódź ludów płynie w oddal nieskończoną."

Orzeł w zamku Salci.

Szlachetny ptaku, i ciebie kajdany
Jak swobodnego człeka obciążono...
Nad czołem twojem wstaje świt rumiany,
W pogodnem niebie twe źrenice toną,
Podrywasz skrzydła i spadasz ściągnięty
Do brudnej deski ohydnemi pęty...
Łańcuch cię trzyma przy więziennem drzewie,
Więc pióra strosząc siedzisz w niemym gniewie.

W około ciebie podłego pomiotu
Grzebią się w piasku gołębie i kury,
A ty, mocarzu szerokiego lotu,
Co na łabędzi stado spadasz z góry
Albo po skałach górskie ścigasz sarny,
Spętany dumasz, zwrócon pod mur czarny.

Dwa razy, człowiek powiada domowy,
Już rozrywałeś ohydne okowy;
Obyś, gdy jeszcze rozerwiesz raz trzeci,

Poleciał w strony, gdzie myśl moja leci,
I ziemi mojej, którąm tak opłakał,
Zaświstał radość i wolność zakrakał.

Królewski ptaku, życzęć tej podróży
Po niezmierzonym modrym oceanie;
Obu nam życie — o, jakże się dłuży!
Słońce nam świeci jak na urąganie,
Patrzysz mi w oczy i w żałośnym skrzeku
Świadczysz, że jedną i tę samą duszę
Los w piersiach ptaka zamknął i w człowieku,
I jedno słowo: Jestem tu, bo muszę.

IZRAEL.

Jehowa mocny strzeż, żeby dzieci tej ziemi
Nie poszły z Polski precz, jak my z Jerozolimy,
By studni ludy swych nie zamknęły przed niemi,
Gdy środkiem wielkich miast iść będą te pielgrzymy;
A tu z zaułków ulic i z pod miejskich ratuszy,
Od placów głupi lud i z pod budy okrytéj,
Co oni wiedzą? nic... co im nakładą w uszy,
Kamienie wezmą rwać a krzyczeć: Jezuity!...

Jehowa, nie daj to, by oczy me widziały,
Jak strasznie miejskie psy ich szarpać będą szaty;
I tak niestety już po Europie całéj
Co Polak — biedny ach! to jakby trędowaty,
I kamień ostry nań i brudna leci ślina, —
Niech ten przepadnie dzień i niech się nie zaczyna.
Lecz jeśli wielki Pan przeznaczył nam swobodę,
To może przyjdzie tak, — no niech się tak nie stanie,
Że kiedy dla Polaków studzienną zamkną wodę,

Rebeka wtóra im wody przyniesie w dzbanie
I powie: pij, bo Pan jest wielki, miłosierny,
I z wiernym ludem lud niech pozostanie wierny.

Że kiedy będą nieść w skórzanych księgi worach,
Proroków psalmy swych, jak Juda złotą Torah,
I kiedy księga wam zostanie skarbem całym,
I przyjdzie kryć się ach! z wiarą swą przed dniem
[białym,
Gdy z oznaczonych kątów przestąpić wzbronią nodze,
Gdy polski ryknie płacz, jak Judy w Synagodze,
Gdy starcy wzniosą jęk cięższy od Jeremiasza,
Gdy wasza dozna wiara, czego doznała nasza,
To może jaki żyd, na złotym siedząc krześle,
Budować dla was gród swoje wyprawi cieśle.

Królowie dla was śmierć i ludy dla was krzyczą,
I rozprószeni wy, lecz Pan wybrane zbierze,
I oni wezmą świat i ziemię odziedziczą,
Za nami mury miast, za nami pójdą wieże,
Jehowah! ach Jehowah!
Elohim Sabaot, ach! ach...

„Na wschód patrząc mym zwyczajem".

Prawda, że piękne cudze kraje,
Lecz sercu czegoś niedostaje,
Kościoły wielkie, zamki, wieże,
Ale za serce nic nie bierze...

We własnym kraju, tam, w ojczyźnie,
Wszystko ci bratnie, wszystko bliźnie,
Głos ma dla ciebie zrozumiały
Ta ziemia szara, ten kraj cały.
Te lasy twoją szumią mową,
I dąb odwieczny nad dąbrową,
Te czaple, czajki i łabędzie,
Coś swego widzisz, słyszysz wszędzie —
A cóż gdy jeszcze w progach domku,
We swoim domku, szczęsny Tomku,
Twoja cię własna matka spotka
I mała siostra, ta szczebiotka,
Z rączkami rzuci się na szyję,
Kiedy do ciebie druch przepije

Ową kwaterką z prostej blachy,
Gdy cię obskoczą swatki, swachy,
A poczną prawić o tej! o tej,
Co stawia mokry len pod płoty,
O tej, co rośnie na twe gody,
Co kiedy nóżkę w staw zabroczy,
To od niej czystość biorą wody,
To od niej gwiazdy biorą oczy,
To od niej uśmiech dziatki śpiące
I od niej włosy ranne słońce,
A gdy przemówi, czary, czary,
A co przepowie, jakby stary...

A w cudzym kraju i cóż będzie?
Ziemia na ziemi jak i wszędzie,
Ale ta ziemia — jakaś sucha,
Ale ta ziemia — jakaś głucha.
Zdarzy się w cichej gór kotlinie,
Że jak i u nas potok płynie,
Szumi, po skałach się rozbija,
Woda cię mija, — człowiek mija.
Nie twoja chata, gaj zielony,
Nikt ci nie powie: „Pochwalony“ —
— „Na wieki wieków“ — Pod odwieczerz
Drogą tą białą stopy wleczesz;
Głazy i głazy i znów głazy,

Choć się obejrzysz i sto razy,
Nikt się za tobą nie obróci.
Z suchym się ostem wietrzyk kłóci,
I kłos by żalem wskróś brzemienny
Przy ziemi chwieje się nieplennéj,
Do tego kłosa równasz siebie,
Co na jałowej rośnie glebie.

Przy drodze, niby druchy twoje,
Pną się berberys i powoje.
A tobie na ów widok kwiata,
Skądsi — niewiada — w myśli stanie
Twoje kochanie, nie kochanie,
Co w złote włosy kwiatki wplata.
Patrzysz, z dalekich wierzb warkoczy
Woda obrywa liście drobne,
Woda na morze listki toczy,
Czyż to do ciebie niepodobne?
Ty sam przed swojem zawdy okiem,
Ty jesteś wierzbą, kraj potokiem,
Za którym twoje myśli cieką
I płyną, płyną tam daleko,
I wciąż się świecą, a tęsknota,
Jak ta pod wieczór barwa złota,
Na wszystko błyska, coś porzucił,
Żebyś oglądał się i smucił.

Ot za górami czas się chmurzy,
Gościńce moje w skałach giną,
Dobrze to, słodko śnić o burzy
W spokojnym domku, gdzieś, Krystyno,
I nie połykać pyłu drogi
I nie zachodzić w cudze progi...

Przecież za słówko: szczęść ci Boże,
Za dobre słówko dla pielgrzyma,
Choć w oczy chłodny wiatr zadyma,
Choć was nie ujrzę nigdy może,
To szczęść wam Boże za otuchę,
Za kroplę wody na posuchę,
Oto mi zda się, żem u zdroja,
Że szczęsne było życie całe,
I że mi wody siostra moja
Przechyla swoje wiadro białe,
Że mnie matka miła
Na pierś przygładziła,
Witaj z długiej drogi.

Wieża Eiffel.

Wyjątek z poematu „Mefisto.“

Dalej i dalej w świat z rozdartem łonem,
Nad morzem Martwem dziś, jutro Czerwonem.

. . . . . .

Stolica świata nie traci z swej siły...

. . . . . .

Tam gdzieś z otwartéj sterczy kość mogiły,
Tam rozebrane z dział warowne wieże...
Kartaczownice, poskładane w sągi,
W Berlinie żołnierz landwerzysta strzeże,
Pomniejsze w pyszne przelane posągi
Moltków, Bismarcków, Werderów, Stejnmetzów,
Inne w ogniste ciągną paszcze pieców.

Ludzie i ludy odjąć się nie mogą
Prawu zniszczenia i odmianom losu:
Dziś — głośne, huczne, jutro — już bez głosu,
I wszystko w cienie schodzi zwykłą drogą;

Ale nim zejdzie, nim wieści zaginą
Sławy, znaczenia, wieńców i kadzideł,
Poezya w zorzy malowanych skrzydeł
Złociste loty niesie nad ruiną,
Zmarłemu życie powraca na chwilę,
W obrazie, w pieśni, w głazie i w teatrze;
Potem się cisza wiesza na mogile,
Nim zapomnienia mgła ostatek zatrze,
Jeśli... tak, jeśli... któż przeznaczeń karty
Odczytał wszystkie od końca do końca?...
. . . . . .
W bramy paryzkiej wystawy otwartej
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
Fale narodów płyną nurtem gwarnym,
Pod niebem, losem przyszłości ciężarnem.

Gieniusz Egiptu na czas niepożyty
Na wstręcie burzom wzniósł piramid szczyty,
Które, gdy ziemia wciąż oblicze mieni,
Lądy zatapia, zniża gór łańcuchy,
Na nieobjętej pustynnej przestrzeni
W niezachodzących gwiazd wpatrzone ruchy,
Granitowemi zaryte podstawy,
Poważne kształty wznoszą z piasków ławy,
A w ciemną wieczność płynąc równo z czasem,

Ognistéj strefy zdają się kompasem,
Którego igła z nad Nilowéj rzeki
Znaczy nie świata godziny a wieki.

Tak równa siła odtrąca obawy
O trwałość bytu w opatrzonéj naturze;
Słoń z nosorożcem jedne spasa trawy,
Na puklerzowéj nosorożca skórze
Oprze się słonia ząb, trąba nie chwyci,
I społem ciągną w oddal nieskłóconą.

Czasu i głazów nie wyprzędą nici
Nad brylantowe schylone wrzeciono
Okrutne Parki, aż zbyt się nasz strawi,
I chwila czasu w wieczność się przejawi.

Zapadłych wieków chwały i bezwstydy
Przebrzmiały wszystkie i zgłuchły na szlaku,
Cisza owiała ruiny Karnaku...

Od brzegów Nilu z krzykiem: Piramidy!
We wrzącym piasku i bitew upale,
Sławą okryci mkną zwycięzcy Galle,
Pod znakiem ptaka, który ranne świty,
Zarumienione opiewa błękity.

Śpiew marsylijski wstrząsającéj treści,
Legionów tentent, a giest bohatera,

Drzemiących wieków obudza czterdzieści
I ciemne koła oczu ich otwiera.

Jak nad Lemanem na niższe pokłady
W jesienny ranek mgły alpejskie cieką,
I szare skały, wzorem starców rady,
W krąg zaciągają, a ich szatę lekką
Promienie słońca wedle Boskich wzorów
Bramują nićmi tęczowych kolorów,
Wieki, z nieczułych obudzone zgonów,
Szarzeją z grobów setnych Faraonów.

I kędyż wami wiatr szalony wieje,
Prochy Tytany, Galle skarabeje?
— W słońce nam droga z pustyni przestworza,
Drzemiące ludy, zorza! nowa zorza!
. . . . . .
. . . . . .
Od ciał nam dusze odchodzą tak chętnie,
Jak od wymownych ust skwapliwe słowa.
Prawa ludzkości w każdem pulsów tętnie,
Jedno nam Brama, Allá. czy Jehowa.
W dłoń broń i daléj z oczy łez pełnemi,
Jest Bóg na niebie, a Francya na ziemi. —

Schodzone skórznie, mundur, stare klaki,
Bitwy dzień po dniu, sztandar — drobne strzępy;

A zorze dnieją, gdzie te pieją ptaki,
Dzień stąpa, gdzie te stąpają zastępy;
„*Etre suprême*" krzyczą, „*Vive!*" i nad obszary
W odległość niosą podarte sztandary.

Więc głosy lecą do ostatnich kresów,
Na nieprzewaną horyzontu głuszę,
Na Ptolomeów tych i na Ramzesów,
Jak wracające do swych mumii dusze,
I w trumny królów zawarte najszczelniéj
Grzmiące podają słowo: Nieśmiertelni...

Amon Ra! Słońce! i łódek żagielki
Pomkną po Nilu za ludem nieznanym,
Za bohaterskim, młodym, rozśpiewanym;
Mały ten naród Gallów jakże Wielki!

II.

Z brzegów Sekwany, w której fale mętne
Chylą się wierzby, jak wdowy płaczące,
Pozornej naszych dni wielkości wstrętne,
Potworna wieża wystrzelá na słońce;
Piętrzy się szkielet żelazny olbrzyma,
Którego stopy matka otchłań trzyma,
A nocą gwiazda prześwieca śród żeber,
Jakby z tych szczelin patrzał *Nej* czy *Kleber*.

Przy jej rozmiarach zdrobniał Paryż cały,
Ów tryumfalny łuk cesarskiej chwały,
I Inwalidów kościół i Notrdamy,
Saint Jacque, Lipcowa Kolumna i kramy,
I więcej: Teby piramidy, File,
Kolońska wieża, mur chiński, gdzie w pyle
Wszystko pode mgłą gęstą się rozściela.

Jako mularze u fal Eufratu,
Francya z wieżycy żelaznej Eiffela,
Od końców ziemi strąbionemu światu
Wielkością swoją chce błyszczeć po klęsce,
Przed zadziwione niemieckie zwycięsce,
I pychą pychę wrogów upokorza:
Przebiła Alpy, związała dwa morza,
W nauki świetne, kunsztowne świątynie
Z nowemi mury wchodzi mądrość nowa;
Bóg Nazareński jeszcze tam gdzieś w gminie
Pod strzechą wiejskich mieszkańców się chowa,
Z wierzchołka wieży na ziemi oblicznoś
Świeci Bóg nowy świata — Elektryczność.

Zadowoleni, uczeni, szczęśliwi,
Nad zgromadzoną w poziomach czeredą;
A kto się dziwi, a kto się nie dziwi!?...
Japończyk większe widział cuda w Jedo;

Północny człowiek, ciche pojąc lamy,
Lodowce marzy, śniegów świat polarny;
Indyanin życia objawy, *Sen Bramy;*
O wielkim duchu szepce murzyn czarny.

I cała ilość narodów przemnoga
Powtarza jedno wciąż: I któż nad Boga?
Skinie — i w długi dym rozwieje skały,
Skinie — i w płyn się rozleje żelazo...
O! Himalajo, Andy, Cimborazo!
Jeśliż na Paryż *On* wypuści gromy,
Harmonii wszystkich gwiazd Mistrz — na atomy?

Wielki ten naród Gallów jakże mały!...
Takiemi słowy mieszkaniec Orientu
Przymawia z wieży paryskiemu świętu.

W żegludze wieków gieniusz, nie rzemiosło,
Do drogi cienów nad otchłanną nocą,
Nim wieczne gwiazdy stały ląd ozłocą,
Promień za igłę wziął, a miecz za wiosło.

Nie w rytm poezyi wieża, wynalazki;
Muza, zwrócona na Egipskie piaski,
Kędy ojcowie do drogi po sferach
Hermesa zodyak odkryli w Denderach,
Szemraniem liści pożółkłych jesieni
Nie do Francuzów śpiewa — do kamieni.

Poezya Francyi oczy pełne żalu
Po znieważonym powłóczy Wersalu,
Kędy w królewskiej sali zwierciadlanéj
W lustrach wciąż widzi odbite Giermany,
Hełmy błyszczące berlińskich rycerzy,
Miecze wzniesione z plamami krwi świeżéj,
Upokorzoną Ojczyznę w przedsionkach,
Łunę pożaru nad miast świata miastem.

. . . . . .

Gdzieżeś, o cieniu w zbroi i koronkach,
Słońce, nazwane Ludwikiem czternastym?
Cienie Kondejów, Wobanów, Wandomów?
Jakaż to płochej fortuny odmiana!
Rzesza niemiecka śród dział głuchych gromów,
Nowego wita dziejów Karlomana.

Gdy rada mężów, poważnie kamienna,
Diugesklin, Tiuren, Rolandy, Bajardy,
W cieniach pałacu wspomina miecz Brenna,
Litości pełna, jeśli nie pogardy,
Dla płochej hurmy, co gwarna a skrzętna,
Słodząc gorycze niezaszczytnej walki,
Wystawia wieże i wystraja lalki,
Okrutnej klęski i krwi niepamiętna;
A gdy w powietrzu jęczy głos: Niestety!
W wielkiéj kostnicy tańczy menuety.

O Francyo! złotych żniwiarko wawrzynów,
Orlico wartkich po przestrzeni lotów,
Gdzie sława twoja, ziemio męskich czynów,
Napoleonów, Hoszów, ziemio grzmotów,
W sferęż ty idziesz Bogów czy Helotów?...

Gdzie twoja chwała nieskażona, czysta?
Ziarna złociste podły czas roztrwania,
Na wieży Eiffel staje duch Mefista,
I na wschód, zachod poleca się, kłania,
Idei wielkiej kłamstwo na porządku,
Pyszna Wystawa, poemat bez wątku.

Błądzi, kto gniewny sąd wygłasza rączo
O sprawach, które nigdy się nie kończą,
Lecz kto tę starga gmatwaninę krwawą?
Rzeczywistości! snemżeś ty, czy jawą?
Burza i lament, a śród łez i krzyków
Nie struny harfy, słyszę brzęk srebrników.
. . . . . .
Godzino myśli, męko rzeczywista!
Za Ren wędrowca wiedzie kto? nie powiem,
A cień mu wszędzie wije się Mefista
I wiatr zawiewa siarką i ołowiem.

Wielcy współcześni, ach! ojcowie mali!
Wieża pod niebo wzbiega... idźmy daléj,

Dalej i dalej, kędy pęka granit
Na głosy żalu złotych Oceanid;
Tam, gdzieś daleko u Giermańskich krańców,
Nad sinem morzem w szum i wichrów zamęt,
W ciche westchnienia, w konania wygnańców
Wplatają pieśni łez akompaniament
Oceanidy, summa nędzy głosów,
Echa tragedyi greckich Eschylosów.

Pani Helenie Modrzejowskiej.

Kiedyż usłyszę głos, co w duszę wnika,
O czarodziejko narodowej sceny?
W natchnionej piersi jakaż to muzyka!
A jaka władza pięknej Melpomeny!
Ona to serce obojętne widza,
Zakamieniałe na łzy i rozpacze,
Potokiem żywych boskich wód zawstydza,
Tyran jej strzałą ugodzony płacze;
A kto jej służy, kto kapłaństwo sztuki
Szanuje w sobie, zjednywa jej wiarę;
Jedno pałace czyli miejskie bruki
Ręce po złotą wyciągają czarę;
Świat, ideałów spragniony, sam w kale,
Marzy o myśli i dzieł ideale.

Tłum widzów wielką wypełnia widownię:
Słuch wytężony, przyspieszone tchnienia;
Cienia znikome śledzą kroki cienia,
Co ludzkie nędze oddaje wymownie.

I scena zda się wichrową przestrzenią,
A morzem widzów niecierpliwych sala;
Piersi się wznoszą i łzy się strumienią,
Wicher je sztuki pędzi i oddala;
I widz z artystą ściśle się jednoczy,
Jak dwojga istot zakochane oczy.

Za twoją sprawą, albo raczej ducha,
Co w piersi twojej dziwne wzrusza tony,
Zawora grobów rozrywa się krucha
I Szekspirowskie wstają Dezdemony;
Księżyc, jak Doża, srebrzy się, wybiela,
I chmura błyska, jak oko Otella.

Zmieniona rola, i córka Protea,
Już przeodziana z książęcych atłasów,
Wychodzi piękną kochanką Romea,
Zmyśloną gwiazdą niewiadomych czasów.
I oto, zgięty na bluszczowym ganku.
Ten najpiękniejszy włoski kwiat poety,
Dłoń liliową składa na kochanku,
Róża miłości, Julia Capuletti, —
I łaje świtom na ojczystych górach,
Poprzedzającym ranne słońca loty,
Że złote rąbki malują na chmurach,
Płosząc słowika i Julii pieszczoty.

Za chwilę szczęścia, ach! jakże się płaci,
Jaką rozpaczą, jakiem nocy piekłem!
Za czar godziny Julia wszystko traci,
Noc ją otacza całunem przewlekłym...
Kolumny, cienie... z głazu sarkofagu
Zsuwa się, ciężkie zostawia letargi,
I schodzi w cienie, pewna jak odwaga:
Usta ni żalu nie niosą ni skargi,
Tylko to imię Romeo... daremno!
Upadła widmem rozciągniona białem;
W oczach kochanka już zimno, już ciemno,
Julia się łamie nad Romea ciałem:
Może go zbudzi włosami złotemi,
Może tak westchnie, jak wzdychał pod niemi?

Nad zimnym grobem Romea, Juliety,
Kończą się zemsty, i długie „niestety"
W sercu się widza na głębiach rozlega
Nad smutnym losem Julii i Montega.

Zmieniłaś rolę — i za tobą wieże
Pod mgliste niebo wznoszą dumne szczyty;
Północnej Danii widzę lodów płyty
I to burzliwych morskich wód wybrzeże,
Gotyckie zamki królów Skandynawów,
Kędy, igraszka książęcia szaleńca,

Ofelia zielska targa z ciemnych stawów
Dzikie do sierot odrzuconych wieńca.
Los ją straszliwy z wszystkiego ograbił
I tylko postać zostawił jej piękną;
Dwie jej miłości jednym gromem zabił.
I gdzież są piersi, co z żalu nie pękną?
Patrząc, jak burza unosi straszliwa
Kwiaty i dzieci i serca czujące,
Jak rozczochrany los wszystko rozrywa,
Na brzegi pędząc, gdzie nie świeci słońce,
I jak te duchy, ślepą gnane falą,
Przez wieki lecą, przez wieki się żalą?

Artystko wielka! kiedyż cię zobaczę,
Strojną w eglantyn, kwiaty i powoje?
I głos usłyszę, co tak strasznie płacze,
I to „dobra noc“ powtarzane twoje,
Gdy z dzikim śmiechem rozrzucasz po sali
Sitowia jezior i różczki konwalii?
Istne marzenie, z którego po chwili
Zostanie garstka grobowego prochu.
Kto chętny kwiatu, niechaj się pochyli
I ściga echa obłąkanej szlochu.
O sny młodości! na drodze żywota
Nikt was nie oddał piękniej, jak ta złota.

Ofelie mglane sen rzucają twardy
I zatopionych wloką szat obłoki;
Julie od świtów odwracają wzroki,
Łabędzie szyje prostują Sztuardy.
I wśród zdumionych widzów twoje czary
Uczucia budzą na głębi serc śpiące,
Pod jakieś smutne prowadząc miesiące,
Gdzie w mgłach Zygmunty świecą i Barbary.

Za twoje czary, obyś nie zaznała,
Artystko wielka, śród życia podróży
Innego wieńca, jak ów, którym chwała
Swych ulubieńców najwybrańszych wita,
I innej burzy prócz oklasków burzy.

DUNAJEC.

Cieniom przyjaciela Tytusa Chałubińskiego.

— Hej! ty bracie, zatułany w Tatrzańską dolinę,
Co się dziwisz, przyjacielu, że ja szumno płynę?
Ot ci lepiej powiem jedno: nie patrz w moje fale,
Jako ja, Dunajec siny, niosę górskie żale. —
A cóż ci to, stara rzeko, przetykana gwiazdy? —
— Bogać gwiazdy; ano świ.tła niosą stare gazdy. - -
A komuż te światła niosą? oj, dużo ich, dużo! —
— Takiemu, co służył ludziom, ludziska też służą.
Ano, umarł król Tatrzański; zaś to nie wiesz, który?
Na dolinach znać nie wiedzą, czego pełne góry,
Co tu siedział w Zakopanem, w doliny zalatał,
A z Walczakiem, Rajem, Stachem, po górach zamiatał.
Odkąd góry te górami, takiego nie było,
Wszystko się tu roześmiało i zazieleniło.
Szałasy ta pobudował, opatrzył kalekę,
Radził, ładził i gazdował; cóż ci więcej rzekę?
Każdemu się uradował, w przygodzie przygodził;

Bodajby się taki człowiek na kamieniu rodził.
A będzie ta wspominana gór Karpackich chluba:
Między nami, góralami, leży król Chałuba. —
I skończyła rzeka swoje, gdy poczęły dzwony:
Oj! poczęły stare dzwony na świat zadymiony,
Na Łomnicę, na Magurę, na Giewont, na Mnicha;
A łzy ludzkiej nie usłyszy, bo łza ludzka cicha.

Zachmurzyła się Łomnica i lunęła słotą,
I te drugie i te trzecie, stanął świat sierotą;
A tu dziaduś nasz Stolarczyk żegna te górzyska,
Rzekąc: „Tak umarły prawi“: — a łza gardło ściska,
„Jeśli chcecie mówić ze mną, nie z marnym popiołem,
Tedy droga wam górami, ziemia pójdzie dołem,
Bo mój szałas nad górami, skąd się wszystko widzi,
Gdzie się człowiek chwali Bogu, świata nie powstydzi.
Jeno rzesko! jeno śmiało! jeden krok, dwa kroki!
Nie takaż to długa droga, aby za obłoki.“
Więc się świece pochyliły, spadły ziemi grudki,
Lecz nie mnie to wypowiadać te góralskie smutki,
Wypowiada je ten Walach w onej guńce płowéj,
Co po grobie się rozbija, targa włosy z głowy,
I te lasy smerczynowe, i Dunajec siny;
Hej! wy góry, nasze góry, lasy, połoniny!

ALLELUJA!

Ofiarowane

Mieczysławowi Darowskiemu.

Niechże będzie pochwalony, szczęść Boże tej grzędzie...
Siła złego na jednego, gorzej już nie będzie.
Więc przy Pańskiem Zmartwychwstaniu, przy tem wielkiem święcie,
Dobre wieści wam przynoszę, jak woń sianożęci.
Cośto, jakby zagrywali niebiescy piastuni,
Polatuje po tych polach, po zielonej runi,
Pośpiewuje Alleluja! wieczystą nadzieją,
Że aż wierzby het pękają, aż się pola śmieją.
I fujarka wdzięcznym głosem pieśni onej wtórzy...
Alleluja! Alleluja! czekaliście dłużej,
Poczekajcie już i krócej, miejcie ufność w Panie,
Na tę błogą Paschę świętą, na to Zmartwychwstanie.

Otóż widzę wszyscy w zgodzie, a stół zastawiony
Pod opieką chorągiewki Chrystusa czerwonéj,
Z którą ten baranek śliczny przyległ do nakrycia,
Z chorągiewką Zmartwychwstania wesołego życia...
Zbliżacie się, po staremu, ręka rękę ściska,
Choć tam może niejednemu łzą zaszły oczyska.
O! bo jużcić ciężka dola, ni kraju ni domu,
Ucztujemy pokryjomu, myślim pokryjomu.
Przepędzają nas jak trzodę od kąta do kąta,
Posiewamy naszą rolę, a ktoś drugi sprząta.
Wymierają nam ojcowie... Nie dawniej jak wczora,
Pogrzebliśmy w cudzej ziemi lirnika Znachora,
Który swoją czułą pieśnią miłości a zgody
Ku jednemu wiązał morzu rozdzielone wody.
Ano, taka Boża wola, chybać na pożytek...

Kraju polski, nasz jedyny, kraju chłopskich świtek,
Alboż ci się zazielenią twoje równe pólka,
I po żalu, po boleści, znowu przyjdzie hulka?...
Bo już to tak zawsze bywa: to męka wybuja,
To przychodzi Zmartwychwstania święte Alleluja!
A któżby tam kiedy zwątpił, że Stworzyciel ziemi
Już zatracił wszelką pieczę nad dziatki swojemi?
Próbuje nas ta próbuje, bije nas ta bije,
Karci dziecko rozwydrzone, a słucha czy żyje...
Zaś by taki Ojciec dobry, co potworzył ptaki,

Zwierza, ryby pływające, drzew rodzaj wszelaki,
O człowieku zapominał, o tym polskim rodzie!
Hej! bratkowie, krew przelana dla przyszłości młodzie,
Puściże się potem, puści polski naród rojno,
Niechno Pan Bóg świat nawidzi pierwszą wielką wojną.

Na to święte Zmartwychwstanie, na święcone jajko,
Stary lirnik zatułany nie przychodzę z bajką.
Powiadam wam święte słowa, a od serca prosto,
Kołysany biedą, nędzą, wykarmiony chłostą:
Kto tu bluźni nieuczciwie, że nasz *Bóg* nie żyje,
Lirę moją mazowiecką na łbie mu rozbiję...

Jeszcze Polska nie zginęła... Patrzcież na baranka,
A toć nasza chorągiewka sterczy z pod kolanka.
Patrzcie na te gałązeczki, na te drobne mirty,
Powrócą nam stogi, brogi, nasze zboża styrty.
Spożywamy świętą Paschę, jako pismo każe,
My, wygnańcy na swej ziemi, podróżni nędzarze,
Przepasalim nasze biodra na pustynne drogi,
Miłosierdzie nam utwierdza te pielgrzymskie nogi.
A nadzieja serca nasze nie porzuca szczera,
Że nam wieczność to powróci, co czas poniewiera;
Że nie będziem szukać ziemi drugich lat czterdzieści,

Po piaszczyskach, po górzyskach ginąc gdzieś bez wieści;
Że nas Niemcy nie potopią w tem Piastowem Gople,
Gdzie o polskich szemrzą dziejach wszystkie wody krople,
Popielowa świadczy wieża, co się w gruzy ściele,
Jak to myszy przepędziły zamorskie Popiele —
I słowiki pokrzykują nad jeziora trzciny,
Nad tą Bożą kropielnicą, z niebem zrękowiny...

Od Poznania do Kruszwicy wiatr ponosi słówka,
A w tumanach wciąż się słania Miecław a Dąbrówka;
I Gnieznieńska góra Lecha wdzięczne wtórzy echa,
Tu się Orły wykłuwały, tu Lechowa strzecha.
Ode Gniezna do Poznania, brzegiem srebrnej Warty,
Rozłożyły się te łany, dziejów naszych karty;
Każda rola coś powiada, każde kmiece polko:
Gospodarze tu bywali Mieczysław i Bolko.
I rycerskie huczą trąby, przykre w Niemców słuchu:
Nasze prawo, nasza wiara, cześć ci, polski duchu!

Jeno przejdźmy co najsporzej przez serca pustynie,
Pustynia ta dziś przed nami — i dość chyba zginie,

Jeśli *Boże* prawo nasze puścimy, wygnańce,
I złotego kołem cielca zawiedziemy tańce.

Nie daj Boże! nie daj Boże! Nieśmy Arkę naszą,
A szakale niech szczekają, drugie bestye straszą.
My zaś dalej po staremu, rolnicy, pasterze,
A co wicher porozprasza, to nasz Ojciec zbierze,
I obsadzi po zagrodach, po chatkach zacisznych,
Mądrościami nie nadętych, zasługą nie pysznych,
Nas, zrodzonych na tej ziemi, Adamowe kmiotki.
Bóg i wiara, matka stara — a co reszta, plotki.

Tak wam stary lirnik prawi na dzień Wielkanocny,
Niechże będzie pochwalony Pan Bóg nasz Wszechmocny,
Który nam dziś burze niesie, jutro miecze poda,
A ochrania źródła czyste, by nie wyschła woda.

Z zamorskiego idę kraju, gdzie jest zwyczaj taki,
Że dziecinkę biorą płynąc na morze rybaki,
Żeby w burzę odmawiała modlitwy dziecinne,
Jako w niebo jedne wchodzą westchnienia niewinne.

Wybierajmyż i my sobie takiego patrona,
Jakieś małe dzieciąteczko od matusi łona,

A niech prośbę za Ojczyznę, jak umie, szepleni,
Kiedy wicher miota łódką i morze się pieni;
Chorągiewka Zmartwychwstania niech nam żaglem wieje,
Niechże ta dziecinka prosi, kiedy ramię mdleje.

Tyle mego na dziś słowa od liry pastuszéj;
Co się rzekło — to się rzekło, to z pod serca, z duszy.

Przygrywka Szopena.

Pannie Maryi Radolińskiej.

Cóż ja powiem, Dobra Panno, o twoim talencie?
Że perełki rzuca twego paluszka dotknięcie,
Że ci kiedyś poza światem, jeszcze niewcielonéj,
Powiadały dobre duszki, jak uderzać w strony.
Darem się to wydobywa, nie samą nauką,
Bijesz strony jak te grady, które zboże tłuką;
Kujawianka przyśpiewuje raz głośniej, raz cieniéj,
Szemrzą liście potracone w ponurej jesieni,
Polonezy zapraszają na te sławne tańce,
Którym takty wybijają Sobieskiego szańce,
Ach! i takbym pragnął słuchać i wciąż słuchać
jeszcze...
Tej muzyki, co grzmi chmurą, liściami szeleszcze.

Niegdyś i mnie łatwo było przedzierzgać się w ptaki,
W polskie dzieci, zagonione na poleśne szlaki,
Każdy uśmiech udać wdzięcznie, snuć pieszczone słowa,

Naśladować jak gdzieś tętni rumaka podkowa.
Czem zachciałem, tem się stałem; już śpiewam, już wzdycham,
Z obłokami się rozpraszam, z potokiem wysycham;
W całym kraju rozkochany i znów w jednej ginę;
Żebyż jeszcze tej przeszłości — choćby na godzinę!
Tej nadziei powitania, że gdziebądź pogonię,
Wszędzie legnę snem spokojnym, jak na matki łonie.
Dziś to wszystko potracone, wypłowiały barwy,
Duszę moją otaczają cmentarze i larwy.
Oj! biednaż bo ta istota, co się z musu śmieje:
Nie zaglądaj, — nie ciekawe, co się w sercu dzieje.
A choć nigdy wyraz żalu chmurą nie zaważy
Na spojrzeniu wciąż spokojnem, na tej smutnej twarzy,
Ten, co patrzy w serc tajniki, anielskie pachole,
Załamuje białe rączki jak przy ciemnym dole.
Uskładało się, zebrało tak dużo tej treści,
Że się z tego utworzyło jezioro boleści;
A wieczorem gwiazdy świecą na ten przestwór gładki,
Hej! anielskie ty pachole, biorę cię na świadki.

I cóż ja ci, Śliczna Panno, z takiej duszy powiem?
Czy to będzie życie miało, czy to będzie zdrowiem?
Czy to będzie, jak Szopena ochoczy mazurek?
Czy to będzie jakieś jasne, bez żalu i chmurek?
— A czyż to w nim same tylko mazurki, ballady,

Czy to jego strony brzęczą, jak w kwiatach owady?
Żadnaż to w nim głębsza nuta do serca nie gada?
Żadnaż się w nim rozpaczliwa myśl nie wypowiada?
Są i śmiechy młodociane i westchnienia starsze,
Zgony, dzwony, wzniosłe śpiewy, pogrzebowe marsze,
I widm tańce wirujące i karczem hałasy,
Ostalone brzęczą żwawo krakowskie obcasy,
Młoda matka zaśpiewana nad dziecka kolebą,
Rozbija się głosik słodki, idzie dym pod niebo,
A wszystko to przeciągnięte ową mgłą wiślaną,
Jakby słowem tęsknej dumy: *„Za rano, za rano...“*

Każda piosnka przebolała, co na usta wschodzi,
Zda się jakby żałowała, że się na świat rodzi.
To i czemuż z bratnią duszą dusza się nie jedna?
Czyż to boleść twoja taka, jak przepaść beze dna?
Czy twe serce zapomina wśród losu zawiei,
Że w nim znajdzie, gdy nie całą, początek nadziei?

Nie nam dane, odgadywać nadsferyczne tony,
My przygrywki znamy tylko pieśni nieskończonéj,
I tą pieśnią najcudniejszą w troskach, w burzach
Odzywamy się śród ludzi ruchomego lasu. [czasu

O! graj jeszcze raz i wtóry tę przygrywkę złotą,
Nim się wszystkie węzły życia w słuchaczu rozplotą;

Niech mnie pieśń ta uspokoi, umocni na drogę,
Innej nuty słuchać nie chcę... a może nie mogę.

Niech mnie pieśń ta czarodziejska wiedzie w te podwoje,
Gdzie odeszli bracia moi, gdzie kochanie moje,
Gdzie nie hoża Kujawianka, nie smutna Mazurka,
A dzieciątek się przewija chmurka srebrnopiórka,
A ojcowe święte cienie wchodzących nieśmiało
Pokrywają swej jasności nieśmiertelną chwałą.
O przygrywkę proszę, Panno: powtórz ją raz jeszcze,
O muzykę, co grzmi chmurą, źródłami szeleszcze.

WIERSZ

za przesłanie ziemi ojczystej z grobów poległych w roku 1848.

Adolfie, bracie, jeszcze las się chmurzy
I dymią chaty i niewiasta przędzie...
Długo tu złego, lecz dobrego dłużéj,
Ducha nam tylko, a jakoś to będzie.
Nie wiele czekać, a świat się odmieni,
Trąbki hułańskie w naszej Polsce wrzasną,
Wąż się litewski na wiosnę wyleni,
Jeleń róg zrzuci, sokół pióra wdzieje,
Kto tam wie, jaki i skąd wiatr powieje?
Noc ci na zorzę przemienia się jasną,
Toć i nam kiedyś wyjdzie błogie słonko;
Proporzec polski z orzełkiem, z koronką,
A choć i bez niej; wszak Rzeczpospolita
Z każdej się kartki naszych dziejów czyta;
To, co Bóg poda, my przyjąć gotowi
Republikanie podobnoć nie nowi...

Mieliśmy błędy i mieliśmy wady,
Lecz któż zacnymi przeszedł nas przykłady?

* * *

Adolfie, bracie, z twoją mi postacią
Westchnienie rwie się za szlachetną bracią.
Za tymi cieńmi, które tam wzrok ściga
Po *Długo-Siodła* i *Dębego* niwach,
Gdzie sucha ostu chwieje się łodyga,
A wiatr po bujnych traw przeciąga grzywach.
Pług przeorywa powierzchnię tych skrzynek,
Co kryją kości braci z pod *Olszynek*.

* * *

Zda mi się, widzę te polskie szwadrony,
Czwartaków szereg stąpa jak mur ścisły,
A tam Warszawa nasza z lewej strony,
I brzeg połyska lodem zciętej Wisły.
Widzę, hej, widzę, jaka trupów sterta
Moskiewskich pułków, reszta czerni w dali,
Biały kirysyer pruskiego Alberta
Darmo się męstwem na przyłbicy chwali.
Stoczył się z konia ony rycerz w biegu,
Hełm gdzieś odleciał i kirys we śniegu;
Wiarusy szumią, a kędyż to wodze?
Słup gdzieś drogowy wystaje na drodze
I nad wrogami, nad ludźmi i końmi

W wiatr drewnianemi rozpiera się dłońmi.
A Edward *Lange,* pamiętasz Edwarda,
Nasz dzielny czwartek, polska dusza harda,
Krótkiem, lecz mądrem plusnął prawdy słowem:
Nie wodze, czwartak wygrał pod Grochowem.
Kwiatkowski mały, przezwany Kurpikiem,
Wyciąga nutę z niepomiernym krzykiem,
Gdy Ty, Adolfie, zdasz mi się olbrzymem
Z krętym wąsikiem, osmalony dymem.
Marsz, marsz! na prawo, marsz! na lewo droga!
Serce się zdaje widzieć Pana Boga.
Nasze armatki, nasze strzelce piesze!
Gdzieś ku Warszawie hułan z wieścią czesze...

* * *

I dalej widzę z ambulansów głowy,
Przewiązywane skrwawionemi szmaty;
Wesoło kona brat nasz szeregowy,
Między szczęsnymi, gdy wóz ciągnie chaty.
Kobieta spieszy poczciwa z ratunkiem,
Gdy brat coś prawi przebity bagnetem:
„Nie przyjdzie do was Moskal z kwaterunkiem,
A Polak przyjdzie do chaty z paletem."

. . . . . .

Adolfie zacny, ty wciąż na posłuchu,
Choć łza niejedna zbiegła Ci po oku,

Ty zawsze wierny Polsce, stary druhu,
Wciąż swoim siwkom dorzucał obroku
I flintę chował ojczystą pod żłobem
Z myślą, że znaku niedługo nam czekać...
Polak, choćby go w kawałki posiekać,
Nadzieją znów się pościąga pod grobem.

Dajże mi swoję prawicę poczciwą,
A wiesz, żeś łez mi napędził swym darem.
Tą garstką ziemi, którąś w polu szarem
Zebrał dla brata nad ojczystą niwą.
Bógże ci zapłać... Pójdzie ta do trumny,
Pójdzie z tułaczem, gdy ciało ochłodnie,
I z tej ja garstki ziemi będę dumny,
Żem ją na piersiach moich nosił godnie.

Wieńców ja sobie złocistych nie wróżył,
Ni mnie fortuna pociągała płocha,
Lecz na garść ziemi, którą serce kocha,
Jużciż ja, bracie Adolfie, zasłużył.
I będę nosił wiernie tę jedyną,
Ona mi będzie krajem i rodziną
I będzie światłem wśród obłędu cieni.
Pod tą niezmienną duch się nie odmieni;
A gdy noc wieczna zejdzie nad powieką,
Pod nią śnić będę szczęśliwie i lekko. —

* * *

Bracie Adolfie; gdy się znów zobaczym
Z tej strony grobu, czy po stronie drugiéj,
Zaplecisz rękę, jak niegdyś z tułaczem,
I jak żołnierze pójdziem na posługi.
Pozwól nam, Panie, śród *młodzi zepsutéj,*
Przeklętą zwątpień dotkniętej zarazą,
Tracać we wstydu zapomniane nuty
I ze rdzy brudnej czyścić serc żelazo. —

Przyjm, Boże, w służbę nas na wieczność całą,
Niech nam w pałasze kawalerskie dzwonią,
Daj nam chorągiew czerwoną i białą,
Srebrnego Orła z litewską Pogonią.
Pozwól nam, Panie niebieskiego dworu.
Z mężnymi dzielić bojów trudy szczerze,
A z echem tęsknem ojczystego boru
Wieczorne starców odmawiać pacierze.

Florencya, 15. lipca 1882.

Adolfowi, przyjacielowi,
po latach 40 napisał
Lirnik Mazowiecki
T. Lenartowicz.

Od zmarłej — żywym.

Wiersz ofiarowany

Przyjaciółkom Maryi Bartusównej.

Żywi i zmarli myśli polskiej strzegą,
Pod wichry, burze i słoty;
Więc nie pytajcie, odeszłam dlaczego?
Snując włókienka sieroty...

Będęż się smutku okrywać żałobą,
Zwiędła jak listek śród lasu,
Jeżeli wierzę, Polsko, że nad Tobą
Wieko zamknięte do czasu...

Ani ja życia byłam tak zbyt chciwą,
Ni szczęścia, którem świat łudzi;
I cóż, że jedno przerwie się ogniwo,
Czy dobrych braknie wam ludzi?...

Czy serca Polski z mojem bić przestaną?
Bluźnierstwa chowaj mnie, Boże!
Skowronek będzie śpiewał wam co rano,
Słowik o późnym wieczorze.

Na pieśń wieśniaczą z niebieską pomocą
Zbiegnę przy blasku księżyca,
I wioska będzie rozlegać się nocą
I cała ta okolica.

Bo ja im rękę do grania ułożę,
Duszę w tęsknoty zapędzę,
A wiatr poniesie po głuchym przestworze
Polskie bogactwo, czy nędzę...

W porozdzielanej na przestworzu nucie,
Ktoś pozna moją pieśń kmiecą,
A inny powie: dusza na pokucie!
A inny — że tak łzy lecą.

A inny — strumień że dzwoni leniwy,
A drugi — prawdę odkryje:
Że to głos Polski umarłej — a żywéj,
Że to łza taka, co bije. —

Lecz boleść wasza niech będzie ukrytą,
Jak kropla deszczu pod glebą;

Z ukrytej bujne porośnie nam żyto,
Ukryta przebije niebo.

Ale dla świata miejcie czoła chłodne
I usta wiecznie pogodne.
Niech wróg się naszą nie chlubi niedolą,
Niech nie wie, serca jak bolą.

Młodzieży polskiej ramię ta uzbroi
Zaduma na waszem czole...
Innemi drogi pójdą bracia moi,
I każdy znajdzie swe pole.

Co młodzież ogniem wywalczy i bojem,
Niewiasta serca pokojem.

Co wieszcz wypowie wymownem natchnieniem,
Niewiasta długiem spojrzeniem.

Co mądrość zwiąże praw żelazną wstęgą,
Niewiasta serca potęgą.

Co mąż zaskarbi, niewiasta przechowa —
Anioł i służka domowa.

Słowa niech będą oszczędne jak złoto,
Kto dużo prawi, źle prawi;

Mało ten mówi i z dziwną prostotą,
Czyje się serce wciąż krwawi.

Cisza o Polsce i w pieśni i czynie,
Milczy zatyłe sumienie,
Na cmentarzyskach mówią dziś jedynie
Nasze grobowe kamienie.

Lecz przyjdzie chwila, bo świat wciąż się mieni,
I złości mają też końce,
Że Polska nasza wyjdzie z grobów cieni,
A orły krzykną: na słońce!

Mnie nie żałujcie, żem odeszła młoda,
Że moja zgłuchła muzyka;
Czystą jest woda, a upływa woda,
I obłok piękny — a znika...

Nad mojem życiem smucić się niewcześnie,
Ściągnijcież żalów swych wodze;
O! siostry moje, ujrzycie mnie we śnie
I w zeschłym liściu na drodze...

Zrzucone piskląt przypomni mnie gniazdo,
W sierocym błysnę uśmiechu,
Ze spadającą na myśl spadnę gwiazdą,
W odległem ozwę się echu...

Takiemi słowy siostra z jasnej sfery
Na do widzenia wam śpiewa;

Cmentarz — milczenie — drzew dalekich szmery —
I macierzanka zawiewa.

Odpowiedź

na adres i wiersz Komitetu Polek, zawiązanego dla sprawy pomnika ś. p. Maryi Bartusównej.

Siostry moje, córy Piasta,
Dzięki niosę wam...
Czem dla Polski dziś niewiasta,
O! głęboko znam.

Ona czuwa, gdy kraj drzemie,
Snując wiary nić...
Ona uczy, jak tę ziemię
Kochać, dla niej żyć.

Ona dobre duchy sprasza
Na dziecinę w snach,
Wszędzie pierwszą Polka nasza,
I w pracach i w łzach.

Duszy polskiej, ogniotrwałéj,
Nie roztopi żal,
Więc jej piękny żywot cały,
Choć śpiewaj, choć chwal.

Nie wyśpiewa, jakby chciała,
Lira o niej snów,
Choćby złote struny miała
I perełki słów.

Ku czci waszej nie zabrzęknie
Godną pieśnią wraz,
Wam zaśpiewa godnie, pięknie,
Gdy niewoli łańcuch pęknie,
Przyszły, święty czas.

Wiejski śpiewak w pieśń uderzy,
Po nad łanem zbóż...
Dziecię złoży wianek świeży
Z najpiękniejszych róż.

A kto będzie pisał dzieje,
Kornie chyląc skroń,
Powie, jak duch Boży wieje
Na tę chmurną błoń.

Na Litwie.

(Odpowiedź na list z Nicei).

Tęskno ci, smutno, na francuskim brzegu
Zmuszonej czekać — dla piersi zbolałéj —
Aż się tam ziemia wynurzy z pod śniegu,
Nad którą, białą, ciągnie się dym biały,
Saneczki dzwonią, a byle dzwon sanek
Nie zapowiadał śledztwa i kajdanek,
To i we słuchu rozlegnie się błogo,
I do okienek skoczą drobne dziatki:
Czy nie braciszek wyścieloną drogą
Do matki pędzi, a nie do Kamczatki?
Może wieść dobrą stary Litwin poda?...
Może mściciela wiezie, Wallenroda?

Litwo! o tobie Adam Wajdelota
Śpiewał przy blasku płonącego stosu;
Po wielkich ojcach dzisiaj ty sierota,
Ścigasz śród lasów echa ojców głosu,

A co tam gwarzą dęby i te klony,
Wśród których głębi myśl się twoja błąka...

Piękna Nicea, lecz piękniejsze strony,
Kędy — wiesz — jaka rosa w ziemię wsiąka,
Jakie się krople w żywy koral mienią,
I jakie lica ogniem się płomienią,
I jakie w ziemie zapadają chaty,
Pod które w lesie któż podumać zmierza?
Sarna lękliwa, stary łoś rogaty,
Żubry, którymi sławna Białowieża,
Przyjdą, popatrzą na chatę leśnika
I tej szczęśliwej, niegdyś małej Tosi;
Z Litwy do ciebie leśny zwierz poryka,
Ryk żubrów tylko dochodzi i łosi...

Kiedy się morskie rozszaleją wody
I biją w brzegi jako żubrów stado,
Skudlone czoła, mokre ciekną brody,
Gromada czarna pędzi za gromadą;
Na rozległościach nieobjętych skaczą
Z szumem i rykiem pod wichrów korbaczą.
„Bywaj!“ pozdrawia jakiś stary strzelec,
„A co tam o nas radzi Europa?
Litwie by imię przypadło: Popielec,
Bo popiół wszędy, gdzie się wstrzyma stopa,

A głownia z śniegu podźwiga się czarna;
Siejeż nam popiół nędza gospodarna!...
Nasze kościoły wróg zalewa szyzmą,
Sybirskie ciągną, a ciągną konwoje,
A Chrysta niema, by zawołał: Dyzmo!
Dziś zemną wejdziesz w zwycięskie pokoje."

Hej! hej! pamiętasz, mała swawolnico,
Matuchnę twoją, sosnę nad krynicą?
Ojca staruszka wśród papierów, książek?...
Na niebie miesiąc, jak srebrzysty krążek,
I gdzieś daleko pieśń litewską, długą?
Jeśliż w twym świecie słyszysz taką drugą?
A serce, serce nic ci nie podzwania
Na nutę męstwa, na nutę kochania?

Otóż i widzisz, że ci lica płoną,
I serce bije jak dawniej, tak samo,
Lecz już, sierotko, nie zawołasz „mamo!"
Ani: „o Matko!" za tą utraconą,
Bo cię gniew święty na losy ogarnie,
Że życie płynie i płynie tak marnie...

Przecież cię proszę, przez ojczyste rany
Złych nie dopuszczaj do swych uszu wieści,
Otoć posełа człowiek zapomniany

Nadzieję polską — tę perłę boleści...
Jaką ta zaszła do mej duszy drogą,
Nie powiem, ludzie uwierzyć nie mogą,
Jeżeli rzeknę łez, to mnie wyśmieją,
Jeżeli myśli pracującej trudu...
— Wielcy nas wieszcze poili nadzieją,
Czas po nich przeszedł i nie widzim cudu.

Przypisy.

Stronica 108 wiersz 6 z góry: Wózek *szybowany* = okuty.

Str. 109 w. 12 z góry: *Chłodnik* — za wirydarzem bywał gaj dębowy, zwany *chłodnikiem,* gdzie w dniach gorących chroniono się pod liście, nie przepuszczające promieni słonecznych.

Str. 112 w. 11 z góry: *Bławat* = drogie okrycie na stół.

Str. 112 w. 14: *Warzęcha* = łyżka duża, drewniana, do nakładania pożywienia.

Str. 112 w. 1 z dołu: *Aracami* = arazze, bogate obicia, często złotem przetykane a przedstawiające najpiękniejsze obrazy wielkich malarzy, z których u nas w kraju można coś niecoś oglądać w kościele na zamku krakowskim.

Str. 113 w. 12 z góry: *Jak mierz* = jak zajrzeć okiem.

Str. 115 w. 9 z góry: *Gliczka* = kopia.

Str. 121 w. 1 z góry: O tym *bodze* = o tym bogu.

Str. 129 w. 10 z góry: *Witajcie kneziu* — stary kmieć od Łużyc temi słowami przyjmuje w chacie swojej przychodnia.

Str. 129 w. 7 z dołu: *Gdziekolwiek mowa brzmiała Metodowa.* Na Morawach do dziś dnia słyszeć można spiewaną pieśń gminną, którą w tem miejscu miałem na uwadze:

Nitra nasza, Nitra, ty wysoka Nitra,
Hde je su te czasy, kedy se ty kwitla!
Oj, ty byla Nitra, mesto Metodowo,
Hdy on naszym Otcam kazaw boże słowo,
Oj, ty byla slawne mesto Swetopluka,
Hdy tu panuwala jego mocna ruka;
Ninie twoja slawa w temnej toni leży,
Tak te czasy menia, tak to ten swet bieży.

Str. 129 w. 5—6 z dołu: O św. Iwanie, Ludmili i Borzywoju czytaj Rorbachera historyę Kościoła katolickiego.

Str. 130 w. 9 z góry: *Proskurka* = chleb wypiekany do komunii św. u greków i unitów.

Str. 130 w. 4 z dołu: *Carem niemieckim* lud nazywa cara moskiewskiego, jako pochodzącego z niemieckiego rodu i oddanego Niemcom.

Str. 131 w. 7 z dołu: *Warszewita* = św. Wojciech z familii Warszewitów.

Str. 131 w. 4 z dołu: Historycy nasi zgadzają się, że podanie o Aniołach na uczcie u Piasta odnosić się może do naszych Apostołów, którym opowiadanie słowa Bożego w mowie słowiańskiej przez Jana VIII. papieża było przyznane i pochwalone; wszakże — co się tyczy odprawiania w języku Słowian Przenajświętszej ofiary, niejakie około tego zachodziły trudności

i prawie pewne, że św. Metody mszę odprawiał po grecku.

Str. 132 wiersz 3 z góry: *Że musisz zasieść złoty stół wysoki.* Czytaj *Dejiny Czeské od Palackého* o obieraniu naczelnika rządu u starych Słowian, o stole w polu ustawionym, staroście, który nowo obranego na takowym sadowił i laskę władzy (holy) mu oddawał etc.

Str. 132 w. 1 z dołu: *Bożęci* = bożków; p. Staszyc, poemat: Ród ludzki.

Str. 133 wiersz 1—4 z góry: Opis wierny podług kroniki.

Str. 134 w. 3 z góry: *Uhry, Ury* u Słowian nadelbiańskich zwani Uherce, Węgry, potomkowie Hunów. Węgry po raz pierwszy w Imperium Franków pokazują się około roku 889 w Panonii, w kraju Awarów; napadali oni na Karyntyę, Morawię i Bułgaryę, a przybyli w liczbie 216.000 czyli stu pokoleń, każde po 2.000 ludzi, nie licząc kobiet i dzieci. Nomady bez żadnej religii, żywiący się mlekiem trzód i ubitym na łowach zwierzem — okrutni, zapijali krew więźniów i pożerali serca jako środek na różne choroby. Hist. du Bas Empire.

Str. 135 w. 1 z góry: *Feudy,* własności feudalnej.

Str. 135 wiersz 5 z góry: *Filozof ciągnie z bratem z Saloniki.* Święty Cyryl, autor pisma słowiańskiego cyrylicy, u pisarzy kościelnych nazywany jest filozofem; — jest to epoka schizmy Focyusza, prześladowcy świętego Ignacego,

okrutnika i sprawcy rozerwania w kościele, o którego wszakże wysokiej nauce świadczą pozostałe pisma.

Str. 135 w. 5 z dołu: *I od Kozara i Cara Bułgara.* Kozar, chan krymski, — Borys, car bułgarski — nawróceni przez św. Metodyusza.

Str. 136 w. 5 z góry: *Holczyk, golczyk* = młody chłopiec, wyraz słowiański nadelbiańskich Serbów; *holka* = dziewczyna.

Str. 136 w. 2 z dołu: *Płatek* = *płótno i płaca, moneta.* Libelt tłómaczy etymologię tego wyrazu.

Str. 137 w. 1 z góry: *Obiaty,* ofiary u starych pogan słowiańskich, a wyraz *kobieta* być może pochodzi od wyrazu obiata: *ku obiatom, ku ofiarom,* albo po prostu: jako trudniąca się gotowaniem pożywienia, obiaty, żeru; jako to obiaty nie były czem innem jak żerem, a kapłani nazywali się też Żrecami, żer przynoszącymi.

Str. 137 w. 12 z góry:

„Porównaj, Boże, góry z dołami,
Porównaj, Boże, biednych z panami."
(Pieśń gminna mazowiecka).

Str. 139 w. 6 z dołu: *Kmiecie a Lechy.* Dalemil, kronikarz czeski wyraża się: w Chorwackiej ziemi był Lech, a jemu imię było Czech. Czech więc byłby imieniem, Lech szlachcicem, stanem, — stąd pozwoliłem sobie o jednych jak drugich wyrazić się jako o stanach; — z Piastami kończą się słowiańscy kmiecie, a poczynają dzieje — prawie powiedziećby można — jedy-

nie Lechów. Czeska linia kmieca Przemysławowa kończy się na Wacławie V.

Str. 140 w. 4 z góry: *Kierpcie* = chodaki łyczkowe.

Str. 141 wiersz 6 z góry: *Z którego Przemko rad wyłożył wołu*, odnosi się do legendy czeskiej o Przemysławie, którego obrano królem zgodnie z przepowiednią, że znajdą króla u żelaznego stołu (pługa), jak też i znaleźli, idąc w ślad konia, który ich przyprowadził do spożywającego posiłek rolnika przy pługu.

Str. 141 w. 7 z góry: *Marko i Wukaszyn*, bohaterowie z gminnych pieśni serbskich.

Str. 142 w. 2—5 z góry: Grób świętego opostoła.

Str. 147 w. 12 z góry: *Kościół świętego Klemensa.* W pieśni rossyjskiej *Stich o Krugie gołobinoj*, nazwaną jest cerkiew Sobornaja Bohomolnaja światoho Klimenta, popa rimskoho. *Iz toi cerkwi iz Sobornoju Bohomolnoju wychodjiła Bohorodica Nebesnaja* (Polewoj, Ist. Rusko-Lit.).

Str. 219 w. 2 z góry: *Dyana* = księżyc.

Str. 258 w. 1 z góry: Sagatius Mutius Ganata la Reggio opowiada szczegóły charakteru i gościnności Messer Can della Scala. Mieszkania w jego zamku znajdowały się dla różnych kondycyi gości. I tak dla wojowników malować kazał artyście Giotto Wiktorye, dla wygnańców Nadzieje, Muzy dla poetów, Raj dla duchownych; od czasu do czasu zapraszał ich do swojego stołu, najczęściej zaś Guida di Castelloz Reggio i Danta Alighieri, którego czcił

głęboko („venerato a causa del suo genio“). Dante w „Komedyi,“ pieśni XVII., wspomina, że jego pierwszem schronieniem był dom gościnny wielkiego Lombarda (Can della Scala).

Strona 259 wiersz 1 dołu: Podanie o Julii Capuletti w pięknej powieści opowiedział Luigi da Porta.

Str. 264 w. 2 z góry: *Beata Portinari,* imiona te, z języka włoskiego na polski przetłómaczone, znaczą: Błogosławiona z odźwiernych (portinai = odźwierni).

Str. 265 w. 2—3 z góry: „Fiorenza gloriosa hebbi per madre, anzi matrigna ame, pietoso figlio“ słowa wrzekomo Danta, powtórzone przez Boccaccia; nie chce mi się wierzyć, ażeby wyrażały duszę poety, — on żegnając ojczyznę, nie mógł wyrazić się tak gorzko.

Str. 266 w. 2 z góry: Seweryn Boetius, najcnotliwszy człowiek i jeden z najgłębszych filozofów, któremu za panowania Teodoryka w Rawennie, na fałszywe oskarzenia, w Pawii publicznie głowę żelaznemi kleszczami zgnieciono. Tego Boecyusza myśli p. t. „Pociecha filozofii,“ w więzieniu pisane, quasi poemat, kto wie, czy nie posłużyły do utworzenia postaci Beatrice, vulgo Teologii, w poemacie Danta „Boskiej Komedyi,“ ileże filozofia ta rymuje bardzo ze słowami bohaterki Dantejskiej pieśni.

Dante w Rawennie, to jakby uczeń zawędrował do mistrza uspokoić się snem wiecznym;

wielki Katolik, wielki Gibelin, do miasta Aryanów i Gotów.

Str. 287 w. 12 z góry: *Skarabeje* = chrząszcze, symbol żołnierzy egipskich.

Str. 287 w. 2 z dołu: *Skórznie* = obuwie; *klaki* = kapelusze, jakie nosili żołnierze pierwszej Rewolucyi.

Str. 288 w. 11 z góry: *Amon Ra* = słońce u starych Egipcyan (Champolion).

Str. 303 w. 3 z góry: *dla młodzie* = dla drożdży.

Spis rzeczy

w tomie I. zawartych.

Część I.

Echa Nadwiślańskie.

	Stronica
O królu Popielu i o Myszach . . .	1
Król Kowal	55
Dzwon Zygmunt	71
Piotr Duńczyk	85
Habdank	93
Psie Pole	99
O Satyrze albo Leśnym Mężu J. Kochanowskiego powierniku	105
Chorągiew Słowiańska	123
Cienie Syberyjskie	153

Część II.

Album Włoskie i Wiersze Przygodne.

Rafael	183
Fra Beato Angelico	213
Michał Anioł	228
Tasso	250
Błogosławieństwo (Na widok fresku Giotta) .	252
Werona	258
Rawenna	263
Widzieć Neapol	267
Widzieć raz jeszcze ale nie Neapol . .	269

Stronica

Za kwiaty z ojczyzny 125
Zwiędła róża 128
Na wigilią 135
Przyjacielowi W. D. 137
Powracającej do kraju Pannie A. M. . . 141
Hej Boże! 144
Nad grobem Ed. Wasilewskiego . . . 150
Bohdanowi Zaleskiemu na jubileusz . . 153
Chłopek za pogrzebem Tad. Żulińskiego . 159
Na obchód pamięci Z. Krasińskiego . . 164
Prośba 166
Ostatnie słowo 170

Część II.

Sędziowie Ateńscy 171

WYŻSZA SZKOŁA NAUCZYCIELSKA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
64264
L-P
Biblioteka WSP Kielce
0225437